

Henryk  
Makarski

W pogoni  
za purpurowym  
ptakiem

Wydawnictwo  
Lubelskie



*W pogoni  
za purpurowym  
ptakiem*

Henryk Makarski

---

**W pogoni  
za purpurowym  
ptakiem**

---

Wydawnictwo Lubelskie

Projekt okładki i karty tytułowej  
Miroslaw Zdrodowski-Zdrozdowski

Redaktor  
Jadwiga Bułowąs

Redaktor techniczny  
Andrzej Woytowicz

K



XIII B Mak  
REGISTRATION

97160

884-93

XIII B.2

ISBN 83-222-0403-5

© Copyright by Wydawnictwo Lubelskie  
Lublin 1986

WYDAWNICTWO LUBELSKIE - LUBLIN

Wydanie I. Nakład 29 730 + 270 egz.  
Ark. wyd. 10,8. Ark. druk. 16/16.  
Papier offsetowy kl. V, 70g, 70 × 100 cm.  
Oddano do składania w styczniu 1985 r.  
Podpisano do druku w styczniu 1986 r.  
Druk ukończono w marcu 1986 r.  
Cena zł —

Druk: Lubelskie Zakłady Graficzne w Lublinie  
Zam. nr 239/85 F-2

Miejska Biblioteka Publiczna  
Biała Podlaska





*Dawnych wspomnień czar,  
czyli znowu alert obozowy*

— Aaaaaa!!! — wrzask setki zdziczałych gardel zagłuszył brzęczenie dzwonka.

— Gdzie się pchasz, grubasie?! — usłyszał Jacek za plecami.

Po głosie poznał rudego Zdechłaka z VIII d, ale udawał, że nie słyszy. Nie miał czasu na głupie zaczepki — za dziesięć minut zamykali stołówkę. Łowiąc w nozdrza zapach fasolki po bretońsku, przedzierał się przez dżunglę szkolnego korytarza.

Zdechlak nie dawał za wygraną: podstawiał nogę i szarpał Jacka długimi kończynami jak pajak tłustą muchę. Nagle ktoś koło nich krzyknął: Kosa! Jacek poweselał. Jak spod ziemi wyrósł obok Maciek Koszykarz.

— Kosa! Kosa! Kosa! — odpowiedział Jacek.

Rudzielec jeszcze nie wiedział, o co chodzi.

— Jaka kosa, zgłupieliście?

— Cekaem! — uzupełnił Maciek, pukając go trampkiem w czoło.

— No to co wreszcie: kosa czy cekaem? — irytował się Zdechlak. — Balona ze mnie robicie?

— Cekaem to ty! Ciężko Kapująca Mózgownica! Jasne? — zakończył dyskusję Maciek. — Też coś, żeby o naszym obozie nic nie słyszeć! Co za wyjątkowy głąb! — skrzywił się i zniknął za drzwiami stołówki.

Po obiedzie zastęp Kosynierów zebrał się w harcówce.

— Druhowie, mam pilny komunikat — zaczął Piotr, chudy jak tyka zastępowy, gdy się już wszyscy zebrali: potężny Maciek Koszykarz, Romek Chwalipięta, Andrzej Cwaniaczek, Paweł Okularnik, no i rumiany jak pączek Jacek, zwany Lolkiem Balonową. — Ogłaszam wakacyjny alert obozowy. Szczegóły jutro w Dąbrowie. Kosa! — zakończył ich zawołaniem.

— Kosa! Kosa! Kosa! — odpowiedziało echo tak gromkie, że Jackowi zdało się, jakoby na Ścianie Tradycji poruszył się pistolet prapradziadka Waleriana z ozdobną rękojeścią. Wkrótce harcówka opustoszała.

Jacek wracał do domu piechotą. Co chwila ocierał spocone czoło. Noga za nogą włókł się przez park, wymachując granatowym woreczkiem na ciapy. Nie spieszył się zbyt do odrabiania lekcji, bo i — szczerze mówiąc — nie było do czego. Koniec roku szkolnego czuć już w powietrzu. Łabędzie w parkowej sadzawce pływały z powolnym dostojeństwem wokół na wpół zwalonego drzewa, zanurzonego w wodzie. Przez siatkę ogrodzenia dzieci rzuciły białym ptakom pokruszoną bułkę albo drobne monety, które osiadały na dnie jak srebrzysta łuska. Łabędzie skryły się wkrótce w cieniu garbatej wierzby. Jacek ruszył dalej. Na rozgrzanych ławkach emerycy grali w warcaby kapslami po piwie. Ugniatali popularne w szklanych cygarniczkach i mruzcili coś pod nosem. Psy obszczekiwały wiewiórkę, fukającą z góry jak rudy żywy kłębuszek, turlający się po pniu kasztanowca przy chrobocie drapanej kory.

Każde stworzenie na tym świecie musi mieć jakieś

zajęcie... — stwierdził filozoficznie Jacek i kopiąc przed sobą puszkę po pasztecie mazowieckim dumal, gdzie też w tym roku spędzi wakacje. Rzecz jasna, że w gronie Kosynierów, ale gdzie? Może znów w Mazanówce? Zeszłoroczne koczowisko to było coś! Jeszcze przez całą jesień śniły mu się obozowe perypetie. A przycupnięty w pobliżu dworek dziadka Mateusza za wężową polaną... A tajemniczy kuferek na strychu, ech... Pamięta ten moment do dziś, jak bagnetem podważał zardzewiałe wieko, a w środku... Szkoda gadać, takie emocje na pewno już się nie powtórzą! Kopnął puszkę ze zdwojoną energią, a potem podniósł ją i wrzucił do kosza. Kończył się spokój alejki parkowej, zaczynały ruchliwe jezdnie. Przebiegł przez dwie ulice i znalazł się na łące koło stadionu. Jeszcze tylko kładka na kanale ściekowym, jeszcze jedna dziurawa kręta droga ni miejsaka, ni wiejska, czterdzieści dziewięć schodków pod górę, trzysta sześćdziesiąt metrów po wyschniętym błocie — i już.

A w domu, jak to w domu, same mądrości. Zupełnie jak w szkole, tylko dzwonek na przerwę nie słychać — pomyślał Jacek, grzecznie wysłuchując rad mamy na jutrzejszą wycieczkę.

No właśnie, ciągle to samo: syneczku to, syneczku tamto. I jak tu w takich warunkach wyrabiać sobie poważanie — medytował w swoim pokoju nad kopiastą miską truskawek ze śmietaną. Jeszcze tylko Reksio w dobranocce telewizyjnej, sonda i — za kilkanaście minut z pokoju Jacka rozległo się donośne chrapanie.

Nazajutrz rano Lolek Balonowa podreptał do szkoły bez książek. W rozgrzanym powietrzu wirowały kłęby kurzu,

ogarniając rudawą chmurą pustynny krajobraz nowego osiedla. Szedł na przelaj, ścieżką pośród dziurawych żelbetonów, porozwalanych bezładnie jak pod wpływem potwornego wybuchu. Jacek miał się na baczności; na tym właśnie odcinku kiedyś dwa razy rozdarł spodnie. Ogromne poszczerbione płyty leżały tu od kilku lat. Jacek spojrzął na zegarek i przyspieszył kroku. Zrobiło się późno.

Przed szkołą rojno i gwarno. Widok zasapanego grubaska z siatką pełną kanapek i picia wzbudził ogólną wesołość.

— Nie przejmuj się, Lolek, przecież nic nie poradzisz na to, że tak głupio wyglądasz — pocieszał go Andrzej Cwaniaczek, kiedy siedzieli już w autobusie MPK linii D. — Nie martw się, chłopie, my cię obronimy, nikt nam nie zaszczyli!

— Wolałbym obronić się sam — mruknął Lolek, któremu rola bezradnej ofiermy stokrotnie obrzydła. — Ja jeszcze wam wszystkim pokażę — wycodził przez zęby, gdy wysiadali z autobusu. Ani przypuszczał, że okazję ku temu będzie miał niebawem.

— Kosynierzy, za mną! — podał szeptem wiadomość Chudy Piotr i wkrótce sześć sylwetek zniknęło między sosnami Dąbrowy.

Kiedy rozłożyli się wygodnie w zacisznej kotlinie z drugiej strony zalewu, z dala od wrzaskliwej gromady, zastępowy wstał i położył dłoń prawej ręki na sercu:

— Kosa!

Echo odpowiedziało:

— Kosa! Kosa! Kosa! Jeden za wszystkich, wszyscy za jednego!



— Druhowie! — zaczął uroczyście Piotr. — Wiecie sami najlepiej, ile nam dał obóz w Mazanówce. Ofermy nauczył pewności siebie, a cwaniaków — skromności. Nie możemy jednak stać w miejscu, musimy sprawdzić się szerzej, dalej, no nie? Proponuję więc rowerową wycieczkę dookoła Polski. Co wy na to?

— Huraaaa! — zawołali niemal równocześnie Kosynierzy, aż się miejscowe wrony zaniepokoiły nie na żarty, kracząc niespokojnie.

— A skąd weźmiemy rowery? — zdumiał się Jacek.

— Co, nie masz w domu roweru? — ofuknął go Maciek Koszykarz.

— No, mam niby, ale to kawał grata — zająknął się.

— Coś ty, mały? — zdziwił się Paweł Okularnik. — Nie umiesz roweru naprawić? Przecież zdobywałeś sprawności obozowe!

— A czy on co potrafi?! Przez cały obóz tylko pamiętnik czytał pod kocem i o żarciu myślał! — uśmiechnął się szyderczo Andrzej Cwaniaczek.

— Ja, ja, ja?! — zająknął się Jacek, czerwony ze złości. — A kto sam się uratował z pożaru, co? A kto zdobył trzecie miejsce w obozowej spartakiadzie? A kto wytropił złodziejską szajkę w ruinach? — Jacek prychał urażony.

— No, prawie masz rację, Balonówa — przyznał Andrzej. — W zasadzie to prawda, niech ci będzie.

— Nie podniecaj się tak, chłopie — Paweł klepnął Jacka po plecach. — On tylko tak, dla draki, żeby weselej było. Świetnie wszyscy pamiętamy, jak było, prawda? Przecież stałeś się po tym pożarze bohaterem nr 1 w naszym obozie.

A jak dzielnie zniosłeś potem zastrzyki... — puścił perskie oko i wszyscy parsknęli śmiechem.

— Panowie, panowie, spokój! — wkroczył do akcji Piotr. — Napoleon bał się dentysty, a mimo to pozostał człowiekiem wielkim, może i Jacek...

— No jasne — przytaknął skwapliwie Andrzej. — Nawet jeszcze jedną cechę ma wspólną z Napoleonem...

Jacek wyprężył dumnie pierś w oczekiwaniu na komplement.

— Kurdupłowatość pospolitą! — dokończył Andrzej Cwaniaczek i znowu kotlina zadrżała od śmiechu.

— Wystarczy! Zejdź z niego, dobrze? — zmarszczył brwi Piotr.

— Tak jest, szefie! — wyrecytował Andrzej, a Jacek fuknął tylko przez zęby:

— Śmiech to zdrowie, biały ser na głowie! — i pomyślał gorzko: — Łatwo wam się śmiać, ale jak się zgubiłem wtedy, to nie poczekaliście na mnie. Ech, szkoda gadać, bo i z kim... — machnął ręką.

— Nie przejmuj się, coś ty taki bez humoru? — zagadnął go Paweł Okularnik.

— Dobra, dobra, gdyby nie Jacek, nie odzyskalibyśmy pistoletu prapradziadka Waleriana. Czy do tego osiągnięcia ktoś ma zastrzeżenia? — zastępowy spojrział dokoła. — Nie widzę, nie słyszę, dziękuję, jednogłośnie! Gratuluję. Odzyskał kolega szanowny zaufanie kolektywu! — żartobliwie uściśnął dłoń Jacka i w powietrzu poweselało, a kosynierskie wspominki rozkręciły się na dobre.

— A pamiętacie, jak leśniczy Leonek z niedźwiedziem się spotkał? — odezwał się Maciek. — Polakomił się na

marynowane lapy niedźwiedzie, a tu zamiast przysmaku dowcipny misio zafundował mu szaleńczą przejażdżkę na swoim grzbiecie przez owies w świetle księżyca — pokiwał głową.

— Dobrze to było, ale się zmyło — przerwał wspomnienia druh Chudy Piotruś. — Czas szykować się na nową przygodę z pieśnią na ustach. Dobrze mówię?

— Kosa! — ryknęła cała piątka.

— Proponuję małą próbę piosenkarską. Czy są inne propozycje? — zapytał.

— Lo-lek! Lo-lek! Lo-lek! — skandowali Kosynierzy, domagając się występu swojego pulchnego cherubinka.

Jacek, udobruchany trochę, zaintonował przebój z Mazanówki:

*Nadszedł już czas,  
by wygasić ognisko.  
Płomień już zgasł,  
jeszcze głównie się tlą...*

— a po chwili śpiewali wszyscy Kosynierzy:

*Wielki jest świat,  
lecz dla nas wszędzie jest blisko.  
Ostatni raz  
stwórzmy nasz wspólny krąg...*

Wokół parowu zgromadziła się już cała klasa. Nawet rozkrakane wrony przestały wydziwiać i umilkły zasłuchane.

*Nadszedł już czas,  
by wygasić ognisko.  
Zacisnąć pas,  
pora w drogę nam iść.  
Ciężko jest nam  
pozostawić to wszystko,  
co gniotło nas,  
lecz uczyło nas żyć...*

Od jeziora niósł się zapach szuwarów. Gdzieś tam daleko pola pachniały gryką, a tuż obok las orzeźwia igliwiem i żywicą, od czasu do czasu parszając dymem spalin z samochodów, które rozlały się między drzewami zagajnika jak kanciaste smrodliwe karaluchy.

*Nadszedł już czas,  
by zobaczyć rodzinę.  
Czeka sto miast:  
Lublin, Kraków i Płońsk.  
Paweł spod Tatr,  
czy Estevan — druh z Chile.  
Chociaż wielki świat,  
każdy znajdzie swój dom...*

Kiedy w parowie ucichło, Piotr uniósł rękę do góry.  
— Znakomicie, będzie to pieśń powitalna naszej włóczęgi!  
— Przecież to pieśń pożegnalna! — wyrwało się Jackowi.  
— Nie szkodzi, w ten sposób nawiążemy do tradycji. Coś się kończy, by zacząć się mogło coś! — wydeklamował Piotr



z isticie hamletowskim patosem i dodał: — No, a kto ułożył słowa i melodię, no kto?

— Lo-lek, Lo-lek, Lo-lek! — głaskali autora pod włos koledzy, a kiedy zaczęli klaskać jak na premierze teatralnej, Jacek był wniebowzięty...

*Jechać albo nie jechać! — oto jest pytanie,  
czyli list z Ameryki Południowej*

— Mamusiu, gdzie jest pompka od roweru? — wykrzykiwał Jacek nad starym składakiem. — A gdzie się podziała torebka z kluczami?

— Coś takiego! — obruszyła się pani Dowgiellowa. — To ja mam pilnować twoich kluczy? Ech, ci mężczyźni! Tylko czekacie, żeby wam wszystko pod nos podstawić!

Tato mrugnął do Jacka lewym okiem, co oznaczało: Nie przejmuj się, brachu, to tak zawsze — pomarudzi i przestanie. Mama ma dobre serce. A że zrzędzi troszeczkę? Cóż, ma powody, ma!

— To już ja poszukam, poszukam — westchnął Jacek.

Otworzył spiżarkę na korytarzu i po chwili słychać było odgłos przewracanych gratów, brzęk słoików z kompotami, stłoczonych na półkach z sosnowych desek.

— Gdzież one się podziały — mruczał Jacek.

— Tak to jest, jak się nie kładzie rzeczy na swoim miejscu! Nabałaganić to jest komu, a potem nos w książkę i sprzątaj, matko, sama, jak chcesz mieć czysto w domu! — zrzędziła pani Dowgiellowa, kiwając głową z politowaniem.

A tato machnął tylko ręką, co mogło oznaczać rezygnację z dyskusji na wiadomy temat, wziął rower pod pachę i klucz do piwnicy, po czym mrugnął do Jacka prawym okiem, co z pewnością znaczyło: Chodź szybko ze mną, brachu, jeśli chcesz jeszcze uratować reszki męskiego honoru.

Po chwili obaj znaleźli się w niewielkiej piwniczce, pośród mysich zapachów. Tato ustawił Wigry-3 na podręcznym warsztacie, położył obok klucze, pożyczone po drodze od sąsiada, założył ręce na piersi i popatrzył na syna. Ten — z rękami założonymi już wcześniej — popatrzył na tatę. Tak patrzyli na siebie z minutę, aż starszy Dowgiello nie wytrzymał:

— No, bierz się do roboty, kolego.

— Ja, ja, tatusiu? Ja chyba nie potrafię — wykrztusił Jacek, czerwony ze wstydu. — Myślałem, że tatuś mi pomoże, a ja popatrzę — dodał.

— Pomoc nie polega na tym, że się robi coś za kogoś. Próbuje sam, a jeśli zepsujesz, to postaramy się naprawić, zgoda? Z patrzenia i gadania żaden chleb nie urośnie. Prawda, panie Ko-sy-nie-rze? — zaakcentował ostatnie słowo, co bardzo silnie podziało na Jacka.

Chwycił klucze i wkrótce jęk maltretowanych części rowerowych świadczył niezbicie o tym, iż pewien czternastolatek zdobywa kolejną sprawność, miotając się rozpaczliwie w głębinie niesamodzielności, zaprawionej szczyptą lenistwa i garścią wygody. Długo by trzeba opowiadać dzieje tej męczarni. Faktem jest, że kiedy pani Dowgiellowa — zaniepokojona kilkugodzinną nieobecnością mężczyzn — przyszła zawołać ich na obiad, rower lśnił czystością i oliwą, a Jacek chwycił za pedał i z dumą kręcił tylnym kołem jak korbą jakiejś bardzo ważnej maszyny.

— No, no, no! — cmoknęła ze zdumieniem.

Kiedy Jacek podnosił do ust kolejną łyżkę kapuśniaku, nagle ktoś poruszył klamką drzwi wejściowych i rozległo się melodyjne din-don!

— Kto to może być? — zaniepokoiła się mama, bo na obiad miała dzisiaj tylko placki i gości żadnych nie oczekiwała.

— Może dziadzio Mateusz? — ucieszył się Jacek.

— Najwyższy czas — mruknął tato i poszedł otworzyć. Za drzwiami stał listonosz.

— Lotniczy polecony do Jacka Dowgiello, proszę pokwitować! — podsunął rejestr do podpisu, a potem dodał: — Mam prośbę, moja siostrzenica zbiera znaczki, czy...

— Ależ proszę bardzo, proszę uprzejmie! — przytaknął odruchowo tato; zaskoczony wpatrywał się w czerwien egzotycznego znaczka z napisem: República del Perú.

Listonosz oderwał znaczek i poszedł.

— O, Boże kochany, a to od kogo? — zawołała mama.

— Nie widzisz, że z Peru? — krzyknął podekscytowany tato. — A to ci sensacja! — kręcił głową. — Z Peru!

Tylko adresat tego listu zachował słoniowaty spokój. Przelknął ostatnią łyżkę kapuśniaku i z namaszczeniem wbił widelec w stertę placków ziemniaczanych. O tak, Lolek Balonowa bardzo poważnie traktował problem żywienia i tylko jakiś wyjątkowy kataklizm mógłby go oderwać od obiadu. Na trzęsienie ziemi jednak się nie zanosilo. Placki zjadł, popił śmietaną i ze stoicką powagą zapytał:

— A co się tam stało?

Pan Dowgiello bez słowa położył przed nim przesyłkę upstrzoną nadrukami w obcym języku. Jacek rozerwał kopertę i zaczął czytać:

— „Amigo! Que gusto!\*” — Przecież to od Estevana! — aż podskoczył w górę z radości. — Ale co on robi w Peru? Przecież mieszka w Chile!

„Drogi przyjacielu! Jakże się cieszę, że mogę już do Ciebie napisać kilka słów. Otóż musiałem uciekać z Santiago, bo mój ojciec był zwolennikiem rządu Salvadore Allende. Prześladowania ze strony faszystowskiej junty dotknęły i moją rodzinę. Schroniłem się w Limie — stolicy Peru. Tu jestem bezpieczny. Peru — to bardzo piękny, tajemniczy kraj. Na pewno Ci się spodoba, jeśli zechcesz mnie odwiedzić. Przesyłam Ci zaproszenie wraz z opłaconym biletem lotniczym do Limy. Mój adres: Estevan Roberto, Avenida Arequipa 1236, Lima, República del Perú. Być może będziesz się obawiał tej podróży dalekiej, a zwłaszcza Twoi rodzice. Podróż samolotem trwa jednak krótko, a harcerz nie boi się trudności. Czekam na rychłą odpowiedź. Wyjdę na lotnisko, jeśli podasz dokładną datę przylotu. Kosa! Estevan.”

Kiedy Jacek skończył czytać, w mieszkaniu Dowgiełłów zapanowała cisza. Tato drżącymi palcami zapalił papierosa i dmuchnął dymem prosto w twarz mamie, oczywiście niechcący. Mama zakaszlała żałośnie i nie wiedziała, co począć ze sobą: klócić się, płakać czy żartować. Patrzyła na tatę, tato na nią, a oboje patrzyli na Jacka.

— No, to pojedź! — odrzekł Jacek, siląc się na bohaterką obojętność.

No i wtedy zaczęło się. Mama wybuchła. Tuląc Jacka do piersi na przemian krzyczała („Nigdzie nie pojedziesz!”) i

\* Amigo! Que gusto! (hiszp.) — Przyjacielu! Jakże się cieszę!



plakała („Syneczku, przecież ty jeszcze dziecko, życie zmarnujesz, sobie i nam zmarnujesz”). Jacek spoglądał błagalnie na ojca, jak na ostatnią deskę ratunku. Pan Dowgiello zgasił papierosa, nabił tytoniem fajkę, pyknął kilka razy i wreszcie przemówił:

— Tak, to jasne, to taka sprawa... — po czym znowu zajął się paleniem fajki, co — jak wiadomo — trwa bardzo długo i zapewnia święty spokój (przynajmniej na czas palenia).

— Nie, moje dziecko, przecież ty nie możesz sam lecieć samolotem, masz dopiero czternaście lat — stwierdziła spokojna już mama.

— Chyba że... chyba że ktoś z nim pojedzie — uśmiechnął się tajemniczo tato.

— Ja? W żadnym wypadku, wykluczone! — zaprotestowała mama, przyzwyczajona do tego, że wszelkie funkcje opiekuńcze spadały zwykle i tak na nią.

— Ani ty, ani ja, kochanie — uspokoił ją Dowgiello. — Przecież nie mamy zaproszeń. Ja już coś wymyślę, nie martw się, dzióbeczku...

Mama zerwała się z fotela.

— A róbcie sobie, jak chcecie, i dajcie wy mi święty spokój! Że też z tymi chłopami zawsze jakieś problemy! — machnęła ręką i trzasnęła drzwiami do kuchni.

W szkole list z Peru wywołał sensację. Wprawdzie większość chłopaków znała Estevana bądź bezpośrednio, bądź z obozowych wspomnień, ale co innego zobaczyć go, posłuchać nawet najbardziej wstrząsających relacji przy ognisku przyjaźni, a zupełnie co innego pojechać gdzieś tam na drugi koniec świata, gdzie w czasie naszej zimy jest lato.

a w czasie lata — nie wiadomo co, jakaś pora deszczowa. Jacek stał się najpopularniejszą postacią w szkolnych murach. Na przerwach nikt go już nie potrącał, nie obdarzał kuksańcami, nie przezywał. Dziesiątki razy musiał opowiadać, jak poznał Estevana, jak dogadali się co do wspólnych przodków, no i skąd Chilijczyk zna tak dobrze język polski.

Chudy Piotr natychmiast zwołał nadzwyczajną zbiórkę zastępu.

— Kosynierzy! Sytuacja jest poważna. Grozi nam znaczne osłabienie sił i środków w postaci jednego człowieka i jednego roweru, jeżeli Jacek rzeczywiście wyjedzie za granicę. Co mamy robić? — rozłożył ręce.

— Wielka mi mecyja, jednej kuli u nogi mniej. Pojedziemy w pięciu. Bez jednego żołnierza wojna się odbędzie! — oświadczył Andrzej Cwaniaczek. Uśmiechnął się pogardliwie i czerwonym grzebykiem przejechał ostentacyjnie po krótko ostrzyżonej czuprynie.

— No nie, to przecież dziecienny sposób rozumowania! — skrzywił się Piotr. — Zrozum, chłopie, że Jacek to jedna szósta zespołu, a w zespole każdy ma inne zadanie do wykonania. Jak go zabraknie, kto będzie robił za siebie i za niego. Może ty?

— Językiem! Językiem! — pisnął Jacek, a Andrzej dmuchnął ze złością w grzebień, teatralnym gestem włożył go do kieszeni koszuli i popatrzył na Jacka z niezbyt skrywanym obrzydzeniem.

— A jakież to problem? Mogę i ja go zastąpić! — wyskoczył Romek.

— No, no, nie tak ostro, koledzy! — odezwał się Paweł

Okularnik. — I po co to gadanie? Mam lepszą propozycję. Po pierwsze, trzeba poczekać, aż Jacek wróci zza oceanu. Wtedy będziemy mogli wyruszyć w komplecie. Po drugie, powierzyć Jackowi odpowiedzialne zadanie, żeby się tam nie nudził i pamiętał o zastępie. Jak się łaskawie uciszycie, to powiem jakie. Już można? No więc, jak już będzie w tej Ameryce, niechaj postara się zebrać do naszej harcówki jak najwięcej egzotycznych eksponatów. A przede wszystkim jedno zadanie będzie szczególnie trudne i niebezpieczne...

W tym momencie Jacek zbladł, a wszyscy Kosynierzy pochylili się w oczekiwaniu.

— Niech zdobędzie pióro ze skrzydła purpurowego kondora! — zakończył Paweł, a w harcówce powiało grozą.

— O ile wiem, nie ma purpurowych kondorów — wtrącił Chudy Piotr.

— Czerwony kondor to cud natury, jak nasz legendarny kwiat paproci — kontynuował Paweł. — Pojawia się podobno czasami nad peruwiańską dżunglą.

— Dobra, mogę zdobyć! — odpowiedział Jacek, z trudem opanowując drżenie głosu.

— Złóż przysięgę! — dodał Maciek Koszykarz.

Wszyscy wstali, a Jacek podszedł do Ściany Tradycji, na której wisiał najprawdziwszy pistolet o fantazyjnych kształtach i ozdobnym, bogato inkrustowanym wykończeniu. Wysmukła rękojeść lśniła płytkami z kości słoniowej. Jacek położył dwa palce na pistolecie i — wpatrując się w wygrawerowany tuż nad rękojeścią napis *umrzem lub zwyciężym* — 1830 — powiedział głośno:

— Przysięgam, że honoru Kosyniera nie splamię!

— Kosa! Kosa! Kosa! — odpowiedział zastęp.



W domu Dowgiellów jedynym tematem dyskusji był isticie hamletowski dylemat: Jechać albo nie jechać? Wbrew kosynierskim entuzjastycznym przysięgom wyjazd Jacka nie był jeszcze sprawą postanowioną. Mama w dalszym ciągu panikowała, tato tajemniczo obiecywał, że coś wymyśli, a Jacek trząsał portkami, choć nadrabiał miną, bo, jako harcerz, musiał trzymać fason, żeby nie zawieść zaufania zastępu.

Wreszcie któregoś dnia tato przyprowadził wysokiego szpakowatego mężczyznę.

— To jest pan doktor Kazimierz Muszyński, który jest lekarzem naszej floty rybackiej przebywającej aktualnie na łowiskach u wybrzeży Peru! — przedstawił gościa.

Okazało się, że doktor Muszyński mieszka w Lublinie, a niebawem kończy mu się urlop i musi wyjechać do pracy. Leci samolotem i mógłby zaopiekować się Jackiem.

— No to kości zostały rzucone! — zatarł radośnie ręce tato.

— Jakie kości? — zaniepokoiła się mama i pobiegła do kuchni, żeby sprawdzić, czy pudeł Pudrek nie otworzył przypadkiem lodówki.

— *Iacta alea est!* — powtórzył tato po łacinie, iżby jakikolwiek związek z kuchnią wykluczyć.

Mama zaparzyła kawę, tato rozlał koniak w kieliszki. Jacek, nurkując palcami w szklance z wiśniowym kompo-tem, przysłuchiwał się rozmowie dorosłych, którzy właśnie omawiali szczegóły jego wyprawy.

— Ech, jak te lata lecą! — zamyślił się tato. — Ja tak bardzo marzyłem kiedyś o gorącym słońcu, o egzotycznej puszczy pełnej lian i wielkich paproci. Olbrzymia rzeka jak

morze i te cudownie kolorowe motyle, wielkie jak ptaki! Mnie się nie udało, ale ty, synku, musisz tam pojechać! No co? — uśmiechnął się do Jacka, a oczy zwilgotniały mu tak jakoś po babsku.

Kiedy doktor Muszyński wyszedł, mama zaczęła pochlipywać, ale Dowgiełło senior rąbnął pięścią w stół i krzyknął:

— Dosyć tego mazgajstwa! Jak powiedziałem, że pojedzie, to pojedzie i koniec! — rąbnął pięścią po raz drugi, aż mama rozplakała się na dobre.

Tato machnął ręką, przytulił ją do piersi i Jacek ujrzał scenę całowanych przeprosin. Na wszelki wypadek wyszedł z dużego pokoju i leżąc u siebie na wersalce, wertował słowniczek polsko-hiszpański, choć język konkwistadorów znał dosyć dobrze, bo nie zmarnował roku, dzielącego go od poprzednich wakacji. Ci dorośli! Zupełnie jak dzieci! — medytował, a Pudrek turlał się po nim, jak czarna karakułowa bryłka z dwoma szklanymi guzikami bystrych oczu...

Port lotniczy na Okęciu drżał od huku silników i pożegnalnych pocałunków. Rozgrzane powietrze falowało szkliscie nad głowami przejętych Kosynierów. Mama przełykała łzy, co chwila sprawdzając ukradkiem w lusterku, czy makijaż jeszcze się trzyma, czy już się rozmazał. Pudrek obszczekiwał zawzięcie szybujące nad ziemią srebrne olbrzymy, a tato musiał zachować męski spokój.

— Nie martwcie się o mnie, dam sobie radę! — powtarzał Jacek po wielokroć to jedno zdanie, a uszy czerwieniały mu z wrażenia prawie tak intensywnie jak pyzata twarz, pachnąca szminką i aromatycznym tytoniem amfora.

— Tak, tak, nic mu się nie stanie, jedzie przecież ze mną! — dodał doktor Muszyński. Jego smukła sportowa sylwetka, opalona twarz i szpakowate włosy wzbudzały zaufanie.

Kiedy samolot zniknął nad horyzontem, państwo Dowgiełłowie rozkleili się zupełnie. Pominać wypada milczeniem tę wzruszającą scenę, o której ja wiem, a wy się domyślicie. Niezbyt trudno zgadnąć też, co było później i jeszcze później. Słowem — upłynęło wiele słów, lez i czasu, nim rodzice Lolka Balonowy oswoili się z jego nieobecnością.

— Na pewno da sobie radę, moja krew — mruzczał tato wieczorem, po powrocie z Okęcia. — Zresztą, dżunglę to on ma zakodowaną w genach — dodał tajemniczo.

— Co ty pleciesz?! — obruszyła się mama. — Jaką dżunglę? W jakich genach? Pokaż no czoło, może masz gorączkę? — jęknęła.

— Peruwiańską, kochanie, dżunglę peruwiańską. A odziedziczył genetycznie po moim dziadku Karolu, który w latach międzywojennych dał się namówić na wyjazd za ocean.

— Jak to: dał się namówić?

— No tak, w latach dwudziestych modna była taka gorączka kolonizacyjna. Nazywało to się: „Zdobywamy zamorskie kolonie dla polskiego mocarstwa” czy coś w tym stylu. A że bieda w kraju aż piszcziała, to wielu uwierzyło tej propagandzie i wyjechało za chlebem do Ameryki Południowej. Miało tam być jak w raju: ciepło, łagodnie, w bród soczystych pomarańczy, bananów i innych smakolejków rosnących na dziko, bez uprawiania. Na każdego miała

czekać la chacra, czyli bogata farma z ogromną ilością żyznej, niczyjej ziemi — westchnął.

— Ej, coś ci się poplątało! Przecież dziadek Karol był znanym ogrodnikiem. Mieszkał koło Warszawy, powodziło mu się dobrze i nie musiał szukać dobrobytu za oceanem — wtrąciła mama, kręcąc głową z powątpiewaniem.

— To prawda, kochanie, ale dziadkowi nie o dobrobyt szło. On sam śmiał się z tych, którzy uwierzyli w tę rajską propagandę. Dziadkowi zagrano jednak na jego naukowej ambicji. Tak, tak! Był botanikiem-amatorem, do pism specjalistycznych nawet pisywał, artykuły naukowe ogłaszał. No i pojechał z grupą osadników, żeby nowe gatunki motyli i roślin egzotycznych dla polskich muzeów odkrywać.

— I co, odkrył coś?

— Bądź uprzejma nie przerywać, kochanie. Otóż kiedy dotarli do Peru, okazało się, że padli ofiarą oszustwa, bo zamiast do łagodnego raj, trafili do zabójczego piekła żarłocznych roślin, jadowitych węży i niezauważalnych skorpionów. Wokół nieprzenikniona puszcza. Próbowali ją karczować, ale daremny trud; tam gdzie rankiem wyrabali zarośla, pod wieczór wyrastały już z ziemi nowe, bujne i pleniące się zachłannie, rozbuchane gorącem i wilgocią. Kiedy wreszcie z trudem wypalili kawałek dżungli i zebrali po jakimś czasie plony, nie mogli ich sprzedać, bo z Satipo do sąsiedniej miejscowości było kilkaset kilometrów i żadnej drogi, żadnego połączenia, oprócz rwącej rzeki, pełnej czyhających niebezpieczeństw. Parowiec, który ich tu przywiózł, nie pokazał się już więcej, bo i po co. A łódkami wyprawić się w dół rzeki — strach, wielki strach. Zapasy żywności, ubrań i amunicji w końcu wyczerpały się. Aby



utrzymać się przy życiu, jedli zielone banany, polowali na papugi, a potem chorowali na biegunkę, malarię lub marnieli w oczach od wchłanianych z wodą i pokarmem pasożytów. Moskity, kleszcze, wszy, gorączka i krwotoki — oto, co spotkało ich w dziewiczej puszczy zamiast dobrobytu.

— Po co mi to wszystko opowiadasz, no po co?! — krzyknęła pani Dowgiellowa, blada i zmieniona na twarzy.

— Żeby ci pokazać, jaka krew płynie w żyłach Jacka. On nie może być mięczakiem, skoro jego pradziad potrafił wywinąć się z takich opresji. Ech, długo by opowiadać, jakie trudności pokonywał, by wreszcie wrócić do kraju. Ale cel osiągnął, bogatą kolekcję przyrodniczą do Polski przywiózł...

— Dlaczego mi dotąd nic nie mówiłeś o tej wyprawie dziadka Karola? — wtrąciła z wyrzutem w głosie.

— Bo przecież, kochanie, to sukcesy dziadka, nie moje. Każdy człowiek powinien chwalić się tylko tym, co osobiście osiągnie, na co sam zapracuje. Nie martw się. Przecież Jacek nie będzie mieszkał w dżungli. Przeleci tylko nad nią i wyląduje w Limie, prawda? — pogłaskał żonę po włosach.

— Oby szczęście mu sprzyjało — szepnęła i przytuliła się do jego piersi.

Lampka zgasła i wkrótce w M-3 państwa Dowgiellów nastąpiła cisza, przerywana tylko chrapaniem mężczyzny i ciężkimi westchnieniami kobiety, która tej nocy długo nie mogła zasnąć. Na ścianach sypialni igrały refleksy ulicznych świateł jak nastroszone senne widziadła. Z ciemnych kątów wylaniały się groźne stwory rodem z peruwiańskiej dżungli...

*Szczęście w nieszczęściu,  
czyli co się zdarzyło nad terytorium Peru*

— Dzień dobry państwu! W imieniu załogi wita państwa kapitan Jerzy Kowalik — popłynęła z głośników stereotypowa formułka, kiedy zaraz po starcie uśmiechnięte stewardesy zaczęły roznosić śniadanie. — Znajdujemy się w samolocie TU-134, należącym do Polskich Linii Lotniczych LOT. Odległość dziewięciuset kilometrów, dzielącą nas od Frankfurtu nad Menem, pokonamy w ciągu dwóch godzin. Życzę państwu przyjemnej podróży! — Brzęknął wyłączony mikrofon i Jacek mógł już spokojnie zająć się śniadaniem.

Gdyby z jedzenia stawiano oceny, z pewnością otrzymałby piątkę z plusem. Emocje podniebnego lotu zaostrzyły dodatkowo apetyt i Jacek pochłaniał kanapki z szynką jak wesoły termit meble w domu psa Huckleberry. A czy to moja wina, że to takie smaczne? Co, ma się zmarnować? — myślał pospiesznie, patrząc z wyrzutem na uśmiechniętego doktora.

— Jedz, jedz, nie przejmuj się! — klepnął go po plecach doktor Muszyński. — Na takiej wysokości to przecież konieczne!

We Frankfurcie oszołomił Jacka obcojęzyczny gwar, kolorowa hałaśliwość brudnego pośpiechu. Ścisnął kurczowo za rękę doktora. Ten wsłuchiwał się ponuro w ostry szczekot głośników, przymknął powieki...

— Achtung! Achtung! Die Fluggasten nach Buenos Aires... — zaszczekały głośniki.

Doktor Muszyński ocknął się. Zapalił papierosa. W okazałych oszklonych ścianach dworca lotniczego igrało dojrzałe soczyste słońce jak na szybach ogromnego akwarium. W hali było jednak duszno, lekki powiew wentylatorów chłodził czoła. Kolorowe plakaty z roześmianymi dziewczętami w mundurkach reklamowały usługi linii lotniczych „Lufthansa”. Trzech szpakowatych mężczyzn w tyrolskich kapeluszach hałaśliwie kiwało się nad ogromnymi kuflami piwa w podróznym bufecie. Dyskutowali o czymś zawzięcie i agresywnie gestykulowali, nie zwracając uwagi na otoczenie.

— Duszno tu, nie ma czym oddychać — mruknął doktor Muszyński, przerywając Jackowi rozmyślania.

Przecież klimatyzacja działa znakomicie — pomyślał Lolek Bałonowa, ale posłusznie wyszedł za doktorem, nie zadając niepotrzebnych pytań. Cnotę milczenia hartował przecież już na obozie w Mazanówce ubiegłego lata.

Doktor Muszyński milczał aż do momentu, gdy usadowili się znowu w samolocie i potężna maszyna wzleciała w powietrze.

— Z jaką prędkością lecimy, proszę pana? — zapytał Jacek po pierwszej przekąsce.

— Przypuszczam, że ponad dziewięćset kilometrów na godzinę, mój drogi — uśmiechnął się doktor.

Jacek pomedytował trochę w duchu, powyglądał przez okienko, ale niewiele zdołał zobaczyć. Świat przesłonięty już był pierzyną śnieżnych chmur. — O rany, ale musi być wysoko! — jęknął z wrażenia.

— To nie szybowiec, kawalerze, to Boeing-727 — uśmiechnął się doktor. — Znajdujemy się na wysokości dziesięciu tysięcy metrów!

— E tam, wielka mi atrakcja! — wydał usta Jacek. — Słyszałem, że z samolotu to wszystko widać, a tu...

— Ziemię najlepiej widać, kiedy się po niej stąpa, kiedy czuje się jej zapach, kiedy się jest blisko niej. A oglądana z wysokości jest martwa. Rozumiesz? Tak samo z ludźmi. Gdy jesteś wśród nich, to ich słyszysz i czujesz. A jak spoglądasz z bardzo wysoka, to tak, jakbyś nieme kukły oglądał, podrygujące automaty. No, nie przejmuj się tak, chłopcze, tym moim gadaniem. Opowiem ci za to, jak jesienią tysiąc dziewięćset pięćdziesiątego roku leciałem samolotem do Buenos Aires. Ale to była frajda dla takiego chłopaka jak ty teraz! Z Warszawy do Paryża, a z Paryża do Madrytu — w trzy godziny. Cóż, wtedy jeszcze nie latało się tak szybko jak dzisiaj. Pamiętam przelot nad Hiszpanią. Czerwona pustynia, ani jednego drzewa, wyschnięta i goła ziemia jak krwawe klepisko zryte tak, jakby zupełnie niedawno spłynęły tamtędy fale potopu. Susza okropna, deszcz nie padał tu od ponad roku. Tym większa spiekota na lotnisku, położonym za miastem. Wokół brązowa spaleniźna pól, krzaki zeschniętych kolczastych bodziaków. Gdzieniedzie ciemne kępy wysmukłych cyprysów — ni to parki, ni to cmentarze. Krótki postój i znowu w powietrzu. Podo mną żółcizna domków, rozrzuconych chaotycznie, a nade mną niebo tak czyste jak gigantyczny niebieski klosz, jak... tego koloru nie da się opowiedzieć, tego nieba fiołkowego, tej rozmytej akwareli. Widoczność znakomita, meandry jakiejś rzeki, a nad nią strzelista wieża. Stryj mój



tłumaczy, że to kręty Gwadalkiwir, a ta wieża, to katedra w Sewilli. Przelatujemy nad portem w Kadyksie i już w oddali majaczy ponura skała przylądka Trafalgar. A potem Gibraltar i Słupy Herkulesa...

— Czy stoi tam jakiś pomnik ku czci generała Sikorskiego? — wykrztusił Jacek, czerwony z wrażenia. Bądź co bądź niewielu z jego kolegów mogłoby się pochwalić udziałem w takiej rozmowie i na takiej wysokości...

Doktor Muszyński machnął ręką, po czym dodał dla pełnej jasności:

— Wówczas nie stał, a teraz tym bardziej nie stoi. Ba, nawet polskim lotnikom, którzy walczyli w RAF i polegli, broniąc Anglii przed hitlerowską Luftwaffe, odmawia się dziś miejsca w angielskiej historii. A kto dziś w Anglii pamięta o tym, że to Polacy, polscy uczeni, uratowali Londyn, rozpracowując hitlerowską „cudowną broń”, słynne rakiety V-2? Jeszcze trochę, a dowiemy się, iż zwycięstwo nad faszyzmem i zakończenie II wojny światowej to wyłączna zasługa Anglików!

Doktor Muszyński umilkł i bębnił nerwowo palcami w oparcie fotela. Stewardesy zaczęły roznosić kolację. Jacek nie śmiał już o nic więcej pytać. Patrzył tylko w napięciu na swojego opiekuna. A doktor po chwili uspokoił się i dodał:

— Zresztą, mój drogi, oni zawsze byli i są narodem megalomanów, zapatrzonych w czubek własnego nosa. Gadać tylko potrafią, obiecywać. A jak w Polsce trwoga, stać ich tylko na dobre rady! — skrzywił się w gorzkim uśmiechu.

Po kolacji temperatura uczuć wróciła do normy i doktor kontynuował opowieść o młodzieńczej podróży samolotem:

— No więc minęliśmy ten nieszczęsny Gibraltar, potem Casablancę i wreszcie pojawiło się pod nami Maroko, całe naszpikowane okrągłymi zagrodami w białym i czarnym kolorze, a jeszcze dalej góry Wielki Atlas. Lecieliśmy wzdłuż wybrzeża, aż wreszcie na własne oczy ujrzałem Saharę.

— Czy to prawda, że pustynia jest żółta? — wtrącił swoje trzy grosze Jacek.

— Sahara mieniła się wówczas różnymi kolorami: czerwień, żółć, biel, a nawet czerń — cienie obłoków, co na styku z szafirowym brzegiem Oceanu Atlantyckiego tworzyło niezapomniane wrażenie. Szkoda, że nie możesz tego zobaczyć! Ale wtedy, cóż to była za szybkość: zaledwie 350 km/godz. Gdzieniedzie zamajaczyła w dole karawana wielbłądów. Po dwóch godzinach lotu nad Saharą zaczęła się psuć widoczność, wypłynęły nie wiadomo skąd chmury. Zdążyłem zobaczyć tylko jakieś małe domki kolonialne, jak czerwone grzyby na piasku, tylko białą latarnię morską i wpadliśmy w mgłę obłoków. W Dakarze wylądowaliśmy razem z tropikalnym deszczem. Ogromni Murzyni w białych powiewnych szatach zaraz wręczyli nam papierowe wachlarzyki i mrożone napoje. A z nieba lał się potworny żar, przemieszany z gorącym deszczem. Murzyni pocili się jakby mniej...

— Zapewne byli to Senegalczycy? — wtrącił Jacek od niechcienia, żując kanapkę.

— Tak jest, kolego, bo Dakar to stolica Senegalu. Ano zobaczymy, czy taki kozak jesteś. Powiedz no, dlaczego Murzyn jest czarny? — uśmiechnął się chytrze doktor.

— To bardzo proste, proszę pana. Ciemna skóra jest jakby izolacją i chroni Murzyna przed rakotwórczym

działaniem intensywnego promieniowania ultrafioletowego, zawartego w świetle słonecznym. To mądra przyroda kształtuje tak przez tysiące lat tak zwane cechy rasowe, drogą selekcji naturalnej, jako przystosowanie do warunków klimatycznych — wyrecytował Jacek i spojrzał z triumfem na zaskoczonego doktora.

— No, no, no, no... — mrucał Muszyński z uznaniem. — To w szkole was tego wszystkiego uczą?

— Iiii tam — skrzywił się Jacek. — Jak kogoś coś naprawdę interesuje, to nie musi się oglądać na szkołę. Przecież wybierałem się w podróż dookoła świata, to poczytałem trochę i o Afryce, no nie?

Muszyński stracił ochotę do doksztalcenia Jacka z geografii stosowanej, i obaj panowie pogrążyli się w rozmyślaniach. Boeing przedzierał się przez ciemność, zawieszony nad nieskończoną otchłanią Atlantyku. Jacek poczuł nagle, że jest członkiem wyprawy kosmicznej. Cel wyprawy: Słońce. Oto siedzi w hermetycznym wnętrzu pojazdu międzyplanetarnego. Załoga „G”, międzynarodowa oczywiście, penetruje Galaktykę, zwaną też Drogą Mleczną. Na wielkim panoramicznym ekranie widać jak na dłoni złocistą tarczę Słońca. Bóg Inków, Wirakucza, promieniuje życiodajnym żarem.

Muszę do niego dotrzeć, muszę, by potem w Peru opowiedzieć Inkom wszystko o ich słonecznym bóstwie. Przybędę do nich jako wysłannik Wirakuczy — biały anioł wszechświata! — fantazjował Jacek. Po chwili jednak zmienił zdanie. — No nie, sto pięćdziesiąt milionów kilometrów to stanowczo za daleko. Zanim dotrę do Słońca, upłyną całe wieki. A kiedy wrócę, czy Ziemia będzie



jeszcze istnieć? Może pozostanie po niej tylko atomowy grzyb w przestrzeni?

Na ekranie samolotowego okienka nic nie widać. Noc ciemniała czernią nieprzeniknioną. Gdzieś daleko jaśniał tylko strzępek księżyca, odwrócony rogami do góry.

— O czym tak dumasz, kawalerze? — zagadnął go doktor Muszyński.

Jacek już miał odpowiedzieć, kiedy nagle coś zatrzęsło nim, aż podskoczył w fotelu. Olbrzymi Boeing wpelził w środek jakiegoś piekła. Ciemność rozdarły błyskawice. Pioruny spływały po oknach jak krople ognistego deszczu. Nad kabiną pilota zapalił się napis: „Fasten seat belt” i pasażerowie zaczęli gwałtownie zapinać pasy. Stewardesy krzątały się z pomocą. Kadłub samolotu drgnął i zakołysał nieco. Jacek odruchowo przytulił się do swego opiekuna. Ręce drżały mu mimo woli, choć usiłował opanować lęk.

— No co, zdaje się, że wywołaliśmy wilka z lasu? — doktor przymrużył oko. — Nie bój się, synku, to nic groźnego. To tylko burza równikowa, to nic... No i już po strachu!

Burza ucichła równie gwałtownie, jak się pojawiła. Została gdzieś daleko w tyle, choć nadal wokół samolotu czaiły się jeszcze spiętrzone i pofalowane potwory z chmur, rozpędzone fioletowozielonym blaskiem na wszystkie strony. Ale i one wkrótce rozplynęły się w strugach deszczu. Stewardesa rozdała wszystkim pasażerom dyplomy przekroczenia równika. Emocje opadły, a obaj nasi panowie zdrzemnęli się nieco. Kiedy w dole zabłyśły światła wielkiego miasta, Jacek odetchnął z ulgą. Ziemia! Te długie godziny lotu nad bezdenną otchłanią oceanu nie należały do

najprzyjemniejszych. Samolot rozpoczął manewr lądowania i Jacek stwierdził raptem, że... głuchnie! Szum w uszach, ucisk i... tylko niemy film przed oczami! Odzyskał słuch, kiedy już siedzieli w poczekalni. Potworny upał, czerwone klepisko i goły horyzont. Jak w Afryce!

— Dlaczego tu jeszcze noc? Przecież już rano?! — zdziwił się Jacek, patrząc na swój zegarek, na którym była godzina 6.15.

— A popatrz no, kawalerze, na ten zegar — poradził mu doktor. Jacek spojrział i oniemiał: wskazówki zegara wiszącego nad drzwiami wskazywały godzinę 2.15!

— No tak, prawda, zapomniałem na śmierć! Przybyło nam cztery godziny! Jesteśmy przecież już na kontynencie amerykańskim! — krzyknął.

— Tak, mój drogi, jesteśmy w Natalu, stolicy brazylijskiego stanu Rio Grande do Norte.

— Ojejku, Brazylia! A ja myślałem, że to już Buenos Aires. Ale ten samolot się wlecze! — westchnął Jacek.

— A dokąd ci tak spieszno, kawalerze? Jeszcze zdążysz się spocić! — doktor Muszyński spojrział rozbawiony na towarzysza podróży: Jacek właśnie zasiadł do półmiska, na którym obok białej — i nijakiej w smaku — bułki, piętrzyły się krążki ananasów abacaxi i sterty niewielkich brazylijskich bananów.

Kiedy już się na dobre rozjaśniło, mogli wreszcie podziwiać bujną roślinność podzwrotnikową, domy porośnięte kwitnącymi krzakami i otoczone różowymi oleandrami. Wśród mnóstwa palm stały drzewa mangowe, obwieszane owocami. Owoce mango nie smakowały Jackowi.

— Wyglądają tak, jakby zrobione były ze świeżego

mięsa, no i śmierdzą terpentyną! — poskarżył się, ale doktor tylko wzruszył ramionami i wskazał ręką krajobraz.

Zielone fale oceanu i szafirowe niebo tworzą bajkowy koloryt. Stado sępów urubu na tym błękitnym niebie nie pozwala jednak ani na moment zapomnieć o surowej rzeczywistości. Krążą w powietrzu, podobne do gigantycznych motyli-żałobnic. Liście palmowe ocierając się o siebie, wydają monotony szelest. Nim Jacek zdążył się rozejrzeć na dobre, trzeba było ruszyć w dalszą drogę. Samolot podźwignął w górę swój olbrzymi kadłub i począł wspinać się w powietrze coraz wyżej i wyżej. Znowu za oknami spiętrzyły się ciężkie obłoki, deszczowe sine chmury przybrały fantastyczne kształty tajemniczych ponurych budowli. Na szczęście pęd burzy nie skrzyżował się tym razem z lotem potężnego Boeinga. Nad Rio de Janeiro zachwyca Jacka krajobraz, ta swobodna mieszanina morza, lasu i gór, otoczona lagunami, otulona mgłami po wszystkich załomach. Krótki postój w Rio, i samolot znowu zrywa się do lotu. Mija czerwone skały nad Sao Paulo, ostatnie plamy lasów i nad stepami wpada w gęstą mleczną mgłę...

Nagle do kabiny pilota podchodzi wysoki blondyn w ciemnych okularach, z czarną walizką w ręku. Stoi przez moment przed wejściem, ale po chwili rozmyśla się i wraca na swoje miejsce w trzecim rzędzie koło okna. Sympatyczny blondyn uśmiecha się do przechodzących dziewcząt i jednej z nich, rudowłosej piękności, wciska do ręki jakąś karteczkę, niczym liścik miłosny. Dziewczyna uśmiecha się niedbale i chowa kartkę do kieszeni. Znowu oferta matrymonialna! — myśli zapewne, przyzwyczajona do takich załotów.

Sympatyczny blondyn w ciemnych okularach przestaje się uśmiechać i prosi o przeczytanie karteczki. Dziewczyna czyta i... błędnie.

Jacek bacznie obserwuje rozwój sytuacji. Stewardesa wchodzi do kabiny pilota. Co się stało? Jacek nie wie co, ale domyśla się, że na pokładzie samolotu zaistniało coś bardzo ważnego. Do kabiny pilota wchodzi też tajemniczy blondyn z walizką. Po kilku minutach rozlega się głos pilota:

— Proszę państwa o uwagę! Z powodu nagłego pogorszenia się warunków atmosferycznych port lotniczy w Buenos Aires nie przyjmuje samolotów. Zmuszeni jesteśmy wziąć kurs na Limę. Ze względu na pogarszającą się pogodę w naszym regionie i możliwość występowania tak zwanych dziur powietrznych prosimy o zapięcie pasów. Obsługa samolotu życzy państwu przyjemnej podróży! — brzęknął głośnik i umilkł.

Wśród pasażerów zawrzało. Gorączkowo zapinali pasy.

— Czy pan coś z tego zrozumiał, panie doktorze? — emocjonował się Jacek.

— Owszem, tak się, niestety, złożyło, że niemiecki znam równie dobrze jak polski — odrzekł.

— E tam, treść to ja też rozumiałem, proszę pana, chodziło się na te języki, no nie? Ale o co tu chodzi? — niecierpliwil się.

— Pilot chciał przez to powiedzieć, że jest wszystko okay! — machnął niedbale ręką doktor.

— Jak to okay? Przecież... — nastroszył się Jacek, ale doktor przerwał mu w pół słowa.

— W języku dyplomatycznym znaczy to, że jest dobrze, ale nie całkiem beznadziejnie. A tobie radzę, mój drogi,



trzymać język za zębami i nastawić się raczej na odbiór. Fonia i wizja na cały regulator! Coś się szykuje... — mruknął.

Blondyn w dalszym ciągu nie wychodził z kabiny pilota. Rudowłosa stewardesa przechadzała się między fotelami, podając napoje. Znowu uśmiechała się promiennie. Kiedy nachyliła się nad Jackiem, by ponad nim podać szklankę doktorowi Muszyńskiemu, z kieszonki wyleciała jej złożona na czworo karteczka i upadła Jackowi prosto na kolana.

No nie, ja chyba śnię. Takie sytuacje zdarzają się tylko w bajkach! — pomyślał, szybko zakrywając ręką papierowy kwadracik.

Kiedy rudowłosa przeszła dalej, ostrożnie rozłożył karteczkę.

— O rany! — jęknął.

Tekst był napisany po angielsku, a Jacek niezbyt pilnie uczeszczał na lektorat tego języka, traktując to jako pańszczyznę, wymyśloną przez rodziców z aspiracjami, a zresztą był bardzo zajęty językiem hiszpańskim, no i dwóch srok nie potrafił utrzymać w garści... Dyskretnie przekazał karteczkę Muszyńskiemu. Ten rzucił tylko okiem na napisany spokojnym, równym pismem tekst i szeptem przetłumaczył:

— „Natychmiast wziąć kurs na Limę. Dostarczyć na lotnisko 250 tysięcy dolarów i spadochron typu sportowego. W walizce mam bombę. Przy najmniejszej próbie oporu wysadzę samolot. Mnie na życiu nie zależy!”

— Panie doktorze... — szepnął. — Nam to nawet po drodze, bo i tak lecieliśmy do Limy. Najwyżej pan nie



pozałatwia swoich spraw w Buenos Aires. Ale po co mu ten spadochron? — zdziwił się.

— Posłuchaj. W Limie wypuści pasażerów i część personelu. Zostawi jakąś stewardesę na zakładniczkę, no i załogę niezbędną do kierowania samolotem. Kiedy wrzucą do środka worek z forszą, każe wystartować. A w powietrzu, z palcem na spuście zapalnika, wyegzekwuje następane polecenie: pułap najwyżej trzy tysiące metrów, szybkość do dwustu mil, nie zabezpieczać tylnego wyjścia. Stewardesę zamknie w pomieszczeniu załogi, i odtąd porozumiewać się będzie tylko przez telefon wewnętrzny. A potem wyskoczy przez te tylne drzwi z workiem dolarów u pasa. Skok z opóźnieniem, żeby go eskorta nie dostrzegła. I do tego właśnie potrzebny mu jest spadochron sportowy, rozumiesz? To fachowiec!

— Dobrze pomyślane — cmoknął Jacek. — Ale i tak nie wierzę, że mu się uda. Wpadnie w strumień gazów spalinyowych! — dodał.

— Ten typ samolotu, mądralo, ma akurat tylne wyjście tak skonstruowane, że dobry skoczek może uniknąć tego niebezpieczeństwa. A ten tam wygląda mi na jakiegoś komandosa — odpowiedział doktor i przymknął powieki, jakby próbując zobaczyć najbliższą rzeczywistość już teraz, w obecności chłopca, powierzonego jego opiece.

Tymczasem Boeing w dalszym ciągu przedzierał się przez morze ślepej mgły. Pasażerowie zapomnieli już o chwilowym zamieszaniu, wywołanym zmianą kursu. Stewardesy roznosiły kanapki i znowu różnojęzyczny gwar rozpaplał się beztrąsko we wnętrzu potężnego kadłuba przemierzającego przestrzeń. Trwało to z godzinę. Może dłużej. Jacek stracił

rachubę czasu, wpatrując się jak zahipnotyzowany w drzwi kabiny pilota, za którymi zniknął dawno, dawno temu tajemniczy blondyn z bombą.

Dobrze, że ludzie nie wiedzą, co jest grane, dopiero byłaby panika! — pomyślał.

Stewardesy zbierały naczynia po posiłku, doktor Muszyński czytał książkę. Wreszcie drzwi zostały otwarte i pojawił się w nich uśmiechnięty blondyn w ciemnych okularach, z nicodłą walizką pod pachą. Uczynił dwa kroki do przodu i nagle zachwiał się i runął na brzuch jak długi wzdłuż przejścia między fotelami. Z tyłu, za nogami, jaśniała świeża skórka banana, a wyciągnięte przed siebie ręce zaciskał kuczowo na walizce, która podczas upadku otworzyła się! Wewnątrz leżały dwa czerwone cylindry, połączone drutem.

— To bomba! — krzyknął ktoś histerycznie.

W okamgnieniu powstał wielki pisk i krzyki przerażenia. Blondyn rzucił się do przodu i chwycił drut łączący cylindry. Doktor Muszyński skoczył w jego kierunku i całym ciałem zakrył otwartą walizkę, przyciskając do niej ręce porywacza. Niestety, o ułamek sekundy za późno...

Potworny huk targnął samolotem. Jacek poczuł straszliwy wstrząs i stwierdził resztką świadomości, że nie jest już w samolocie! Siedzi w fotelu i koziółkuje w dół! Fotel oderwał się od kadłuba wraz ze skrzydłem! Pas bezpieczeństwa dusi, uciska mu brzuch, tłamsi oddech. Drzewa wirują w dole jak morze kalafiorów. Traci przytomność. Jeszcze jeden wstrząs i... Ciemność...

*Rozpacze i nadzieje,  
czyli gdzie jest Jacek?*

Agencje prasowe całego świata podawały komunikat o katastrofie samolotu Boeing-727 nad terytorium Peru. Kiedy pani Dowgiełłowa włączyła radio, usłyszała tylko zakończenie: „...nie jest znana liczba ofiar katastrofy. Władze peruwiańskie wszczęły energiczne śledztwo w tej sprawie”. Nie kojarzyła sobie jednak tych słów z niczym szczególnym. Ot, jeszcze jeden komunikat o czymś tam, co gdzieś tam, daleko i nie o nas.

Pod oknem zazgrzytały hamulce. Pani Dowgiełłowa machinalnie zerknęła w tym kierunku. Przed blokiem zatrzymała się niebieska furgonetka z napisem „LOT”. Kierowca wyszedł i zatrzasnął drzwi.

— Patrz, z LOT-u przyjechali — powiedziała do męża, różlewając mleko do szklanek.

— Ciekawe do kogo, przecież tu nie mieszka żaden ich pracownik — mruknął Dowgiełło.

— A może chodzi o... — spojrzała z lękiem na męża, nie mogąc wykrztusić drugiej części zdania, jakby w obawie, że słowo ciałem się stanie.

W tym momencie rozległo się energiczne pukanie do drzwi. Dowgiełłowie znieruchomieli. Kiedy pukanie się powtórzyło, pan Dowgiełło otworzył. W progu stało dwóch mężczyzn w średnim wieku. Jeden z nich miał na sobie kurtkę od munduru, często spotykanego na Okęciu. Drugi,

ubrany w elegancki garnitur z szarej wełny i białą koszulę, zapytał:

— Czy państwo jesteście rodzicami Jacka Dowgiello?

— Tak, jesteśmy, a czy coś się stało? — głos mamy zadrżał.

— Jak by tu powiedzieć... — obaj panowie spojrzeli po sobie.

— I tak, i nie. Ale proszę się nie denerwować, bardzo proszę. Mamy nadzieję, że syn państwa jest zdrowy i cały...

— O Boże! Katastrofa! Jacek! — wyrzuciła z siebie stłumionym głosem Dowgiellowa i osunęła się na dywan.

Panowie z LOT-u chrząknęli z zakłopotaniem. Dowgiello pobiegł po wodę do kuchni. Po chwili mama Jacka ocknęła się.

— Proszę państwa, jeszcze nic nie wiadomo. Otrzymaliśmy wiadomość o katastrofie lotniczej nad terytorium Peru, ale doprawdy jest nadzieja. Nadzieja jest. Syn nie figuruje na liście tych, którzy ponieśli śmierć. Trwają poszukiwania, proszę być dobrej myśli, będziemy informować na bieżąco o wynikach poszukiwań. Do widzenia państwu! — panowie dyskretnie wycofali się.

Pani Dowgiellowa zanosła się płaczem. Żadne argumenty męża nie trafiały do niej.

— A widzisz, widzisz, to przez ciebie... — szlochała. — Ja byłam temu przeciwna... I co teraz z nim będzie? Co z nim? Może już nie żyje!? Moje dziecko najdroższe, Jacuś, Jacuś, nie, to niemożliwe, nie, nie! — łkała coraz głośniejsze, a mąż gładził ją po włosach, tuląc do piersi. Wiedział, że powinien coś powiedzieć, pocieszyć ją, ale słowa więzły w krtani.



Tej nocy w oknach mieszkania Dowgiellów światło paliło się bardzo długo. Rozpacz matki łagodził ojciec otuchą na wyrost, iskierką nadziei. Skoro nie ma pewności, że zginął, tyleż pewności można wiązać z wiarą, że przeżył. Oto logika, która pozwala mężczyźnie pozostać podporą kobiety na padole żywiołowych łez.

Wiadomość o katastrofie obiegła lotem błyskawicy całe miasto. Druh Piotr zwołał nadzwyczajne zabranie zastępu. Kosynierzy postanowili włączyć się do akcji poszukiwawczej.

— Czy każdy zrozumiał swoje zadanie? — zapytał na zakończenie Chudy Piotr.

— Kosa! Kosa! Kosa! — odpowiedzieli chórem i po chwili każdy z nich pomaszerował w inną stronę.

To, co mieli wykonać, każdemu z osobna mogło wydawać się zbyt trudne, niemal nieosiągalne. Kiedy jednak myśleli jako całość, no i w imieniu tej całości, zdawali sobie jasno sprawę z tego, że muszą osiągnąć cel, choćby trzeba było wiadro potu wylać i nogi zedrzeć na ciernistych ścieżkach.

*Cztery doby w zielonym piekle,  
czyli harcerz ma naturę twardą*

Obudził go deszcz. Jacek otworzył oczy: wokół ściana wody lejącej się z nieba, a nad głową fotel lotniczy jak daszek.

— Ojej, to ja żyję?! — krzyknął Jacek z niedowierzaniem i uszczypnął się w pulchny policzek.

Przebudzenie jednak nie nastąpiło. To jawa! Leżał pod własnym fotelem. Zmierzchało już, ale było jeszcze na tyle widno, by zauważyć poprzez szybę deszczu, iż obok ani śladu samolotu, ani strzępków czegokolwiek, co w samolocie się znajdowało. Leżał na stoku zbocza porośniętego bardzo wysokimi strzelistymi drzewami, sam jak palec. Wokół tylko żaby rechotały i niosło się lawiną brzęczenie owadów. Pas bezpieczeństwa gdzieś się zgubił, podobnie jak sakwa ze „skarbami” i okulary przeciwsłoneczne. Czuł, że jakaś kość wystaje mu pod szyją, zaś jedno oko jest całkowicie zapuchnięte. Na głowie wyskoczył ogromny guz, natomiast noga... Szkoda gadać! Rana wyglądała groźnie. Nie czuł bólu, ale zabrakło mu energii, żeby ot tak po prostu wstać i porozglądać się dokoła. Zapadła kurtyna ciemności. Jacek uświadomił sobie, że musi pozostać pod siedzeniem przez całą noc. Pogrążony w półśnie ułożył się skurczony pod fotelem, nie wiedząc, co może zdarzyć się nawet już za chwilę. Emocje z pogranicza życia i śmierci skondensowały się we śnie, głuchym na nocne odgłosy puszczy. Dopiero

nazajutrz rano, kiedy obudził się pośród mrocznej dżungli, coś w nim pękło. Puściły lody nadludzkiego wysiłku, twardego oszołomienia, szoku katastrofy — powrócił ból i strach. I głód. Odtajał zwyczajnie, jak każdy wyrostek w jego wieku. I w płacz! Ryczał:

— Co ja zrobię, co ze mną będzie, mamusiu!

Ale nikt się nad nim nie ulitował. Uświadomił sobie, że jest zdany wyłącznie na własne siły. Jedyłą odpowiedzią bowiem był chichot małp. Zacisnął więc zęby i postanowił radzić sobie sam. Wygrzebał się spod fotela i wstał, usiłując uczynić kilka kroków. Nagłe zawroty głowy zachwiały nim. Musiał poczekać, aż rozsadzająca jego czaszkę karuzela przestanie pulsować zwariowanym rytmem.

Jeszcze jestem za słaby — pomyślał. — Ale ja muszę dojść do siebie, muszę. Muszę postarać się przeżyć. Czekają na mnie! Odwagi! — mówił do siebie coraz głośniej.

Kosynier Jacek, pseudo Lolek Balonowa, podźwignął się znowu na nogi. Po głowie chodziły mu rady ojca: Jeślibyś kiedykolwiek znalazł się w dżungli, najpierw wytnij sobie kij. Kijem tym będziesz mógł teren przed sobą badać, żeby nie nastąpić na jakieś jadowite małe świniństwo!

Wyłamał więc kij długości dorosłego człowieka i opierając się na nim, próbował iść, ale osadził go w miejscu kolejny zawrót głowy. I tak oto co chwila musiał odpoczywać, bo wszystko po kilku krokach kręciło mu się przed oczami. Kiedy siadał, żeby odpocząć, narastał głód. W ocalałym z katastrofy pudełku czekoladek "Wedla" pozostało już tylko osiem. Złamana kość promieniowała tępym bólem. Do wieczora uszedł niewiele. Wiedział jednak, że musi iść naprzód — to jedyna szansa ocalenia.

Jeżeli zabłądzisz, musisz zawsze szukać rzeki. Rzeki w dziewiczym lesie to uliczki, które prowadzą do głównych ulic, a przy głównych ulicach mieszkają ludzie... — Kolejną radę ojca przypomniał mu plusk wody — zupełnie blisko! Przedarł się przez wysokie zarośla. Tak, to rzeka! Wprawdzie niewielka, ledwie rzeczka, ale z pewnością doprowadzi do Rio Ukajali, a potem do samej Amazonki! Zjadł kolejną czekoladkę, popił kryształową wodą ze strumienia, ochłodził zmęczone nogi — i w drogę.

Szedł i szedł, brodził brzegiem, a woda mętniała coraz bardziej. I nagle tuż obok woda wzburzyła się gwałtownie. Uskoczył na brzeg. Po chwili rzeka uspokoiła się i tylko tkwił na jej powierzchni nieruchomy brunatny pień. Kajman! Jacek z obrzydzeniem cisnął węń kamieniem. Kilku-metrowy „pień” drgnął nagle, kłapnął zębata paszczą i odpłynął. W miejscu gdzie przedtem stał Jacek, zakotłowało się raptem od rybek długości dorosłej dłoni. Roily się one wokół krwawej plamy na wodzie, zwabione zapachem świeżej krwi, która wypłynęła z Jackowej rany na nodze.

— O Boże! — westchnął Jacek i po raz drugi odetchnął z ulgą, albowiem spotkanie z piraniami, które w okamgnieniu potrafiły swoimi okropnie spiczastymi zębami obgryźć mięso do kości, nie należałoby do zbyt przyjemnych. Dopiero teraz uświadomił sobie, jak wielkie niebezpieczeństwo mu groziło w tej niewinnej na pozór rzeczce. Szedł brzegiem gęsto zarośniętym, a każdy krok pulsował w szumiącej czaszce, ćmił bólem. Czasami musiał iść wodą, bo brzeg zawalony był gnijącymi kłodami nie do przebycia. Rzeczka wiła się pokręconymi wymyślnie meandrami. Jacek uszedł już kilka kilometrów, minął wiele zakrętów, ale w



linii prostej stanowiło to zaledwie kilka metrów. Wiedział doskonale, że rzeki w peruwiańskiej dżungli nie płyną prosto. Nie miał jednak samolotu, helikoptera czy choćby zwykłego balonu do dyspozycji, nie mówiąc już o najmniejszej łódeczce. Trzymał się więc rzeczki-uliczki jak ślepiec wydeptanej ścieżki. Zjadł jeszcze jedną czekoladkę i brnął dalej, mijając obfite grona owoców o egzotycznych kształtach. Wyglądały pięknie, ale Jacek nie odważył się ich zerwać. Pamiętaj! W dżungli wiele rzeczy wygląda pięknie, a jednak są one trujące! — mówił ojciec. Kuśtykał aż do zmierzchu. Zmierzch w dżungli zapada nagle. Tak nagle, że można odnieść wrażenie, iż na jasność dnia ktoś z góry gwałtownie spuścił czarną kurtynę nocy. Wyszukał sobie przytulne miejsce na brzegu, żeby przynajmniej rozprostować kości, o ile zasnąć się nie da. Noce w dżungli są bowiem bajkowo ładne tylko w kinie. W rzeczywistości jeżą się tysiącami niewidocznych niebezpieczeństw, atakujących przewrażliwioną wyobraźnię oczu i uszu.

— Oj, co to? — Coś lazło po jego gołych nogach. Gdzieś tam między drzewami krzyczała małpa. Sen nie przychodził.

Jacek wstał i wymościł sobie wygodne legowisko z szerokich liści palmowych. Nagle — ryk jakiegoś zwierza, zupełnie blisko! Jacek wzdrygnął się, ale natychmiast usłyszał głos ojca: Nie należy się bać wielkich zwierząt — ocelotów, jaguarów, tapirów. Znacznie bardziej niebezpieczne w dżungli są te małe żyjątka: pająki mrówki, komary, muchy. Mrówki chaco wędrują w uporządkowanym szyku długości kilku kilometrów. Pełzną groźnym zagonem, niszczą i zabijają wszystko, co żyje, a nie zdąży uciec przed

nimi. Ta straszna chmura rozszarpuje i pożera ciało, pozostawiając za sobą tylko stosy białych kości.

Ledwie pomyślał, poczuł na prawej łydce coś drobnego i ruchliwego. Potrząsnął konwulsyjnie nogą i spojrzął na ziemię usłaną liśćmi. Zauważył ogromną, czarnoniebieską mrówkę. A gdzie reszta pochodu? Nie, to nie może być chaco, skoro porusza się samotnie. Więc... Czyżby to isula?

— O Boże! — westchnął Jacek. — Całe szczęście, że pojedyncze ukąszenie powoduje tylko gorączkę. Trzy ukłucia mogą już usmiercić człowieka!

Świadomość takiego towarzystwa nie dodawała Jackowi otuchy. Co robić? Znalazł po omacku dwa rosnące blisko siebie drzewa, skrzyżował gałęzie i związał je paskiem. Usiłował wdrapać się na ten prowizoryczny fotel, ale stęknął tylko z bólu i osunął się bezwładnie na ziemię. Spojrzął jeszcze raz w górę i pokiwał głową bezradnie. Może stanie się cud i zobaczy gdzieś wysoko światelka helikoptera, którym ekipa ratunkowa podąży na pomoc? Z pewnością wiadomość o katastrofie obiegra już cały świat! Ale w górze świeciły tylko świetliki, szybowały chaotycznie w różnych kierunkach, błyskając raz po raz zieloną fosforescencją. Jackowi lzy zakręciły się w oczach.

— Więc to tak? Mam tak marnie zginąć w tej potwornej dżungli? Nie, nie poddam się tak łatwo! Kosynierzy na pewno zaczęli już działać, pomoc w drodze!

Jego rozmyśleniom towarzyszyło jednostajne brzęczenie moskitów, które obsiadły mu całe ciało. Opędzał się jak mógł, ale zmęczenie czyniło go coraz bardziej bezwładnym. Mroczna i spokojna dżungla jęczała glucho i żałośnie. Cisza i sen, sen silniejszy od strachu.

Kiedy Jacek obudził się, słońce już stało wysoko w zenicie. Żyję! I z otuchą w sercu wyruszył w dalszą drogę. Wykonywał wciąż te same żmudne czynności: kosturem obmacywał drogę, rozsuwał na boki dzikie pnącza, a potem stąpał bardzo ostrożnie, zważając na węże, pająki i wszystko, co się porusza w gęstych zaroślach. Jeśli zarośla tworzyły ścianę nie do przebrnięcia, musiał omijać je, schodząc do wody. Krzyk sępów oznaczał, że gdzieś w pobliżu znajdują się ciała pasażerów Boeinga.

— Albo siła rozrzutu była tak duża, albo ja tak niewiele uszedłem — dumal Jacek, pokonując kolejny zakręt rzeki.

Wciąż znajdował się jeszcze w rejonie katastrofy. Koło południa ujrzał w zaroślach coś jasnego: część poszycia kadłuba samolotu z fragmentem numeru, a dalej szczątki kabiny, poszarpane kable i kawał pogiętej blachy. Ani śladu żywego człowieka, tylko zapach spalonej benzyny, jakby zawieszony w gęstej kadzi tropikalnego powietrza. Po kilku kolejnych godzinach żmudnego marszu Jacek stwierdził, że — o dziwo! — nie odczuwa już ran. Natomiast zaczęło dokuczać mu tropikalne słońce, smażące plecy poprzez porozrywaną koszulę. Czekoladki już się skończyły, na szczęście wody było pod dostatkiem.

W dzień dzikie zwierzęta chowały się gdzieś w swoich kryjówkach. Tylko komary i muchy nie zwracały uwagi na porę doby i kłuły boleśnie we dnie i w nocy. Jacek nie miał już siły odpędzać tej szarańczy, a po trosze jakby zlekceważył przestrogi ojca. (Pamiętaj, że tropikalne muchy za każdym ukłuciem składają jaja pod ludzką skórą, a z tych jaj wylęgają się obrzydliwe czerwce). W południe musiał zrobić przerwę w marszu. Wilgotny upał zatykał, parzył nie do zniesienia.

— Co za zwariowany klimat. W dzień upał, w nocy można zmarznąć — wzdychał.

Gdzieś daleko z boku grzmiało i błyskało, co jakiś czas przechodziły ulewy. (Słuchaj głosu ptaków, a wśród nich musisz odróżnić gatunki żyjące nad wielkimi rzekami. Śpiew tych ptaków doprowadzi cię do ludzkich siedzib). Nadaremnie jednak Jacek słuch wytężał. Nagle... Brzęczenie jakieś! Cóż to? Samolot? Tak! Tak!

— Hej, pomocy, ratunku! Jestem tu! Ratunku! — wrzeszczał z całych sił.

Wiedział, że to bezsensowne, bo i tak tamten w górze nic nie słyszy, ale instykt samozachowawczy był silniejszy od realistycznej oceny sytuacji. Ba, gdybyż tu mieć raketnicę, a przynajmniej jaskrawą chustę. Strzępy brązowej koszuli nie nadawały się już do niczego.

A zresztą pilot i tak nie zobaczy żadnych sygnałów — pomyślał Jacek. — Przecież w tej cholernej dżungli jest sufit i z góry widać tylko tę żarłocznie rozmnażającą się kotłowaną roślinność, ciasno oplatającą wierzchołki drzew. — Splunął pod nogi i powłókł się znowu, podparty na kiju.

— Czy żyć, to znaczy umierać? — pomyślał na głos. — O rany, to ja już mówię do siebie? — pokręcił głową po chwili. — Cóż w tym dziwnego. Tu i słoń by zwariował. U nas w Polsce to dopiero wspaniale... — rozmarzył się Jacek. — Lasy sosnowe, jodłowe, dębowe i brzozowe, aromat jagód i grzybów w powietrzu się unosi, orzechy laskowe uśmiechają się na leszczynowych gałązkach. W naszym borze zabłądzić niestraszno, bo słońce kierunek świata wskazuje. A tu? I słońca przez te zarośla sufitowe nie widać. A jakby tak



jeszcze psa ze sobą wziąć, zaraz by go żmije zagryzły. Ech, co za pech! Nawet nie ma do kogo się odezwać!

Jacek rozkleił się na dobre. Ze łzami w oczach wzdychał do szczerzej wiosny z uroczymi plamami fiołków na świeżej trawie, a nawet do białej lśniącej zimy bez podstępnych niespodzianek, ukrytych w gąszczu.

Do wieczora nie uszedł wiele. Na przebycie stu metrów potrzebował czasem i całą godzinę, moczony ulewą, która tego dnia spadała z przestworzy bez ustanku. Jeśli nawet przestała, to tylko po to, by już za chwilę dudnić po plecach ze zdwojoną wściekłością. Najgęstsze krzaki nie chroniły skutecznie przed tą kaskadą wody. Kiedy przeciskał się przez kolejną gromadę zarośli, ujrzał nagle, że jest już nad znacznie większą rzeką niż ów strumień, od którego rozpoczął wędrówkę. Od brzegu do brzegu było chyba nie mniej niż dwadzieścia metrów. Czyżby ocalenie? Wstąpiła w niego nowa nadzieja. (Większa rzeka, to bliżej centrum!) Wskoczył do wody i brodząc po pas, przedzierał się na drugi brzeg, walcząc z ciężarem wody ściskającej piersi dławiącą kłamrą. Sapiąc z wysiłku dobijał już do celu, kiedy ujrzał nagle dwa krokodyle, prujące toń rzeki wyraźnie w jego kierunku. Całe szczęście, że stawał już nogę na brzegu. Uff! Ale znów komary i muchy w nieprzeliczonych ilościach...

W pewnej chwili usłyszał wyraźnie szum helikoptera, gdzieś nad chmurami.

— Na pewno po mnie! — ożywił się, ale odgłos maszyny ucichł wkrótce i chłopiec znowu pozostał sam na sam z dżunglą. Położył się nad rzeką i już-już miał zasnąć, kiedy nagle zobaczył obok siebie cztery malutkie krokodyłytko. Zerwał się natychmiast.

— Jeszcze tylko tego brakowało, żeby mnie krokodylica z krokodylem tu przydybali — mruknął ze złością i powłókł się dalej.

Kolejna noc była koszmarem! Trzecia noc? A może czwarta? Powoli tracił orientację, oszołomiony bólem i najzwyklejszym ludzkim strachem. Podarł podkoszulek i próbował zabandażować te najgorsze miejsca, rozjątrzone wściekłym atakiem much i komarów. Nic to jednak nie pomogło, natomiast ręka spuchła okropnie i promieniowała bólem nie na żarty. Zaczęło pulsować w niej coś niedobrego. Miał już halucynacje: ciągle słyszał gdakanie kur, a to tylko krople deszczu uderzały o powierzchnię rzeki. Rzeka była coraz szersza, tu i ówdzie skłębiona wirami. Grube pnie drzew zagradzały niekiedy całą szerokość nurtu, tworząc niebezpieczne leje i wodospady. Próżno wypatrywał zbawczego światełka w dżungli i kolejna ciemność pozostała okrutną ciemnością. Ani śladu oliwnych lampek, które płoną w indyjskich domostwach całą noc, chroniąc je przed złymi duchami. Ani śladu człowieka w ciągu dnia na zarybionej obficie rzece. Tylko obrzydliwe krokodyle, lekkie w wodzie, a tak pokraccznie ociężałe na brzegu. Widywał maleńkie kolibry, pstre papugi, skrzeczące małpy, rozhuśtane na posplatanych nieprawdopodobnie lianach, no i przepiękne orchidee. Owoców bał się zrywać, bo każdy z nich mógł być trujący.

Tylko w książkach dżungla to ciepły, płodny raj — dumał z goryczą.

W głowie huk oręża i szum wodospadu, pole bitwy tak zaciekle jak ta dżungla, w której wszystkie rośliny walczą ze sobą, kradną sobie nawzajem światło dnia i promienie

słońca, duszą się, tłamszą i wspinają po sobie aż do kilkudziesięciu metrów wwyż. Slabsze drzewa są niszczone przez silniejsze, a te silniejsze z kolei są duszone przez liany. A kto niszczy liany? I one muszą zginąć w tym stałym, bezgłośnym i masowym procesie umierania. (Te gąsienice, przyklejone zwartą symetryczną grupą do pnia drzewa, też są bardzo niebezpieczne).

Coraz częściej musiał odpoczywać. Siły opuszczały go z każdym krokiem. Tylko nadludzkim wysiłkiem zachowywał czujność, omijając pochody drapieżnych mrówek czy kolonie pajaków, spuszcających się z wysokich drzew na śmiertelne polowania.

— Muszę wytrzymać, muszę wytrzymać! — zaciskał zęby i stawiał kolejny krok, pełznąc przez zdradziecką czeluść. — Chłopie, i tak miałeś szczęście w nieszczęściu! — gadał do siebie. — Jeszcze żyjesz i wciąż możesz iść! — dodawał, gdy kolejna fala zniechęcenia paraliżowała mu ruchy. Nie miał siły nawet na to, by wyszukać jakieś miejsce na nocleg. Zwalil się na ziemię tu, gdzie akurat stał. Padając rąbnął głową o coś twardego i stracił przytomność. Jak długo leżał bez czucia? Od dawna stracił rachubę czasu, ale nie to było w tej chwili akurat najważniejsze. Kiedy bowiem się ocknął, stwierdził, że to coś twardego, to... łódź! Tak! Najprawdziwsza łódź, przycumowana drutem przez człowieka! A więc ludzie musieli być blisko! Od łodzi zaś wiodła wąska ścieżynka w głąb lasu, wydeptana przez ludzi!

— Tatusiu, pomóż mi. pomóż mi przebrnąć jeszcze przez ten ostatni odcinek tej drogi krzyżowej... — rzeził Jacek, czolgając się po ścieżce.

Po kilkudziesięciu metrach ujrzał małą chatkę z palmowe-

go drzewa, coś w rodzaju opuszczonego szałas. Kiedy znalazł się w środku, zapadł już mrok. Nasłuchiwał.

— Może usłyszę ludzkie głosy? Chłopie, wiesz dobrze, że człowiek nigdy nie odważy się iść nocą przez dżunglę! — powiedział do siebie, ale nie przestał obserwować ścieżki przez szpary w poszyciu chaty. Jest światło! Nie, to tylko fosforyzujący blask spróchniałego pnia. I znowu jedynie krzyk małp albo skrzekot przebudzonej papugi. A może ci ludzie to jacyś nomadzi; wyruszyli na polowanie i wrócą dopiero za kilka tygodni? Szopa ta, to... to buda na narzędzia prędzej niż zamieszкана chata... A może wcale nie wrócą, bo zginęli w puszczy, przepadli bez śladu? Może to ich kości widziałem po drodze? Może i mnie tu nie ma? Nie ma... nie ma... nie ma. To tylko tak mi się... Tak mi się wydaje, że jestem tu. Zaraz przyjdzie tatuś, zaraz... zapytam go, czy... czy kupił mi nową pompkę do roweru... Jutro wyruszamy... wyruszamy na rajd rowerowy. Kosynierzy... A ja przecież... ja też... ja... — majaczył Jacek, tracąc przytomność na podłodze szałas. Jak w kalejdoskopie wirowały mu przed oczyma obrazy dżungli przemieszane z domem rodzinnym, szkołą i zastępem. Twarze, głosy, jęki mordowanych zwierząt, brzęczenie komarów, narastające dudnienie nocnego bombowca...



*Przebudzenie,  
czyli Jacek u tubylców*

Świtało. Jakby przez sen usłyszał dźwięk głosu. Ludzie! Otworzył oczy: pochylały się nad nim dwie postaci. Pomarszczona twarz starej kobiety i gładkie, smagłe policzki dziewczynki. Dwie brązowe twarze rozmawiały ze sobą w jakimś miejscowym narzeczu. Kręciły głowami i kręciły, jakby zobaczyły ducha. Jacek jęknął.

Starsza oczyściła rany z robaków, przemyła słoną wodą i posmarowała maścią. Młodsza poczęstowała go gotowaną kukurydzą, ale Jacek nie mógł jeść. Wzięły go pod ręce, zaprowadziły do łodzi. Wkrótce pędzili już w dół rzeki, zręcznie lawirując między pniami drzew-olbrzymów, które ongiś wichura powaliła na wodę. Ledwie zaczepione korzeniami o brzeg, sterczały groźnie jak złowieszcze rafy. Na niewielkiej polanie, wykarczowanej między podniebnymi pniami egzotycznych drzew, pośród zwisającej zachłannie poszarpanej pajęczyny lian jaśniała sylwetka kurnej chaty — cel ich podróży. W chropowatych, niezgrabnych ścianach z dużych płyt glinianych nie było okien, tylko ciemny prostokąt drzwi.

Jacek wypił herbatę z liści cytrynowych i zjadł ostrożnie gotowanego banana. Tylko jednego, ze strachu przed skrętem jelit po tak długiej głodowce. Leżąc wygodnie na derce, obserwował krzątające się kobiety. Jeszcze kołowała mu w głowie eskadra samolotów, jeszcze były dzwony przy

akompaniamencie brzęczenia much i komarów, ale czuł się już prawie zdrowy. Poczucie bezpieczeństwa działało cuda. Starsza raz jeszcze opatrzyła mu rany, a przy okazji usunęła dużą drzazgę drewnianą, której obecności w stopie nawet nie odczuwał. Plecy paliły go żywym ogniem, ale nie zważał na to. Jest wśród ludzi! Uratowany! To jest teraz najważniejsze...

— Gdybym był piecuchem i maminsynkiem, nie przeżyłbym. W dżungli trzeba być twardym, bo wszystko, co nieczywe i bezradne, zostaje błyskawicznie pożarte, wchłonięte przez tę cholerną dżunglę! — powiedział Jacek tak głośno, aż krzątające się po izbie kobiety spojrzały w jego kierunku. Nim jednak zdążyły podejść do legowiska, Jacek już chrapał, uśmiechając się przez sen...

Obudziły go jakieś krzyki. Poprzez szum rzeki niósł się w parnym powietrzu łomot bębna. Zdawało mu się, że słyszy dzikie wrzaski indiańskich wojowników, wkraczających na ścieżkę wojenną. Napad? Rozejrzał się trwożliwie dookoła, ale na próżno. W chacie nie było okien, a słoneczny prostokąt drzwi znajdował się zbyt daleko od jego legowiska. Uderzenia dzid tuż za ścianą i nagle... Jakaś ogromna bryła ciemności zasłoniła słońce. Jacek przymknął powieki. Rozległ się straszliwy ryk i... przyjazne porykiwanie. Otworzył ostrożnie jedno oko. Do środka wsuwały się właśnie rogi na czarnym kosmatym łbie.

Krowa?! Tutaj? To chyba jakaś krzyżówka z garbatym zebem — pomyślał, sięgając w pamięci do wykutego „na blachę” zasobu wiedzy o tej części świata. — A może w pobliżu są jacyś osadnicy z Europy? Zresztą, ja nawet nie wiem, gdzie się znajduję! — machnął ręką,

aż ucichłe rany znowu ugryzły, szarpnęły tysiącem szpilek.

Tymczasem rogate bydłatko zaryczało donośnie i z dostojeństwem w łagodnych oczach podreptało na skraj polany, kosmatym ogonem odpędzając krwiożercze muchy. Jacek poczuł, że czerwieni się ze wstydu.

— No, no, ale Stefek Burczymucha ze mnie! — mruknął.

Kiedy ochłonął po krowiej szarży, spokojnie rozejrzał się wokół siebie. Znowu sam. Z półnroku parnej izby wylawiał czujnym wzrokiem kontury surowych sprzętów. Jakaś sklecona z desek ława koło drzwi, jakaś opończa, wyrastająca z ciemności razem z kapeluszem, niczym przyklejona do ściany postać milczącego gaucha. Pośrodku klepiska, zastępującego podłogę, żarzyły się przysypane popiołem głównie w wianku z kamieni. Nikły blask drzemiącego ogniska oświetlał opasty garniec, niczym beczulkę rozpartą w najciemniejszym kącie. Z glinianej kadzi siąpił mdlący zapach fermentującej kukurydzy. Pod ścianą stało kilka mniejszych dzbanów, a wyżej, na bambusowych prętach, suszyły się jakieś szmaty w czarne i brązowe geometryczne wzory. Raptem Jacek zwietrzył zapach gotowanego bobu i głód zaburczał mu w żołądku.

Ech, gdyby tak pętko parówkowej na gorąco, z musztardą! — pomarzył, oblizując spierzchnięte wargi.

Nie przepadał za bobem, lecz na śmierć głodową też nie miał ochoty. Zapach drażnił podniebienie, ale skąd dochodził? Nim Jacek odważył się wstać z legowiska, na podwórku rozległy się jakieś głosy. Nie rozumiał słów wypowiedzianych w gardłowym narzeczu, ale śmiech przeplatający je nie brzmiał groźnie, co Jacka uspokoiło. Po chwili w prostokąt-

nym otworze drzwi stanęła dziewczynka w brązowej poszarpanej spódniczce i czerwonym kaftaniku. Uśmiechała się do Jacka bielą zdrowych zębów i błyszczących wesołych oczu, które świeciły w brązie twarzy jak robaczki świętojańskie w mroku długich, ciemnych włosów, upiętych tu i ówdzie błyskotkami.

— Buenos dias!\* — zawołała dziewczynka i podała mu gliniany kubek.

— Buenos dias... — wyszeptał zaskoczony Jacek i zdrętwiał w uczuciu, które określa się zazwyczaj słowami: zglupiał do reszty.

Coś takiego! — pomyślał. — W indiańskiej chacie zostałem pozdrowiony po hiszpańsku przez dziewczynę ubraną w europejski kubraczek.

Duszką wypił coś w rodzaju kwaśnogorzkiego kompotu z kukurydzy o smaku sfermentowanego piwa. Zakręciło mu się w głowie, ale pragnienie minęło.

I to ma być żeński potomek Atahualpy — kiwnął głową z powątpiewaniem, a brązowa rówieśnica uśmiechnęła się jeszcze szerzej. — Nie wygląda mi wcale na smutną Indiankę...

Tajemnicę pochodzenia dziewczyny zrozumiał już za chwilę, kiedy do chaty weszli jej rodzice. Metys z zaciekawieniem spoglądał w stronę legowiska. Zdjął szary filcowy kapelusz z dużym rondem, otarł pot z jasnobrązowego czoła i oparł o ścianę siekiere. Zza pasa wytartych jutowych spodni wyciągnął nóż o szerokim ostrzu, używany przez kabokłów do nacinania drzew kauczukowych. Jacek za-

---

\* Buenos dias! (hiszp.) — Dzień dobry!



drzał. Ale Metys nie przejawiał morderczych zamiarów. Wetknął nóż za belkę w ścianie chaty i podszedł bliżej.

— Buenos dias! Buenos dias! — wyszczerzył zęby w uśmiechu i poklepał Jacka po plecach, aż chłopiec jęknął z bólu.

Klepał go po łopatkach i klepał przez dłuższą chwilę, przeciągając ceremonię powitania do granic, które gdzie indziej szokują, ale w Ameryce Południowej należą do dobrych obyczajów. Tuż za nim stała cicho niemłoda już Indianka o skośnych oczach i prostych długich włosach. Skłoniła się w milczeniu przed Jackiem i uklękła przy ognisku. Zbliżyła do siebie wiecznie tłące się szczapy, po czym pomachała czymś w rodzaju plecionej miotłki. Buchnął żywy płomień! Pojaśniało w izbie. Kobieta uniosła pomarszczoną ciemną twarz do góry i wymamrotała jakąś modlitwę, zakłęcie, prośbę czy też dziękczynienie. Ustawiła kociołek na tullpie\*, i po chwili Jacek znowu poczuł, że jest głodny. Dym, nie znajdując ujścia, wciskał się ospale we wszystkie zakamarki chaty bez komina. Jedyńm otworem były drzwi. Tuż pod strzechą tkwiła platforma z bambusu — ni to sufit, ni to pierwsze piętro, stryszek i grzęda dla kur. Kobieta sięgnęła tam i wyjęła pęk cebuli. Wrzuciła ją do wrzącej w kotle potrawy, dodała soli i zanurzyła po chwili dużą drewnianą łyżkę. Jacek bacznie obserwował, w jakim naczyniu otrzyma strawę gospodarz. Indianka skłoniła się nisko i postawiła przed mężem najprawdziwszy garniec z brązu! Metys musiał być kimś ważnym w puszczańskie społeczności, może nawet kuraką?\*\*\* Naczy-

---

\* tullpa (ind.) — dwa lub trzy kamienie, pełniące rolę „kuchenki”.

\*\* kuraka (ind.) — soltys.

nia z brązu przechowywano bowiem w znaczniejszych rodzinach, z pokolenia na pokolenie, jeszcze od czasów kolonialnych. Resztę zawartości dymiącego kociołka gospodyni rozłożyła w ściemniałe pilches.\* Jedli w milczeniu, skupieni wokół ogniska.

Łykając papkowatą breję z rozgotowanego bobu i kaszy jęczmiennej, Jacek raz po raz rzucał nieufne spojrzenia. Metys zauważył jego niepokój. Odłożył na chwilę drewnianą łyżkę i wyszczerzył białe jak porcelana zęby:

— Buenia gente!\*\* Buenia gente! — wskazywał palcem na siebie i rodzinę, bijąc się przy tym w piersi zamaszycie jak w kościele.

— Si, si, buenia gente! — przytaknął skwapliwie Jacek i uśmiechnął się znad drewnianej miseczki.

Patrzył na tubylców i robił dokładnie to samo, co oni. Kiedy obiad został zjedzony, chłopiec wyczyścił talerz wskazującym palcem prawej ręki i rzucił w kąt. Dalszym czyszczeniem zajęły się psy, popiskujące z uciechy. Metys wstał, wypił kubeczek napoju z kadzi, zatknął nóż za pasek, wziął do ręki-siekierę i podszedł do Jacka. Przyjrzał mu się dokładnie, spoważniał i powiedział coś żonie w miejscowym narzeczu. Indianka wysłuchiwała z kamienną twarzą. Oboje wyszli. Jacek usiadł na brzegu legowiska i ukrył twarz w dłoniach. Ogarnęło go znowu zwątpienie.

Te ich poważne miny... Może coś knują? Chcą mnie sprzedać?! Eeee, nie, niewolnictwo przecież zniesiono tu już dawno temu. Ale czy tutaj są przestrzegane jakiegokolwiek

\* pilches (ind.) — garnuszki drewniane.

\*\* Buenia gente! (hiszp.) — Dobrzy ludzie!

prawa? Jestem odcięty od świata i tyle! Tak dziwnie patrzyli na mnie... A może ja tak źle wyglądam? Kiedy bił się z myślami, zaczynając już nawet planować szaleńczą ucieczkę zaraz po wyzdrowieniu, dziewczynka przysunęła się bliżej. Wzięła go za rękę i przycisnęła do swojej piersi, z lewej strony, tam, gdzie pulsuje serce.

— Ika! Yo soy Ika!\* — szepnęła z uśmiechem.

Jacek syknął z bólu, ale przedstawił się także.

— Ja-szek! Ja-szek! — powtarzała Ika, dodając potem: — Amigo! Buenio, eh?\*\*\*

A w końcu poglaskała go po głowie i wybiegła z chaty. Jacek zdrzemnął się. Obudziła go głośna rozmowa.

— Papacito! Papacito!\*\*\* — prosiła energicznie Ika.

Ale o co? Z szybkiej wymiany zdań Jacek zrozumiał, że chodziło o niego! Że bardzo go polubiła i nie chce go stracić, więc lepiej nikogo nie powiadamiać, że tu jest! Metys najpierw śmiał się, że chłopiec nie jest regalo de Dios\*\*\*\*, a potem uspokajał córkę i tłumaczył, że powiadomić trzeba, bo gość jest miły, ale chico\*\*\*\*\* i czekają na niego zapłakani rodzice. Jackowi zachciało się krzyczeć z radości i najchętniej rzuciłby się Metysowi na szyję, gdyby nie lęk, nakazujący zachowywać pewną powściągliwość w kontaktach z tubylcami. (Oni są nieobliczalni. Rządzą nimi humory, emocje i zabobony.)

Ech, tatusiu, nauczyłeś mnie tylu mądrości o tym konty-

\* Ika! Yo soy Ika! (hiszp.) — Ika! Ja jestem Ika!

\*\* Amigo! Buenio, eh? (hiszp.) — Przyjacielu! Dobrze tu, prawda?

\*\*\* Papacito, papacito! (hiszp.) — Tatuśku, tatuśku!

\*\*\*\* regalo de Dios (hiszp.) — prezent od Pana Boga.

\*\*\*\*\* chico (hiszp.) — mały.

nencie, niby wszystko wiem, ale co ja mam teraz robić?

Tymczasem nadszedł ktoś, na kogo czekała przed chatą cała rodzina. Wkrótce nad Jackiem pochylił się olbrzymi starzec z długą siwą brodą. Obejrzał rany, dotknął ręki chłopca i pokręcił głową.

— Incredible, incredible!\* — szepnął zagadkowo, czym sprawił wszystkich w zakłopotanie.

Nie do wiary, że tak się ładnie goi czy też nie do wiary, że ten mały jeszcze żyje? — zastanawiał się Jacek.

— No buenio?\*\*\* — zagadnął Metys, ale starzec tylko machnął ręką i stwierdził:

— Ma gorączkę, trzeba go leczyć...

Jacek domyślił się, że jest to jakiś zielarz, znachor czy miejscowy uzdrowiciel, chociaż, szczerze mówiąc, poczuł się trochę rozczarowany. Gdzie się podzieli sławni szamani z rytuałem zaklęć? No, niechby nawet cywilizowani, ale potomkowie Atahuálpy.

Tymczasem siwy starzec otworzył stojącą u jego nóg metalową walizczkę. Nachylił się i wyjął z niej małe okrągłe pudełko, napelnione brązową maścią, promieniującą intensywnym zapachem żywicy.

— Oto jest cudowne lekarstwo, które wyciąga błyskawicznie chorobę. Z pewnością warte ceny, jaką mi zapłacicie za życie chłopca... — mruknął pod nosem.

I to był kolejny szok dla Jacka, nastawionego na romantykę egzotycznego piekła dżungli, kryjącego w parnym jadowitym wnętrzu bezinteresownych starców-dziwaków,

---

\* Incredible, incredible! (hiszp.) — Nie do wiary, nie do wiary!

\*\* No buenio? (hiszp.) — Niedobrze?



służących bezpłatnie ideom wielkiej nauki i samarytańskim misjom krzewienia wyższej cywilizacji. I cóż w tym właściwie dziwnego; każdy musi tu z czegoś żyć, żeby przeżyć...

Kiedy Metys dobil wreszcie targu i zapłacił, zielarz dodał:

— Senior, ta maść jest warta swojej ceny, bo zrobiona z bardzo rzadkiego ziela, które rośnie tylko w Putumayo. Inne leki wyciągają zaledwie część choroby, która powraca. Tylko ta maść usuwa boleść od razu i ostatecznie, niech mnie ukarze wielki Inti, jeśli lżę...

To mówiąc nachylił się zwawo i z walizeczki wyjął starą gazetę „La Prensa”, oderwał kilka kawałków papieru i usiadł przy Jacku. Na rogu każdego z tych świstków rozsmarował trochę maści, podgrzewał ją przez chwilę nad płomykiem amerykańskiej zapalniczki, po czym starannie i fachowo przyłożył plastry do obrzmiałych ran.

— To wszystko. Przyjdę jutro rano — mruknął.

Chwycił walizeczkę i odszedł. W nocy Jacek obudził się, zlany potem i ropą, spływającą z pękniętych wrzodów. Poczul ulgę i zasnął zdrowym snem. Rano zjawił się starzec z walizeczką. Zdarł nasiąknięte ropą „opatrunki” z gazety i rzucił na ziemię.

— Zostało w tobie jeszcze trochę zła, mój chłopcze. Wyciągnąć go może tylko trucizna tytoniu — mruknął rozglądając się po izbie.

Schwycił leżącą na ławie fajkę, paloną czasami przez Metysa, a najczęściej przez Indiankę, wyciągnął ustnik i mlasnął z radości, bowiem fajka była bardzo zanieczyszczona. Znowu urwał kilka kawałków gazety i zebrał nań smolistą ciecz z filtru i dna palnika. Z metalowej walizki wyciągnął inne pudełeczko. Szczyptę zielonego proszku

zmieszał ze smółką tytoniową, po czym, podobnie jak wczoraj, podgrzał mieszaninę nad płomykiem zapalniczki. Na koniec delikatnie przyłożył plastry na zropiałe kratery i poszedł sobie. Tym razem ostatecznie.

Jacek poczuł się tak, jakby mu całe ciało ktoś obłożył gorącymi bańkami wielkości litrowych słoików. W kilka godzin później stan zapalny minął, gorączka opadła. Wstał z barlogu jak nowo narodzony, przeciągnął się i... poczuł głód, co oznaczało, że wraca zdrowko. Zjadł za jednym zamachem śniadanie i obiad, czyli kaszę jęczmienną i rozgotowany bób — resztki z dnia poprzedniego. Wszyscy w chacie jedli to samo pożywienie, rozdzielane po równo przez Indiankę. Ledwie przełknął, a tu już kolej na podwieczorek, który, jak się Jacek zdążył przekonać, był ostatnim posiłkiem, bo czegoś takiego jak wieczorna kolacja tu się nie jadalo. Zgłodniały Kosynier ze ślinką w ustach obserwował, jak Indianka wysypywała chyba z pół kilograma prażonego jęczmienia na duży kamień z głębokim dołkiem, porowaty, jakby kamień młyński czy żarna, a potem chwyciła mniejszy kamień i mozolnie rozcierała nim ziarno, miażdżyła monotonnym ruchem na mąkę. Tymczasem Metys, zdając się nie zauważać wysiłków żony, rozparł się leniwie na ławie i czekał, w kapeluszu zsuniętym na oczy. Po chwili westchnął, odgarnął zawieszony nad głową kolorowe oponcze i zdjął ze ściany... najprawdziwszą gitarę. Nachylił się nad czarnym pudłem, aż na odsłoniętej piersi rozkołysał się nagle metalowy krzyżyk, i zaczepił o struny. Ucałował krzyż, przesunął go na swoje miejsce. Zamknął oczy i uderzył w struny, wydobywając drżące tony, a potem zaśpiewał gwałtownie lecz miękko zarazem:

*Tus ojos son viva llama*  
*Tu boca fino coral*  
*Tu sonrisa ostenta perlas*  
*Las mas preciosas del mar...\**

Indianka wrzuciła mąkę do gotującej się w kociołku wody, a potem czas jakiś zbierała łyżką szumowiny, by w końcu dodać sól i cebulę. Zapachniało.

— Oca, oca,\*\* mniam, mniam! — mlaskała Ika, głaszcząc się po brzuchu.

Uśmiechała się zalotnie do Jacka, jednocześnie dyrygując ojcu do taktu drewnianą łyżką. Wreszcie potrawa została rozdzielona. Metys odłożył gitarę i wszyscy skupili się w milczeniu wokół ogniska. Indianka wymamrotała zaklęcie, błagając wielkiego Inti, wszechpotężnego boga Słońce, o łaskę spożycia. Potem już tylko chrobot łyżek świadczył o obecności ludzi w tym puszczańskim zakamarku.

Po paru dniach Jacek doszedł do siebie. Czuł się już zupełnie zdrowy. Pachniała dżungla tysiącem niespodzianek, marzyły mu się wyprawy w nieznaną. Rany wyleczone, kości wróciły na swoje miejsce, ale... wróciła pamięć. Dopiero teraz uświadomił sobie, co się właściwie stało i w jakim jest położeniu.

Kim są gospodarze? Dziwni to jacyś ludzie. On całuje krzyż, a ona wzywa inkaskie bóstwo i pogańskie modły odprawia. Znikają po całych dniach, wracają na posiłki

---

\* *Tus ojos...* (hiszp.) — *Twoje oczy są żywym płomieniem. Twoje usta delikatne, korалowe wskazują w uśmiechu najpiękniejsze perły morza...*

\*\* oca (ind.) — potrawa z kaszy jęczmiennej i cebuli.

zmęczeni. Czyżby pracowali gdzieś? Ale gdzie? Nie wypada ich wypytywać, bo i oni mnie o nic nie pytali, przygarnęli, nakarmili, wyleczyli...

Oblizując łyżkę z kukurydzianych resztek, przyglądał się swoim dobroczyńcom. Sprawiali wrażenie ludzi zadowolonych z losu, który kazał im wieść życie uparte i monotonne, gorące i odludne, a w gruncie rzeczy — spokojne, powolne i mdle jak ta papka, przełykana z musu. Przynajmniej nie muszą się do niczego spieszyć, żadnych stresów, pełny luz. A ja? Jakie mam szanse? A zresztą, czym ja się martwię?! Ważne, że żyję. No i że chcę żyć, chcę! Muszę się stąd jakoś wydostać, bez niczyjej łaski, muszę. Mam nawet pewien pomysł...



*Dwa spotkania z wężem szuszupi,  
czyli wszystko dobre, co się dobrze kończy*

Wprost ślaniał się ze zmęczenia, ale trzymał fason. Ska-  
pitulować przed dziewczyną, przyznać się do słabości? Nie!

Raczej padnę, a nie zatrzymam się! — Jacek zacisnął  
zęby, zapatrzony w zrogowaciałe, pokryte bliznami bose  
stopy Iki, migające przed nim w szybkim tempie. — A miał  
być tylko niewinny spacer... — pomyślał z wytzutem.

Teren falisty, temperatura chyba ponad trzydzieści  
stopni, wilgotność powietrza niemal stuprocentowa, nie ma  
mowy o parowaniu. Pot zalewa strugami oczy, ścieka po  
całym ciele. Para wodna wszędzie, para wodna w płucach  
jak strzępki mokrej waty, połykane zamiast powietrza.  
Zacisnął zęby. A gdzież te dzikie zwierzęta?

Rozglądał się niespokojnie, strzygł oczami na boki, ale  
otaczająca ich dżungla była niemal martwa. Jacek poczuł się  
rozczarowany. Na filmach przygodowych to bez przerwy  
coś się dzieje: co chwila spada na plecy jadowny wąż, a co  
parę minut wściekle atakuje jaguar. A tu? Cisza jak na  
cmentarzu... Słychać było tylko monotonne brzęczenie  
komarów. Małe muszki abispa oblepiały spocone ciało i  
kąsały boleśnie. Gromady wielkich kolorowych motyli  
przelatywały bezszelestnie w różnych kierunkach. Zamiast  
tapirów, jaguarów i straszliwych węży — duszny upał i  
stęchlizna butwiejących roślin. Pośród skłębionych krzewów  
i liści tu i ówdzie kwiaty, przeważnie orchidee, zwisające z

konarów drzew kolorowymi girlandami. Gigantyczne korzenie wielkich drzew sięgają pierwszego piętra, kryjąc we wnętrzu drapieźnych mieszkańców dżungli, którzy dopiero nocą wychodzą na żer. Mrok i wilgoć pośród mchów i porostów. Gnijące pnie, a na nich oślizłe robactwo. Można tak iść, iść, i nie wyjść w końcu na suchą groblę. I nie ma ucieczki z tej wilgotnej dusznej pułapki, oplątanej lianami. Nie ma? A właśnie, że jest!

W tym momencie pomacał się ostrożnie pod pazuchą. Jest. Twardy przedmiot tkwił na swoim miejscu. Na razie wszystko rozwijało się zgodnie z planem, może się uda...

— Doszliśmy na miejsce — odezwała się Ika. — Chcesz iść dalej?

Jacek pokręcił głową. Usiedli.

W powietrzu wisiała rozparzona wilgoć, nasiąknięta odorem bagiennej roślinności i dokuczliwą wonią korzenną. Stado tęczyowych papug wrzaskliwie przemknęło nad głowami. Popatrzył za nimi i oniemiał. Znalazł się jakby w innym świecie! Odsoniło się bowiem pasmo gór, ocienione poranną mgiełką. W dole szumiała rzeka, rwąca nurtem zdradliwych wirów i utajonych głębin. Po żółtawej powierzchni gwałtownej wody igrały ręciovie kaskady słońca, migotały wszechobecnie. Raptem, tuż przed nosem, w pobliżu bukietu kwiatów, zawisł na mgiełce skrzydeł ptaszek nie większy od motyla. To koliber zabierał się do spijania nektaru.

Ika przysunęła się bliżej. Wzięła rękę Jacka w swoje dłonie, popatrzyła mu w oczy przymilnie. Jacek, zajęty obserwowaniem kolibra, nawet tego nie zauważył. Zaśmiała się głośno raz i drugi. Nic.

— Jaszek! Czy ja... czy ja ci się podobam? — krzyknęła prawie.

Ocknął się.

Zglupiała baba czy co? Na zaloty jej się zebrało — pomyślał. Zachował jednak dyplomatyczne milczenie.

Ika wpatrywała się w niego, on zaś w kolibra.

— Jaszek!

Odwrócił głowę w jej stronę ze znakiem zapytania w milczących oczach.

— Jaszek! Di! Di!\* — prosiła.

Mają te dziewczyny pomysły, niech to licho! Co to będzie? — pomyślał i odrzekł niedbale:

— No se!\*\*

— Nie wiem? A ja myślałam, że... — wyduła usta w grymas rozczarowania. — Myślałam, że mnie lubisz i dlatego chciałeś ze mną pójść nad rzekę!...

Pogłaskał ją po czarnych błyszczących włosach.

— Si, si, jesteś morowa dziewczucha! Ale czy potrafisz robić kaczki na wodzie? No, kamykami tak rzucać po wodzie, żeby się odbijały od powierzchni, który więcej. Spróbujemy? — mrugnął.

Ika rozchmurzyła się.

Wyszukali możliwie najspokojniejszy zakątek. Piszczala z uciechy, kiedy udało jej się jednym rzutem musnąć kilka razy przybrzeżną toń.

— Poszukaj płaskich kamyków, bo zabrakło! — zakomenderował.

---

\* Di! Di! (hiszp.) — Powiedz! Powiedz!

\*\* No se! (hiszp.) — Nie wiem!

Kiedy rozbawiona dziewczyna odwróciła się i zniknęła za krzakiem, Jacek szybko wyjął spod koszuli TO i wrzucił do rzeki. Rozległo się głośnie pluśnięcie.

— No sirve!\* — zaśmiała się Ika za plecami. — Nawet ci nie podskoczył, za duży! — skomentowała fachowo.

O tym, że nie był to kamień, wiedział tylko Jacek, ale nie wyprowadzał jej z błędu. Piana skryła duży „kamień” i burzliwy nurt porwał bezpowrotnie. Zadanie zostało wykonane. Jacek odetchnął i poweselał. Wracali trzymając się za ręce. Ika pokrzykiwała radośnie na zielone papużki loro machaco\*\*, natrętnie szarżujące nad głowami. Zwisaly w dół wielometrowe brody lian, cięższyły oko ogromne skrzypy i paprocie, widłaki-dziwolągi i bambusy tak strzeliste jak zastygłe nagle — ścięte gwałtownym mrozem — promienie wytrysłe ku słońcu. Zewsząd odurzająca woń orchidei. Smukłe palmy muskały rzekę kilkunastometrowymi pióropuszcami.

— Jaszek, lindo, eh?\*\*\* — szepnęła.

— Si, si, muy lindo\*\*\*\* — machinalnie przytaknął, ale myślami błędził znacznie dalej, niż mogła przypuszczać. Nagle dziewczynka krzyknęła. Jacek odwrócił głowę do tyłu i zamarł z przerażenia. Za nimi pełzł długi, kilkumetrowy wąż, mieniący się czernią, fioletem i brązem. Ika błyskawicznie zdjęła z głowy filcowy melonik i cisnęła na ścieżkę. Wąż zatrzymał się i z wściekłością przebił kapelusz wyprę-

---

\* No sirve! (hiszp.) — Do niczego!

\*\* loro machaco (hiszp.) — papuga uprzykrzona.

\*\*\* lindo, eh? (hiszp.) — pięknie tu, prawda?

\*\*\*\* Si, si, muy lindo (hiszp.) — Tak, tak, bardzo pięknie.



żonym żądłem, sterczącym na końcu ogona. Nie czekali na dalszy ciąg tego widowiska. Ika chwyciła Jacka za rękę i biegiem pomknęli przed siebie.

— Szuszupi! Venenoso, muy venenoso!\* — szepnęła z lękiem, gdy byli już w bezpiecznej odległości. — On napada, owija się, razi i wsącza jad z przedziurawionych zębów, no i przebija żądłem! Mamy szczęście, Jaszek. Szuszupi jest jeszcze groźniejszy niż flamon\*\*. O, boski Inti, dzięki ci składamy za ratunek! — Ika przymknęła powieki i uniosła twarz do góry, ku słońcu.

Przyspieszyli kroku. Uszli tak ze dwa kilometry, przedzierając się przez zarośla mroczne i duszne. Raptem coś zaszeleściło za ich plecami.

— O Boże, znowu! — krzyknął Jacek i głos ugrzązł mu w gardle: za nimi pelzł... szuszupi.

Rzucili się do ucieczki. Jasnobrzowa bestia ścigała ich zaciekle długimi sprężystymi łusami. Odległość malała. Jacek zatrzymał się nagle i sięgnął po kapelusz. Za późno... Ujrzał w ułamku sekundy wlepione w siebie złotozielone oczy szarżującego gada i nim zdążył cisnąć swój kapelusz o ziemię, poczuł gwałtowne uklucie w udo. Straszliwie zapiekło, upadł na ścieżkę.

— Madonna Santissima!\*\*\* — jęknęła Ika. — Do domu! Szybko!

Próbowała wziąć Jacka na plecy i ciągnąć, ale przypominało to wysiłki mrówki, usiłującej podnieść słonia. Na

\* Venenoso, muy venenoso! (hiszp.) — Jadowity, bardzo jadowity!

\*\* flamon (hiszp.) — zmija ognista

\*\*\* Madonna Santissima! (hiszp.) — Panienko Najświętsza!

szczęście Jacek otrząsnął się na tyle, że mógł kuśtykać, a czynił to w tempie zbliżonym do rekordu życiowego na dystansie ośmiuset metrów. Strach paraliżował ruchy, ale instynkt życia był ponad wszystko. Tu liczyła się każda minuta. Do chaty wbiegli z pianą na ustach.

— Papacito! Papacito! Nafta, szybko! — krzyczała już od progu Ika. — Nie martw się, Jaszek, wypijesz trochę nafty i będziesz zdrow. — Obrzucała go pocałunkami.

Jacek zbladł.

— O Boże, to... to już koniec ze mną! Przecież nafty nie ma. Wylałem ją dzisiaj rano, żeby zdobyć pustą butelkę. Mamusiu, ratuj, mamusiu... — jęczał po polsku, lykając lzy.

Zrozumiał, że pałnął głupstwo, straszliwe głupstwo. I że jego życie wisi na włosku, a na ratunek jest już właściwie za późno. Kilka minut dłużej czy krócej, to tylko kwestia odporności organizmu, a potem...

Z półprzytomnego odrętwienia wyrwał go głos Metysa:

— Pij, ninio, pij szybko!

Przycisnął chłopcu do ust kubeczek. Zapachniało naftą. Skąd?! Przecież wylał rano całą butelkę nafty... Cud! Nie, cudów w przyrodzie nie ma, nawet w tej tu, zwiariowanej. Widocznie znalazła się jakaś zapasowa flaszka. Co za szczęście, co za szalone szczęście! Wypił do dna. Poczul zawroty głowy i potężne oszołomienie. A potem straszliwe poty. Z potami cała trucizna wyszła z organizmu. Zasnął. Czuwała przy nim Ika, wsłuchana w jego równy oddech. Głaskała go po opuszczonej bezwładnie ręce i uśmiechała się leciutko. Matka surowo patrzyła w jej stronę.

— Jaszek, wstawaj! — tarmosiła go Ika.

Ocknął się, zlany potem, rozejrział się wokoło nieprzytomnym wzrokiem. Ociężała głowa pulsowała tak boleśnie, jakby w jej wnętrzu biło kilka rozedrganych dzwonów. Mruknął coś, skulił się na swoim barłogu i schował głębiej pod nakrycie ze starej kuźmy, ale Ika nie rezygnowała.

— Wstawaj szybko, błady leniuchu! Wstawaj, idziemy! — szarpała za nogę.

Próbowała go nawet połaskotać w piętę, lecz Jacek — widząc, że to nie przelewki — zerwał się sam, „dobrowolnie przymusowo”.

— Gdzie znowu, do lasu?! — jęknął tak żałośnie, że Ika parsknęła śmiechem.

— Dowiesz się, amigo, jak zjesz śniadanie, comprende? — odpowiedziała zagadkowo i postawiła przed nim tincus\* napelniony jak zwykle gorącą breją o nieokreślonym kolorze. Czerpiąc drewnianą łyżką z płaskiego glinianego talerza, dławił się czymś, co miało smak jęczmienny i przypominało gotowaną oca, wymieszaną z rozgotowanym bobem. Całe szczęście, że bób był obrany z lupinek, bo nie mógłby tego w ogóle przełknąć! Rad nierad, z żołądkiem na ramieniu, wylizal talerz do czysta. Ika klasnęła w ręce.

\* tincus (ind.) — płaski talerz gliniany.

— Se acostumbra muy ligeiro!\* — krzyknęła radośnie do matki, ale stara Indianka zajęta była przymierzaniem świątecznego stroju, a może tylko udawała, że nie słyszy.

Rzadko kiedy w ogóle odzywała się, pełniąc w chacie rolę służebną i milczącą, bez imienia. Ot, cynaany\*\*. Widać było, że Indianka nie pochwała czułości, jakimi Ika obdarzała białego chłopca przy każdej sposobności. Matczyna przezorność to czy uraz spowodowany jakąś brutalną podłością, której doświadczyła kiedyś ze strony białych wyzyskiwaczy z północy? Tego Jacek nie zdołał rozwikłać, ale jednego był pewien: Indianka nie chce, by on się przyzwyczajał do tej chaty i jej mieszkańców. Powinien jak najszybciej wrócić do swoich. Nie, Jackowi stanowczo nie uśmiechało się spędzać reszty życia w tej dżungli.

Muszę liczyć tylko na siebie i spróbować raz jeszcze wysłać sygnał o sobie — pomyślał.

Wprawdzie nie wiedział, dokąd dzisiaj powędruje i w jaki sposób nada wiadomość, ale postanowił skorzystać z najbliższej okazji.

— Jaszek, nakładaj! — trąciła go w ramię Ika.

W jednej ręce trzymała białą samodzielową koszulę i niebieskie spodnie, a w drugiej... najprawdziwsze sombrero z czarnym szerokim rondem!

— O rany, a cóż to za wesele?! — Jacek aż gwizdnął przez zęby.

Zauważył wprawdzie w chacie niecodzienne ożywienie,

---

\* Se acostumbra muy ligeiro! (hiszp.) — Przyzwyczajają się bardzo szybko!

\*\* cynaany (ind.) — kobieta.



jakieś porządki w zapchanych kolorowymi szmatami bambusowych skrzyniach, ale dopiero teraz uświadomił sobie, że powiało wielkim świętem. Nasunął sombrero na oczy, zacisnął skórzany pasek na ostatnią dziurkę, nabrał powietrza w płuca i już-już miał się poczuć bohaterem westernu, aliści jego sokole oczko padło na... buty, i mina mu zrzędła. Gaucho w postrzępionych adidasach, śmiechu warte! — pomyślał przez łzy. Stał bezradnie na środku chaty, co chwila spoglądając na swoje podarte szlapy. Ika podsunęła mu huarache\*, ale Jacek tylko pokręcił głową.

— Jeszcze bym sobie nogi powykręcał w tych kajdanach z samochodowej opony. To dobre dla indiańskiej baby, ale nie dla...

I tu zabrakło mu tchu. No bo kim właściwie był teraz? Już nie Europejczykiem, a jeszcze nie tubylcem, niestety. Metys popatrzył w ich stronę, mruknął coś pod nosem, pogrzebał w skrzyni i...

— Que extraordinario!\*\* — krzyknął Jacek i zaniemówił z wrażenia.

Metys trzymał w ręku skórzane buty z cholewami, a każdy but uzbrojony był w srebrną ostrogę! Postawił te cudeńka przed chłopcem i kiwnął ręką zachęcająco.

— Nakładaj! — mruknął.

— Buenio, muchisimas gracias, senior\*\*\*... — wykrztusił Jacek, czerwony na twarzy jak pękata piwonia.

---

\* huarache (ind.) — sandały.

\*\* Que extraordinario! (hiszp.) — To nadzwyczajne!

\*\*\* Buenio, muchisimas gracias... (hiszp.) — Dobrze, bardzo dziękuję...

— De nada, ninio\* — wyszczerzył się srebrzystym uśmiechem gospodarz. — Uważaj, żebyś się w nich nie przewrócił! — pokiwał głową.

Tymczasem starą Indiankę zupełnie odmienił świąteczny strój. Zniknęła gdzieś szara niemowa w przybrudzonej codziennej kuźmie niczym worek z poprzecznym wycięciem na szyję. Czysty brązowy kawałek materiału, ściągnięty czarnym szerokim pasem mama chumbi przylegał do zgrabnej sylwetki, tworząc sięgającą do kostek spódnicę anaco, otwartą z jednego boku. Na haftowaną bogato camisę\*\* zarzuciła fioletowe llingllas — coś w rodzaju chusty z dwustronnych i podwójnych pasów flaneli, wiązanych na piersiach. Na środku węzła połyskiwało srebrne tupu\*\*\*. Obciągnęła brzegi llingllas tak, by zakrywały ów otwarty bok anaco, a na głowę nałożyła kapelusz, używane męskie sombrero, ozdobione na szczycie główki guzikiem, z którego opadały promieniście nici aż do ronda. Nasada kapelusza owinięta była zwisającą czarną wstążką. Popatrzyła w lusterko i po raz pierwszy zobaczył Jacek uśmiech na jej pomarszczonej brązowej twarzy.

Wkrótce wszyscy czworo szli powolutku wąską ścieżką pośród zwisających lian. Na czele Metys z maczetą\*\*\*\*, w nowym sombrero i skrzypiących butach, potem Jacek pobrząkujący ostrogami, za nim Ika, a na końcu wystrojona

---

\* De nada, ninio (hiszp.) — Nie ma za co, dziecko.

\*\* camisa (ind.) — koszula z płótna, haftowana wzdłuż dekoltu, na mankietach i u dołu; haft w kształcie lamówki.

\*\*\* tupu (ind.) — ozdoba z metalu do spięcia llingllas; ubogie kobiety spinają zwykłymi agrafkami, kołcami, a nawet kawałkami drewna.

\*\*\*\* maczeta — duży obosieczny nóż do wycinania zarośli.

Indianka. Posuwali się w milczeniu. Jacek czuł na plecach wzrok dziewczynki. Obejrzał się gwałtownie i... stracił równowagę! Na szczęście Ika podtrzymała go i przez moment poczuł ją bardzo blisko.

— Que pasa?\* — odwrócił się Metys.

— Nic ważnego, papacito! — zaśmiała się Ika jakoś tak dziwnie, aż Jacka ciarki przeszły.

A jednak coś się dzieje, coś się we mnie zaczyna dziać, ale co? — zachmurzył się Jacek, bo po raz pierwszy odczuł w sobie szmer, którego nie potrafił zdefiniować w naukowo-medycznych kategoriach.

Szli dalej. Jacek raz po raz oglądał się, a skośne czarne oczy Iki świeciły w mroku puszczy hipnotycznym blaskiem. Iskrzyło się również jej tupu z brązu, wysadzone kolorowymi szkiełkami. Lśniło różowe changalli\*\*.

Indianka mamrotała pod nosem jakieś zaklęcia, wznosząc twarz ku gorejącemu obliczu wszechpotężnego bóstwa Inti. Przez gęsto spleciony sufit dżungli przesączały się jednak zaledwie nikłe pasma słonecznych spojrzeń. Ten największy na kuli ziemskiej dom ma swoje ściany, podłogę i sufit. Dokoła podniebne drzewa, pokryte ociekającym wilgocią mchem, wielkie drzewiaste paprocie i potężna trawa espadana o żdźbłach ostrych jak bagnety, niemal nieprzenikniony gąszcz bambusowy, po obu stronach ścieżki płatanina krzewów i zielska. Pod nogami uginał się dywan martwych przegniłych liści, a nad głowami gęsty dach epifytów, jak

\* Que pasa? (hiszp.) — Co się dzieje?

\*\* changalli (ind.) — noszone przez panny płótno, nakładane na anaco, ściągnięte w talii wąskim paskiem huahua chumbi.

potwornie splątany koltun, przyssany do wierzchołków najwyższych drzew. Metys raz po raz torował maczetą ścieżkę, ścinając jakąś wszędobyłską lianę czy kolczastą gałąź. Jacek ustawał ze zmęczenia, opóźniając tempo marszu.

— Vamos!\* Vamos! — krzyczał Metys ze złym błyskiem w oczach.

Denerwowała go ta opieszalność. Z pewnością nie chciał się spóźnić na jakąś uroczystość, a może o co innego tu szło? Jacek nie miał siły już nawet na logiczne myślenie. Dyszał ciężko, oparty o pień potężnego drzewa, z którego zwisała płatanina lian grubych jak męskie ramię.

— Pić! — szeptał, oblizując zeschnięte wargi.

Nagle Metys podszedł do niego i gwałtownie uniósł do góry rękę uzbrojoną w maczetę. Chłopiec ujrzał nad głową błysk stali i... zamknął oczy z przerażenia. Raz i drugi ostrze ze świstem wbiło się tuż nad głową Jacka w węzowy przegub liany. Otworzył oczy. Metys wziął do ręki metrowy kawał odrąbanej liany i kazał chłopcu robić to samo co on. Jacek, powtarzając jego ruchy, uniósł do ust drewnienko i z wnętrza naciętego miąższu ściekł mu do ust strumyk zimnej orzeźwiającej wody!

— Już ci lepiej, amigo? — pogłaskała go po policzku Ika.

— Si, si! Teraz mogę iść choćby pół dnia! — krzyknął chwacko Jacek, choć tak naprawdę, to na myśl o dalszej drodze zęby same zaczęły mu zgrzytać ze złości. Na szczęście po jakimś czasie dżungla poczęła się nagle rozjaśniać i wyszli z lasu na rozległe wzgórza, okryte

---

\* Vamos! (hiszp.) — Idziemy!



rdzawymi płachtami quinoa\*. Jacka oślepiło swobodne słońce. Zachłysnął się pędem polnego powietrza. Hen, od horyzontu, toczyły się w dół po wyboistej drodze stada pękatych bab w bufiastych czerwonych spódnicach. Na skraju wyszczerbionego gościńca stała smągła dziewczyna z połówką tykwy w ręku i sprzedawała z niej parujące tomale — gorące kukurydziane ciasto z kawałkiem mięsa w środku, zawinięte w liść kukurydzy, spięty kolcem kaktusa. W poprzek rożkistej drogi leżał pień eukaliptusa, obalonego przez burzę. Omijały go grupki mężczyzn w pasiastych ponczach, dźwigających na plecach opasłe wory. Nogi po kostki oblepione gliną, błoto bulgocze pod sandałami. Pękate babiny suną poboczem jak nastroszone kolorowe kwoczki. Jacek przetaił oczy ze zdumienia. Nie, czegoś takiego to jeszcze w życiu nie widział! Na własne, oczy przekonał się, że podróżnicze legendy o pracowitości Indianek nie są wcale przesadzone. Każda z nich dźwigała ręczne wrzeciono, które monotonna warczała i kręciła się bez ustanku, oparte o czarny fartuch i kolorowo wyszywaną kamizelkę. Zręcznie przebiegając palcami snują nie kończąca się nić. Z umocowanej na plecach wełnianej chusty jak z kołyski wychyla się czarna główka krzykliwego brzdąca. Objuczone robotnice kolebią się pospiesznie, a na głowach podskakują im wielkie płaskie kapelusze. Jackowi raptem serce uderzyło mocniej — dochodzili do jakiejś osady ludzkiej. Mijali gliniane lepianki, mizernie wzmacniane kamieniami, luźno ułożonymi wzdłuż ścian. Między buda-

---

\* quinoa (ind.) — komosa kwinoa, roślina zbozowa, tzw. ryż peruwiański; jej ziarno zawiera bardzo dużo białka.

mi, zbitymi z pudeł i desek, laziły leniwie psy i sępy, rozgrzebując stertę śmieci. Chmura popiołu unosiła się nad kłębowiskiem puszek po konserwach, szmat i butelek. Jaskrawe pasiaki schludnie ubranych i eleganckich Mety-sów kontrastowały z gołymi brudnymi tydkami indiańskich górali w charakterystycznych myckach z nausznikami, workowatych ponczach i pumpach. Handlarze potrząsali sznurami kukurydzianych obwarzanków. Zaroilo się od bud i straganów, na których ludowe rzeźby w zasuszonych łupinkach dyni i wzorzyste kilimy leżały obok japońskich długopisów i zapalniczek. Indianin na ośle poganiał stadko owiec, beczące między straganami, a tuż przy krawężniku zaśmieconej uliczki paliło się małe ognisko, nad którym nanizane na bambusowy pręcik skwierczały bycze serca! Młody Indianin w ponczo i przeciwsłonecznych okularach z napisem „Made in USA” grał na elektrycznej gitarze przeboje grupy The Beatles. Jacek oniemiał na widok tej wieży Babel, gdzie rozmaite narzecza zgrzytały i szeleściły obcymi słowami, a współczesna tandeta klóciła się z historią i tradycją tej ziemi. Szerokie twarze, spalone andyjskim słońcem, natłuszczone włosy czarne jak sadza. Pod nogami przewracały się rozsypane strąki czerwonej papryki, pęczniały kopce fioletowych i żółtych ziemniaków. Dzwoniły w uszach trele trzciniowych piszczałek. Schylając głowę pod wiązkami suszonych ziół, Jacek rozmyślał już, jak by tu dać drapaką, ale... Po pierwsze, Ika trzyma go tak czule i kurczowo za rękę, że tylko cios maczety mógłby ten uścisk rozdzielić. Po drugie, gdyby nawet udało mu się wyrwać, te cholerne ostrogi brzęczą jak dzwoneczek zagubionej owieczki i szansa na zgubienie jest niewielka. Po trzecie, gdyby

nawet w targowym hałasie zdołał zaskoczyć uszy i oczy opiekunów, nie jest ani trochę inkaskim szybkobiegaczem, legendarnym chasquis, który z włosami spiętymi w kok na karku. trzymając w ręku drewniane berło, zdobne piórem cesarskiego ptaka, prznosił rozkazy Inki w tempie, o którym współczesna poczta może tylko pomarzyć. Balonowa szybkobiegaczem! Toż cała szkoła pękałaby ze śmiechu! Po czwarte, gdyby trafem jakimś udało mu się zmylić pogoń, dokąd pobiegnie, skoro w tym prymitywie z pewnością nie ma żadnego telegrafu, a ostatni gołąb pocztowy został zjedzony w rosole pół wieku temu. Po piąte, gdyby stał się cud i za piętnastym zakrętem nagle znalazłby urząd pocztowo-telekomunikacyjny, to przecież w kieszeni nie ma ani jednego sola\*, no i z czym do ludzi...

— W Ameryce nie ma nic za darmo, drogi panie Balonowa — mruknął do siebie. — A biały człowiek bez grosza niechybnie zostałby uznany za wariata albo jeszcze gorzej — stwierdził na zakończenie logicznych wywodów, które z konieczności musiały utknąć na piątym punkcie. — Si, si — dodał jeszcze w aforystycznym natchnieniu — myślenie tylko wtedy ma przyszłość przed sobą, jeśli za sobą ma pieniądze...

— Jaszek, que hay, amigo? — zaniepokoiła się Ika, przykładając mu dłoń do czoła, by zbadać temperaturę ciała człowiekowi, który od kilku minut mówi sam do siebie. Jacek otrząsnął się z ucieczkowego transu i obdarzył Ikę tak promiennym uśmiechem, przy którym oblicze najweselszego

---

\* sol (hiszp.) — jednostka monetarna w Peru.

\*\* que hay, amigo? (hiszp.) — co się stało, kochanie?

z cyrkowych kłownów mogło się wydać bardzo ponure.

Szli dalej, mijając kolorowe stragany. Na przedmieściu osady handlarki porozsiadały się wprost na bruku jak stare purchawki, o pooranych zmarszczkami twarzach, na pozór martwych, ale sprytnie śledzących wszystko skośnymi oczkami. Ileż tu falsyfikatów przeszłości, rżniętych tykw, przedziwnych drewnianych maskaronów i glinianych naczyń w geometryczne wzorki! Tkaniny z delikatnej wełny lam rywalizują z amerykańskimi wranglerami, a rewolwery — z autentycznymi kulkami kamiennymi, znacznymi misternie wyrzeźbioną bruzdą pośrodku. Takie kulki przed wiekami Inkowie wyrzucali z proc, usiłując powstrzymać krwawą krucjatę hiszpańskich konkwistadorów. Fruwają na wietrze swetry, zielone jak trawa morska lub różowe jak landrynka. Towary przelewają się, przesłaniają twarze kupców. Między pękami ziół tkwią zawiniątka z suszonym mięsem. Był nawet stragan z lekarstwami, które miały w sobie więcej znachorstwa niż medycyny: kopytka lamy i tarta sierść alpaki, ziemia żelazista i ziemia rtęciowa, gliniane figurki bożków i talizmany od wszelkich uroków strzegące. A najwięcej kukurydzy i fasoli, ryżu i manioku, wyrobów z włókien palmowych, luków i strzał indiańskich. Lśniły złowieszczo skóry wężów i jaguarów. Szarpały się na uwięzi leśne indyki, legwany i żółwie, a nawet żywe anakondy drzemały w klatkach. Indianki przyniosły na sprzedaż naszyjniki z zębów małp i kolorowych nasion.

Grupka wesołych Metysów popija trzciniową wódkę canazo, zagryzając czarną fasolą. W brzęku trochę rozstrojonej gitary fruwają spódnice i błyskają boscie pięty. Ich kontrastem są stwardniałe twarze Indian, jakby wyrzeźbio-



ne z najtwardszego drewna, a w nich czujne uważne oczy. W centrum osady życie towarzyskie wre na monumentalnych, wysokich schodach kościoła. Chłopi tracą tu pieniądze na grę w trzy kolory, w kości lub wróżby wyciągane dziobem chytrej papugi, która i banknot z kieszonki wysupłać potrafi. Na końcu targowiska siedziała staruszczyzna, skurczona jak huba drzewna, a przed nią trzy cebule i wiązka szczap na rozpałkę. Kiedy tak przepychali się między kramami, Jacek nagle uświadomił sobie, że to barwne targowisko tchnie jakimś rozpaczliwym zaduchem indiańskiej biedy. Tylko tam, gdzie zbierze się grupka Metysów, słychać śmiech i radosny gwar. A wśród potomków Atahualpy, sprzedających swetry i rękawice, kapelusze i gliniane naczynia w czarne, brązowe i czerwone wzory, mosiężne bożki i ozdobne figurki byków z gliny — zaledwie pomruk przyciszonych głosów i szuranie sandałów. Siedzą nieruchomo, a przed nimi proce huaraca, takie same, jakich używali przed wiekami inkascy wojownicy. Małe Indianiatka żebrzą również po cichu, prawie szeptem prosząc o jałmużnę do wyciągniętej rączki. Dalej chudy Indianin zbierał do kapelusza datki. Towarzyszący mu Metys przyjmował zakłady i gryzmolił coś na kartce papieru. Zapowiadała się jakaś walka. Tłumek gapiów obstał nieduży krąg wydeptanej ziemi na zapleczu kościoła. Jacek zajrzał do wewnątrz tej mini-areny i zadrżał: na środku tkwił nieruchomo olbrzymi czarny pajak, wielkości dużego spodka! Z rogrzebanego maczetą otworu w ziemi wydobyto drugiego pajaka, ale ubarwionego na brunatno.

— O rany! — gwizdnął Jacek. — Ja zawsze myślałem, że te ohydne tarantule czają się na drzewach, w jakichś

dziuplach, gdzieś pod zwalonymi pniami. A ten Indianin kopie te straszliwe pająki tak sobie w ziemi niczym kartofle!

Tymczasem największy z wygrzebanych brunatnych pająków został posadzony na dużym bananowym liściu, a czarnego olbrzyma umieszczono naprzeciwko. Jadowite bestie rzuciły się na siebie natychmiast! Natarcie było tak silne że bananowy ring zaczął trząść się w posadach i kołysać. Zawodnicy spleli się w śmiertelnym uścisku, odskoczyli, znowu zwarli włochatymi łapami i — koniec walki. Czarny zawodnik podreptał na krawędź ringu, ale nie zdążył nacieszyć się zwycięstwem; szybki cios maczetą i on również znieruchomiał, wśród burzy oklasków, gwizdów radości i podnieconych okrzyków... Raz jeszcze okazało się, że walka w przyrodzie nie zawsze jest sposobem przetrwania; często służy tylko zaspokojeniu ludzkiej próżności...

— Jaszek, chodź szybko, wołają nas! — szarpnęła go za rękę Ika. Metys i Indianka siedzieli już na trybunie z żerdzi, postawionej na skraju ogrodzonego placu. — Zaraz rozpocznie się walka byków — dodała, ciągnąc Jacka bliżej swoich rodziców.

Zdrętwiał.

— No nie! Dostyc tego zabijania już widziałem! — pisnął Lolek Balonowa, ale Ika nie miała zamiaru z nim dyskutować.

Energicznie ciągnęła go za sobą, jak... Fch, zamiast porównania, popatrzmy lepiej na plac boju. Oto smagli gauczo wyprowadzają już na prowizoryczną arenę byki. Rozlegają się okrzyki olé! olé! olé! — ostre jak kłaśnięcia bicza. Okrzyki wkrótce przechodzą w śmiech, bowiem ochota do walki tych niezbyt rozjuszonych zwierzaków ma

również charakter prowizdyczny. Są to sympatyczne młode byczki, które trzeba ciągnąć na powrozie i poganiać kijem, bo inaczej za nic nie weszłyby na arenę.

— Biedaki, jak ja was rozumiem — pokiwał głową współczująco Jacek i już miał zakryć dłonią oczy, by nie patrzeć na to krwawe widowisko, gdy nagle zauważył coś dziwnego... — A dlaczego ten torreador nie ma szpady? — zapytał Ikę, gdy na byczka ruszył otyły jegomość, wymachując czerwoną płachtą.

— Bo to jest corrida dla amatorów i publiczności, comprende? Nawet ty możesz walczyć. Chcesz? Zaraz ciebie zgłoszę! — to mówiąc podniosła rękę Jacka do góry, nie czekając na odpowiedź.

— Nie! Nie! Nie! — wrzasnął i pokręcił głową jak tylko mógł najszybciej.

— Nie, to nie! A ja myślałam, że z ciebie to prawdziwy mężczyzna... — wyduła usta i odwróciła się od Jacka.

— A myśl sobie co chcesz, głupia kozo — mruknął po polsku i machnął ręką. — Nie mam ochoty wracać do kraju w stalowym pudle — dodał i pokręcił głową ze złością, bo jednakowoż dotknęła go nieco jej uszczypliwa uwaga pod adresem jego męskości.

Tymczasem byczek stał jak wmurowany w jednym miejscu i skutecznie opędzał się ogonem od podskakującego z czerwoną płachtą torreadora-amatora. Nie kwapił się wcale do harców. Stukał przy tym racicą w klepisko, wywołując tumany kurzu i salwy śmiechu na widowni. Wreszcie torreador nie wytrzymał. Zamaszyście przeżegnał się, wznosząc głośne modły do niebios o pokatanie tej leniwej bestii i osobistą pomyślność, przesunął sombrero na

tył głowy, obtarł pot z czerwonego czoła, cofnął się, wziął rozpęd i... runął z wściekłością na byczka! Ten przestraszył się, zrobił w tył zwrot i... popędził wprost na publiczność, która z wrzaskiem zaczęła wskakiwać na płot. Jacek zaplątał się ostrogami w sękatę żerdki i nie mógł się wydostać! Byk coraz bliżej! Na szczęście Metys w porę podał mu rękę i w ostatnim momencie Jacek uniknął losu bohatera. Stanowczo nie miał ochoty na niespodziewane oko w oko z bykiem, choćby najmniejszym... Walka jednak jeszcze się nie zakończyła. Zasapany grubas nie dawał za wygraną. Rozochocony przewagą, wymachiwał czerwoną płachtą coraz natarczywiej nad wracającym na środek areny zwierzęciem. Wreszcie byczek zniecierpliwził się. Gwałtownym ruchem rogów obalił torreadora na ziemię, wywiesił czerwony jęzor i dyszał nad pokonanym przeciwnikiem, z zadowoleniem przyglądając się, jak ten na czworakach, tyłem, wycofuje się chyłkiem z placu boju. Publiczność ryczała ze śmiechu.

Tuż za placem corridy rozłożyła się na trawie miejscowa orkiestra: dwie gitary, harfa, cymbały, coś w rodzaju kobzy i skrzypce o jednej strunie. Ze stojącej obok kadzi popijali kubeczkami czicę i wygrywali różne melodie, raczej nie do tańca, smutne jakieś i bez określonego rytmu. Pobrzmiewała w nich nuta nostalgii za utraconą świetnością państwa czterech stron świata — Tawantinsuyu\*, w którym panowała sprawiedliwość, nie znano głodu ni żebractwa. Czy dlatego, iż lenistwo zaliczano do zbrodni zagrożonych karą

---

\* Tawantinsuyu (ind.) — Państwo Czterech Stron Świata (nazwa imperium Inków).



śmierci? Proste i skuteczne prawa Inków przychodziły Jackowi zawsze na myśl wówczas, gdy przed rodzinnym telewizorem wysłuchiwał bełkotliwych dyskusji o obowiązku pracy. Zawsze ktoś tam się musiał wyrwać, że do pracy przymuszać nieładnie, że obozy pracy dla pasożytniczych nierobów to pomysł niehumanitarny.

Dorosłym wydaje się, że nastolatek to jeszcze dziecko i o polityce nie ma pojęcia, a przecież my takie same oczy mamy jak oni, no i głowy też niegorsze. Wszystko zło na tym świecie z lenistwa rośnie... — medytował, wpatrzony w indiańskich muzykantów.

Z ich kamiennych twarzy nie można było niczego wyczytać, żadnego wzruszenia, żadnego uczucia. Godność i spojrzenie wstecz. Może nawet są to te same melodie, które rozbrzmiewały między ścianami pałacu wszechpotężnego Inki, wysadzanego złotymi i platynowymi płytami?

— Jaszek, nie gap się, idziemy dalej! — ścisnęła go Ika za rękę.

Nie uszli daleko. Na skraju łąki zapiały koguty i Metys zatrzymał się. Pianie rozdarło powietrze ostrym skowytom po raz drugi. Metys podbiegł do tłumku podekscytowanych mężczyzn. Wymachiwali sombrerami i gorączkowo gestykulowali, spierając się o coś. Jakiś zambo, mieszaniec murzyńsko-indiański, potrzasał czarnym melonikiem, do którego wpadały pieniądze z metalicznym stukotem. Ojciec Iki wysuwał zza koszuli zawiniątko, rozwinął chusteczkę i wszystkie monety wysypał do melonika.

— Que pasa? — zdziwił się Jacek.

— Nie widzisz? Papacito przegrał na pajakach pięćdziesiąt soli, a teraz resztę pieniędzy postawił na koguty. Módl

się za pomyślność tatuśka, bo jak nie zwycięży jego faworyt, to będziemy głodni do wieczora, *comprende?* — mądrzyła się Ika.

Tłumek kolorowych rozkrzyczanych postaci falował wokół prostokątnego dołu w ziemi. Nagle ucichło. Właściciele wnieśli na ring swoich zawodników, z lepkami osłoniętymi kolorowym płótnem.

— A jak nie zechcą walczyć? — szepnął Jacek, mając świeżo w pamięci byczka-pacyfistę.

— Będą walczyć na śmierć i życie! — Ika błysnęła dziko gorącymi oczyma. — One od miesiąca są specjalnie karmione, pielęgnowane i nacierane, a przez ostatnie dni trzymane w ciemnościach. Zobaczysz, jak... — nie dosłyszał zakończenia, bo kogutom zdjęto płótno z dziobów i buchnął wielki wrzask kibiców.

Poszły! Skrzeczenie, drapanie i młocka dziobami trwały do momentu, kiedy frunęło pierwsze piórko. Wstępne harce zostały przerwane i zaczęło się uzbrajanie zawodników. W czasie tej przerwy publika kończyła zawieranie zakładów, temperatura gorączkowych rozmów znowu rosła. Tłum stłoczony na otaczających jamę podestach z palonej w słońcu cegły adobe, obudowanych deskami, gestykułował coraz głośniejsze, rozgrzany i cuchnący. Pęczniał tłusty stos banknotów. Tymczasem kogutom zakładano ostrogi we właściwych miejscach za pomocą nici i wosku pszczelego. Pierwszy skończył opasy *cholo\** w trzciniowym kapeluszu, więc oprowadził swego ulubieńca — na sznurku oczywiście

---

\* *cholo* (hiszp.) — Metys, w którego kulturze przeważają elementy indiańskie.

— wokoło ringu, krokiem spacerowym jak po ogrodzie. Co krok klękał, gładził go po piórach i uspokajał, wysłuchując jednocześnie mnóstwa dobrych rad. Z ostróg zdjęto już skórzane kapturki, błysnęły metalowe szpikulce jak wyostrzone nożyki. A koguty najpierw dziobały sobie spokojnie ziemię w odległości kilku stóp od siebie, obojętne na doping kibiców, którzy zainwestowali w ten interes sporo pieniędzy. Wreszcie zbliżyły się powolutku do środka i... jak nie skoczą do siebie! Krew andyjskich orłów zagrała gwałtownie, lecą poarafane pióra. Publika wydziera się wniebogłosy, a koguty zaczynają ostrożnie, badając najpierw taktykę i siły przeciwnika. Ataki stają się coraz szybsze i gwałtowniejsze, ryk publiczności nasila się. W kłębach kurzu i lecących piór krew tryska na gorący piach, a po arenie przesuwają się chyży cień sępów, cierpliwie czekających na łup. Koguty biją skrzydłami, dziobią i kopią, celując wyostrzonymi ostrogami w głowę przeciwnika. Gdy próbują się cofnąć choćby o kroczek, natychmiast nasila się podjudzający wrzask. Krople krwi kapią coraz gęściej jak paciorki śmiertelnego naszyjnika. Jeszcze jeden szaleńczy podryg, i kogut trzepocze się konwulsyjnie, osuwa i pada. Brzęczą wyplacane pieniądze, a potem już tylko mlaskanie i gulgotanie świadczy o emocjach, które nasyciły próżne instynkty, a wysuszyły gardła i żołądki.

— Ahora — buen provecho! Vamos!\* — krzyknął uradowany Metys, potrząsając całą garścią pieniędzy. Ika mrugnęła do Jacka i pogładziła się po brzuchu. Zanurzyli się znowu między kolorowe stragany. Na stolach parowała

---

\* Ahora — buen provecho! Vamos! — Teraz — smacznego! Idziemy!

gotowana fasola w glinianych miseczkach i drażniły podniebienie pieczone króliki na patyku, pośród wianków czosnku i czerwonego pieprzu.

— Pollo a la brasa!\* — zamówił Metys i po chwili Jacek dzierżył już w dłoni ociekającą tłuszczem nóżkę. Wprawdzie po ohydnej rzezi kogutów czuł obrzydzenie do jedzenia, ale instynkt głodu był silniejszy. Po mdłych papkach kukurydziano-jęczmiennych oto nadchodziła pełnia szczęścia! Zatapiając zęby w smakowitym mięsku, doznał uczucia określanego jako błogostan czy jakoś tam jeszcze, a z pewnością była to najszcześniejsza Jackowa chwila od momentu, gdy stwierdził, że jest uratowany.

— Comida muy rica, comida muy rica!\*\* — powtarzała w kółko Ika, zaś Jacek tylko kiwał grzecznie głową, bowiem usta miał zajęte.

Musiał wyglądać pocieszenie, skoro rozczulił pękatą handlarke, zakutaną w stertę pasiastych spódnic. Poglaskala go po głowie z matczynym uśmiechem.

— Suma wawa!\*\*\* — sapnęła, a jej ogorzale zmarszczki rozjaśniły się jak brązowe słoneczko.

Jacek zrobił niemądrą minę, a gdy Ika przetłumaczyła mu to szeptem, splonął rumieńcem jak uczeń przed pierwszym bale, nie umiejący w dodatku tańczyć... Znowu łazili między straganami, a emocje wyostrzały apetyt. Ika snadź poczuła to samo, bo szepnęła Jackowi do ucha:

— Nie martw się, Jaszek, papacito ma tu krewnych i

---

\* Pollo a la brasa! (hiszp.) — Kurczak z rożna!

\*\* Comida muy rica! (hiszp.) — Bardzo smaczne jedzenie!

\*\*\* Suma wawa! (ind.) — Cóż za piękne dziecko!



pójdziemy do nich na ucztę, a wieczorem na polach będzie gran fiesta\* i pieczenie pachamanca...

Jacek ucieszył się w duchu. Czekały go nowe przeżycia i — co tu kryć — jakieś piecyste. Byłby uściskał Ikę z radości, ale nie chciał zadzierać z Indianką, która cały czas miała ich na oku. Mijali kurne chaty i ogródki pełne śpiewu i tańców. Wreszcie zatrzymali się przed domem, w którym sądząc z zapewnień Iki i liczby rozbawionych już gości, mieli zatrzymać się na dłużej. Kiedy ceremonii powitalnej uczyniono zadość, Jacek wraz z rodziną Metysa znalazł się w ogrodzie pełnym zataczających się już gości. Czicza widać krążyła między nimi dostatecznie długo, by wznieść wszelkie możliwe toasty, a przede wszystkim za zdrowie pierworodnego dziecka. Co chwila ktoś przybywał, składał prezenty i wygłaszał pochwalne przemówienie na cześć nowo narodzonego, rodziców, gości i wszelkich rzeczy, które w domu są. Dwóch gitarzystów stroiło instrumenty przy wtórze kastanietów i perkusji. Kiedy Jacek spojrzal na stół, gęsto zastawiony półmiskami, zdębiał. Czego tam nie było! Szaszłyk z serc wołowych i ryba pieczona w liściu palmy. Duszona wołowina z ryżem i smażonymi bananami, a obok niej smakowicie pachnący gulasz na gorąco z przyprawionej aromatycznie kury i baraniny. No i wiele innych potraw, które Jacek widział na oczy po raz pierwszy w życiu!

O rany, gdzie ja to zmieszczę! Żebym to ja wiedział, że tu będzie tak bogato, nie opychałbym się tak bigosem... — dumal, smętnie wpatrzony w Ikę, która z wdziękiem nakładała sobie na talerzyk

\* gran fiesta (hiszp.) — wielkie święto, wielka zabawa.

coraz to nowe dania, śląc Jackowi figlarne uśmiechy...

Trunki lały się obficie i coraz głośniej oklaskiwano tancerzy demonstrujących swój kunszt na środku olbrzymiej izby.

— Marinera! Marinera! — huczały oklaski na cześć popularnego tańca, a dwieście chyba par dłoni klaskało do rytmu, który przechodził w szybki galop.

Rytm, rytm, rytm — uderzany coraz szybszymi wystrzałami palców w bęben, skandowany gardłowymi okrzykami biesiadników. Gitary dźwięczały na najwyższej nucie coraz szybciej, coraz gwałtowniej, aż melodia pękła gdzieś wysoko, struny zamilkły i dudniło tylko miarowe poklaskiwanie, które raptem rozplynęło się w burzliwych oklaskach, żywiołowych jak trzepotanie tysięcy gołębih skrzydeł, wypuszczonych nagle pod niebiosa w intencji światowego pokoju. Oto chłopak i dziewczyna stają do tańca, dwójka młodych Metysów. Składają sobie ukłony i rozchodzą się w takt tej szybko skandowanej melodii, by przez chwilę krążyć po przeciwnych krańcach izby. Raptem akordy gitar stają się głośniejsze — oni zbliżają się ku sobie ostrożnie, drobnym tanecznym kroczkiem, wybijanym rytmicznie. Ponad rytm i skandujące oklaski wypływa swobodnie głos solisty:

*mándame quitar las vida  
si es delito el adorarte  
que yo no seré el primero  
que muera por ser tu amante...\**

---

\* *mándame quitar...* (hiszp.) — *każ mnie pozbawić życia, jeśli przestępstwem jest moja miłość, bo ja nie będę pierwszym, który umrze za swą kochankę.*

Dziewczyna wiruje w jedwabnej sukni i lewą ręką zalotnie unosi jej rąbek, a chłopak krąży wokół niej coraz bliżej, jakby od niechcienia, czujnie unikając przedwczesnego spotkania. Wirują, a w prawych rękach trzepoczą im chusteczki, szukające się to w górze, to z boku, to znowu zwiewnie odfruwające od siebie, by opaść bezwładnie, gdy oni, sztywni jak posągi, krążą wokół siebie w coraz mniejszych kołach. Rytm potężnieje i w jego kulminacji on tańczy szalenczą kanonadą przytupywań tuż przy niej, a ona już nie ucieka, lekko drobiąc wciąż w jednym miejscu, ukołysana burzą oklasków wieńczących taniec. Gitary pobrzękują jakby sennym oddechem, jakby echem tego, co pulsowało tu przed chwilą.

Jacek ocknął się z melodyjnego odrętwienia marinera i uporczywie wpatrywał się w otyłego cholo w białym sombrero, który siedział po prawej ręce gospodarza i traktowany był przez biesiadników z najwyższym szacunkiem. Jemu podsuwano najlepsze kaski i natychmiast napelniano opróżniony kieliszek.

— Ika, co to za ważniak? — trącił ją łokciem Jacek.

Ika położyła palec na ustach i sięgnęła po kolejną porcję rybich oczu.

— To compandre!\* — wyjaśniła. — On jest traktowany na równi z bratem, a może nawet wyżej, comprende? Gdy syn na przykład zaprosi swojego ojca w kumy, to tytułują się już potem tylko „compandre” a nie „senior”. No, syn ojcu mówi „kumie”, rozumiesz?

Szczerze mówiąc, Jacek nic z tego nie rozumiał. Żeby kumostwo było ważniejsze od więzów krwi?!

---

\* compandre (hiszp.) — kum.

— Takie rzeczy to są możliwe tylko tu, w tej zwariowanej Ameryce Południowej — mruknął do siebie po polsku.

Raptem koło drzwi zakotłowało się, coś zaryczało potężnie i do izby zaczęli wchodzić Indianie. Posuwali się gęsiego i ze wszystkich sił dęli w rozmaite trąby i flety. Lśniły nagie brązowe torsy i tłuste czarne włosy, sztywne jak peruki. Nie zatrzymując się ani na chwilę, chodzili w kółko na środku izby, trąbiąc i śpiewając.

— Oni polecają laskawej opiece wielkiego Inti te cztery ściany, wszystkich obecnych i to, co na stołach — wyjaśniła Ika, przekrzykując ryk trąb. — No i zapraszają na wielką fiestę na polach — dodała, wpatrując się z przekornym uśmiechem w pyzate oblicze Jacka, który właśnie kończył liczyć.

— Piętnastu! Co? Znowu fiesta? — jęknął żałośnie i westchnął bezradnie.

— Teraz dopiero zacznie się gran fiesta, amigo, fiesta na całą noc i jeszcze kawałek dnia... — szepnęła Ika, ściskając Jacka znacząco za rękę, pod stołem oczywiście.

Indianie zniknęli tak niespodziewanie, jak się pojawili. Gwar biesiadny powoli przygasał. I znowu nie było końca pożegnaniom, poklepywaniom, pocałunkom i łzom.

Zanim doszli na pola dorocznej fiesty, zapadł mrok. Ika trzymała Jacka kurczowo za rękę i chętnie uświadamiała go we wszystkim, o co pytał i o co zapytać nie zdążył.

Pod dziesiątkami kopców z kamieni płonął już ogień. Gdy kamienie rozgrzały się, stare Indianki w odświętnych kuźmach włożyły pod nie ziemniaki i banany, okładając z wierzchu baranym mięsem. Potem przykryły kopce trawą i zasypały ziemią. Minęło zaledwie pół godziny, a milczące



kobiety rozdzielały już zapiekankę. Jacek również otrzymał swój kawałek pachamanca. Młodzi Indianie tańczyli w rytm ludowych melodii huayno, a Jacek zastanawiał się, z której strony ugryźć, gdy nagle zauważył, że nikt jeszcze nie je! Wszyscy oczekują na coś. Wkrótce między stołami pojawiły się znowu milczące Indianki i zaczęły okładać zapiekankę dodatkami. Jedna z nich połała Jackowy kawałek ostrym sosem zaji, zmieszanym z owczym serem, a druga położyła delikatnie... żabę! Jackiem targnęło: schwycił się ręką za usta i... Całe szczęście, że Ika szybko nachyliła go pod stół, bo... Kiedy doszedł do siebie, na jego porcji żaby już nie było. Ika śmiała się w kulak, kiwając z politowaniem głową.

— Żaby się boisz? Żaba jest mała, a Jaszek duży. Żaba jest gotowana i nie skacze, żaba to wielki przysmak! — mlasnęła.

Postanowił, że nie weźmie już nic do ust, będzie pościł aż do samego rana.

Poła jarzyły się rozpalonymi kamieniami, tętniły rytmem ludowych tańców i radością. Tej nocy nikt nie spał. Wzorem przodków oczekiwano przyjścia boga Słońca — wszechpotężnego Inti. Czas się nie dłużył — wypełniano go śpiewem i zabawami, kończono składanie ofiar z kwiatów i owoców pod kolumną uwieczoną girlandami, na szczycie której złocisty tron oczekiwał na przyjście słonecznego bóstwa. U stóp kolumny, w imitacji złotej lektyki czekał na pierwszy promień cesarz — wielki Inka, a raczej jego współczesny sobowtór w stroju wiernie odtworzonym na wzór tego, który przed wiekami okrywał prawdziwego władcę. Towarzyszli mu książęta i cały dwór, przebrany w to, co najpiękniejsze i najbogatsze. Koło północy Jacka

zaczął morzyć sen; nie nawykł przecież do takich nocnych imprez.

— Jaszek, uważaj, bo twoje oczy skleją się tak mocno, że nie zobaczysz wschodu słońca — szepnęła Ika. — Chodź, przewietrzmy się troszeczkę, to ci przejdzie — pociągnęła go za rękę.

Kiedy wydostali się z tłumu i wyszli na otwartą przestrzeń, Ika nagle pocałowała go w policzek i... zaczęła uciekać.

— Zwariowała czy co? — mruknął i nadal włókł się noga za nogą.

Ika oglądała się, oglądała, wreszcie krzyknęła zniecierpliwiona:

— No goń mnie, goń!

— Nie mam siły biegać! — odkrzyknął i dodał po chwili nieco ciszej, w języku ojczystym oczywiście: — Nie ma głupich, moja panno; już ja wiem, czym pachną takie gonitwy... .

— Jak nie masz siły, to siadaj! — klepnęła go po ramieniu.

Usiedli. Wysokie trawy szumiały cichutko. Ponad monotonnym skrzypieniem świerszczy przepływał aksamitny głos turkawki. Śpiew składał się z dwóch niskich nut, łagodnych i cichych, ale powtarzanych uparcie jak kukulka.

— Coś jak ty... — wyrwało się Jackowi, a Ika przytuliła się do niego.

— Zimno mi jakoś, Jaszek, wiesz? A dlaczego mnie nie gonisz, co? To taki zwyczaj u nas, chłopak goni dziewczynę. Nie czytałeś nic o naszych zwyczajach? — szepnęła.

Otarł rękawem zroszone czoło.

— Owszem, czytałem — ziewnął.

Mijały nocne godziny odmierzane pianiem kogutów. Pątnicy ucichli; już tę z nabożnego szacunku dla tradycji, już to ze zmęczenia. Niektórzy usnęli tak, jak siedzieli, z głową na stole albo pośród wysokich traw. Kiedy pierwszy różowy promień zorzy zabarwił niebo, Inka podniósł się z lektyki i zaintonował pieśń triumfalną. Kroczył dostojnie, a za nim dworzanie i poddani. Szli na wschód, by powitać słoneczne bóstwo. W miarę jak słońce podpływało do horyzontu, chóry potężniały na coraz wyższą nutę w wielkim krzyku radości. A gdy skrawek słonecznej tarczy ukazał się nad horyzontem, śpiewy ucichły. Wszyscy runęli na kolana. Tylko najjaśniejszy Inka, cesarz tego ludu, stał z szeroko otwartymi ramionami, pozdrawiając wszechpotężne bóstwo. Kiedy tarcza wypłynęła w całości, a jej światłość tak już oślepiła, że nikt nie odważył się podnieść na nią wzroku, kapłani zaczęli obrządek odnowienia świętego ognia, by można go było przenieść w zacisze świątyni i strzec do przyszłego roku. Wklęśłe zwierciadło z polerowanego złota ustawili pod słońce, skupiając wiązkę promieni na kłębuszku wełny ze świętej lamy. Zapłonął ogień! Święty płomień oddano w opiekę Dziewicom Słońca. Inka ujął w obie dłonie złote naczynie napełnione cziczą. Pierwszy toast wznosił symbolicznie do słońca, zaś drugi do swego ludu. Uhonorował w ten sposób dwie siły, na których opierała się potęga jego imperium, po czym przekazał złotą misę najbliższej rodzinie, ta zaś dworzanom. Kiedy toasty spełniono, barwny pochód ruszył do świątyni, by złożyć ofiary.

Jacek z zapartym tchem obserwował rozwój wydarzeń,

żałując, że to tylko maskarada. Ech, gdyby jakimś wehikulem czasu przenieść się kilka wieków wstecz do stóp Kordylierów!

Ruszyli w drogę powrotną. Minęli gromadki pękających bab z dziećmi na plecach i kołowrotkami w rękach, a potem zniknęli w mrocznej czeluści dżungli. Metys znowu musiał oczyszczać maczetą światło ścieżki, bo tam, gdzie ciął poprzednim razem, plątały się już świeżo odrośnięte pędy. Na odpoczynek rozsiedli się u stóp olbrzymiego drzewa. Takiego giganta Jacek jeszcze nie widział. Spłaszczoną i wielkie (niby ściany podporowe) korzenie tego kolosa stanowiły przestronne leśne kwatery, przytulne i zaciszne jak domowe M-6! Tylko nakryć ten naturalny segment dachem i... dom!

Metys przyrządził zaimprovizowany podwieczorek przy pomocy maczety: biały (i mdły!) rdzeń palmy, popijany wodą z liany. Jacek żuł słodką papkę i wsłuchiwał się w oddech puszczy. Ocean zieleni parował, nasiąknięty korzenną wonią, rozdzwoniony tysiącem śpiewów, gwizdów i treli.

Poszli teraz „na skróty”. Ojciec Iki zostawiał za sobą znaki na drzewach, jak to czynią Indianie, zapuszczając się w mniej znany obszar puszczy. W przypadku zabłądzenia zawsze można wrócić do miejsca, skąd się wyszło. A zabłądzić bez znaków — straszliwa śmierć! Bliskość domu dodawała sił Jackowi. Szło mu się jakby coraz łatwiej, radośniej... Z fantazją trząskając ostrogami po zielsku zarastającym ścieżkę i szarmancko kłaniając się Ice, machając przed nią kapeluszem. Aż wreszcie dotarli do chaty i wtedy Jacek spojrzał na swoje buty, gdy czas było je zdejmować. O rany! Posmutniał nagle, a Ika zaśmiewała się do łez, coraz głośniej i coraz



srebrzyściej, klepiąc się radośnie po brzuchu. Metys popatrzył na Jackowe buty i również wybuchnął śmiechem. W miejscu, gdzie nie tak dawno iskrzyły się przepiękne srebrne ostrogi, sterczały już tylko niewielkie, osmalone na czarno kikuty! Jakby ktoś stopił je nad ogniskiem. Jak to mogło się stać? Przecież nie dotykał nimi żadnego ognia, a gdyby nawet nocne ognie na polach nie były senną marą, to pamięta, że ostrogi dzwoniły mu jeszcze rano na schodach świątyni, a potem w dżungli kosił nimi zielsko...

Otóż to! Zielsko! Czyżby to były rośliny, których Inkowie onegdaj używali do budowy gigantycznych warowni? Czytał o takiej roślinie; sok jej spulchniał skałę na miękką masę i dlatego Inkowie mogli spajać olbrzymie bloki kamienne bez żadnej zaprawy. Sok tej rośliny zżerał również ostrogi hiszpańskim rycerzom, przedzierającym się przez dżunglę. Tak, roślina o ciemnoczerwonych liściach! Ta sama!

Spuścił głowę i przelykał ślinę w milczeniu. Takie piękne ostrogi zmarnowane! Co powie Metys, jak się przestanie śmiać?

— Buenio, buenio, nie martw się, znajdziemy kiedyś nowe! — pogłaskał go gospodarz po głowie.

— Naprawdę? — wyjąkał Jacek przez łzy, nie wierząc własnym uszom.

— Si, si, como no?\* — odparł Metys.

---

\* Si, si, como no? (hiszp.) — Tak, tak, czemu nie?

*Tacilla w kolorze złocistym,  
czyli praca też ma swoje uroki*

Obudziły go wrzaski papug. Rodzina krzątała się już po chacie. Metys, w starych wytartych spodniach, szykował jakieś narzędzia drewniane, ni to szpadle, ni to maczugi. Indianka, w przybrudzonej kuźmie, kończyła podgrzewanie śniadania, a Ika przeglądała się w kawałku lusterka, poprawiając na sobie pocerowaną kamizelkę w czerwone paseczki i brązową spódniczkę, pamiętając zapewne dosyć odległe czasy.

Przelknęli w locie po miseczce prażonej kukurydzy i... w drogę. Metys dzwigał na ramieniu drewniany drąg, zakrzywiony jak rogal, z dwiema poprzeczkami: u góry i u dołu. Indianka niosła drewnianą motykę, a Ika coś w rodzaju dużego kija do palanta z nieco zakrzywionym końcem. Na końcu włókł się Jacek, z rękami w kieszeniach. Nie uszli daleko. Pole położone było w sąsiedztwie chaty, na łagodnym stoku pokrytym rudziejącymi kępami trawy. Indianka uniosła ręce ku słońcu i wymamrotała kilka słów błagania o pomyślność, Metys przeżegnał się i popluł w ręce. Ika oddała swój palantowy kij Jackowi i stanęła ramię w ramię z ojcem. Trzymali oboje górną poprzeczkę drąga, okutego na końcu stalową blachą.

— Euh! — glucho stęknął Metys i zgodnym ruchem nacisnęli dolną poprzeczkę kopaczki.

Kół zagłębił się w twardą ziemię jak szpadel. Pociągnę-

li do siebie, ostrze odchyliło skibę, posypały się wokół grudy.

— Jaszek, rozbijaj asonę, rozbijaj! — zachęcała Ika.

Jacek stuknął kilka razy palantową maczugą po twardych grudach. Krocząca z tyłu Indianka z zapaską ziemniaków wrzuciła mały kartofel w ten dołek, zasypała i przyklepała ziemię drewnianą motyką. Ziemniak został zasadzony. Posuwając się tyłem do kierunku marszu, powtarzali tę samą czynność z monotonną regularnością, w rytm stęknień Metysa. Jacek z niepokojem obserwował Ikę. Pot zalewał jej żywe czarne oczy, a drobna sylwetka zginała się z coraz większym trudem nad drągiem. Metys parł w tył jak maszyna. Tak się cofając dotarli do końca pola. Za nimi ciągnęła się bruzda spulchnionej ziemi, a raczej długi rząd kretowisk, przeplatanych rudziejącymi kępkami trawy. Metys przerwał nakłuwanie ziemi i poszedł z powrotem, wlokąc kół za sobą.

Czyżby koniec roboty? — zdziwił się Jacek.

Nie, chodziło o to, by zaczynać każdy następny rząd od tej samej strony, twarzą ku wschodowi słońca. Tak nakazywał inkaski obyczaj, a tradycję w tej rodzinie szanowano.

Im dłużej Jacek przeżywał wśród nich, tym większy szacunek w sobie odkrywał dla tego prymitywu, który prymitywem był tylko na pozór. Nie prymityw to bowiem, a zdrowa prostota, pokora wobec przyrody, oparta na zaufaniu do starych wzorów! — medytował. — Dla nich ziemia nie jest martwym piachem i kupą zielska do obróbki. Oni widzą na niej do dziś swojego cesarza Inkę, jak spulchnia ziemię złotym kijem, dając sygnał do zasiewu kukurydzy i sadzenia ziemniaków.

— Jaszek, nie śpij! — huknęła mu prosto w ucho Ika.

Ocknął się, otrząsnął z głębokich rozmyślań. Popatrzył na dziewczynkę, uśmiechniętą już, ale spoconą jeszcze, przygiętą do ziemi. Na jej dłoniach zauważył białe bąble, podbiegnięte krwią. Jacek wyobraził sobie ciąg dalszy tej mordęgi. Oto zaczynają orkę następnego rządu. Metys nie zwalnia tempa, stęka swoje „euh!” i z pasją wali drągiem w rdzawy ugór. Ika wreszcie nie wytrzymuje i pada nieprzytomna. Sępy zataczają nad jej ciałem coraz niższe kręgi...

— Nie! — krzyknął rozpaczliwie i podbiegł do Metysa.

Ten otarł pot z czoła i popatrzył na chłopca ze zdziwieniem.

— Trzymaj! — Jacek wręczył maczugę Ice, odepchnął ją od taclli i stanął ramię w ramię z Metysem.

Ten uśmiechnął się pod wąsem i spojrzął na Indiankę. Jej twarz miała jak zwykle wyraz kamienny i nieprzenikniony.

Gniotły rzemienie opasujące nogę, pot zalewał oczy, ale Jacek czuł się szczęśliwy. Radosny męską dumą. Spoglądał raz po raz na Ikę, ale ona odwracała twarz, jakby kryjąc przed nim oczy, z których kapalo coś i zraszało rozbijane grudy.

Pot czy... coś innego? — zastanawiał się, wiedziony odrobiną próżności, która tkwi przecież nie tylko w kobietach, cokolwiek by się dobrego o mężczyznach nie napisało, zwłaszcza o mężczyznach czternastoletnich...

Po takim wysiłku obiad smakował znakomicie, chociaż jak zwykle w dzień powszedni była to rozgotowana papka o nieokreślonej konsystencji. Tylko instynkt niewybrednego smakosza pozwalał Jackowi na domysły, że tym razem spożywali mieszaninę kaszy jęczmiennej z mąką kukury-



dzianą, z dodatkiem soli i kilku cebulek. Mógł się założyć (choć nie miał z kim i o co!), że na podwieczorek będą resztki z obiadu i — na przykład — gotowana oca. Całe szczęście, że się nie zakładał, bowiem sprawy — te kulinarne również — przybrały po obiedzie zupełnie inny obrót. Szykowali się właśnie do ponownego wyjścia w pole, kiedy w progu chaty stanął niespodziewany gość. Indianin! Rysy jego miedzianej twarzy do złudzenia przypominały twarz gospodyni. Oczekiwał w pełnym godności milczeniu. A kiedy Indianka podeszła do niego ze znakiem zapytania na równie milczącym obliczu, wypowiedział tylko jedno słowo:

— Minga!\* — i zniknął w dżungli.

— Minga... — powtórzyła jak echo i sięgnęła po swój kapelusz.

Metys dojadł pospiesznie obiad, oblizał łyżkę, nacisnął sombrero na oczy, na ramię zarzucił ubrudzoną ziemią kopaczkę i...

— Minga! — przypomniała mu surowo Indianka.

Mruknął coś, rzucił taclę w ką. Po chwili maszerowali już zgodnym rytmem czterech par utrudzonych nóg. Metys wymachiwał z fantazją swoją maczetą, z którą się nie rozstawał podczas wędrówek puszczańskimi szlakami. Bzykały koło uszu owady, mieniły się w słonecznych plamach żwawe biedronki i leniwe żuki, monotonnie brzęczała szarańcza, dzwoniły piewiki i świerszcze.

— Popatrz, jakie ładne skalikurki! — szarpnęła go Ika za rękaw.

---

\* Minga (ind.) — system wspólnej pracy, samopomoc sąsiedzka, wprowadzona jeszcze w okresie imperium Inków.

Na prawo w gęstwinie trwały właśnie zaloty płomiennie czerwonych ptaków.

— Gdzie ja je widziałem... — zamyślił się Jacek. — Już wiem! Są symbolem Peru, tak. Przepiękne ptaki! — krzyknął z zachwytem.

Obok baraszkowały inne, lśniące wspaniałym błękitem niczym ożywione strzępy nieboskłonu. Tak dotarli niebawem do obszernej zielonej doliny. Między kurnymi chatami, przycupniętymi pod dachami z liści palmowych, uganiała się chmara bosonogich dzieciaków w pasiastych brązowo-czarnych koszulinach. U ramion fruwały im śmieszne futrzane ogonki oraz... wianuszki glinianych skorupek!

— Czy im nie ciężko z tym? — zaniepokoił się.

— To wędrowniczki, lubią zwiedzać las na własną rękę, więc przyczepiono im takie dzwoneczki, żeby się łatwiej znalazły! — wyjaśniła Ika.

Chmara małych brzęczących trzmieli opadła przybyszów. Piszczały jedno przez drugie dzień dobry i wyciągały ręce z rozcapierzonymi paluszkami, jakby prosząc o to, co dzieci na całym świecie lubią najbardziej. Jacek stropił się.

— Skąd ja wam wezmę cukierków, maluchy? Sam bym chętnie zjadł! — powiedział z wrażenia po hiszpańsku.

No i stała się rzecz dziwna. Najstarsza z dziewczynek wyjęła z kieszonki swojej trzmielowatej kuźmy najprawdziwszego cukierka w żółtym papierku i dała Jackowi! A dzieci nadal wołały swoje dzień dobry i wyciągały ręce.

— One chcą się z tobą tylko przywitać — szepnęła z tyłu Ika. — A cukierki dostają od misjonarzy, którzy... — urwała, patrząc ostrożnie w kierunku matki, jakby w obawie, że powiedziała za wiele.

— Misjonarzy tutaj nie ma — wtrącił Metys, ściskając po kolei rączki rezolutnych trzmieli o czarnych główkach i żywych błyszczących paciorkach oczu. — Oni przylatują raz na miesiąc samolotem. Powinni być kilka dni temu, nie przylecieli. Ale jak tylko przylecą, to ja... wiesz, ninio, nie martw się, wrócisz do swoich...

Teraz kolej na Jacka. Też uściśnął brązowe łapki i naraz łzy zakręciły mu się w oczach.

Samolot to jednak jakaś szansa... Dlaczego się spóźnia? A może rozbił się w Andach? Szeleściły papierki. Dzieci jadły cukierki i zagryzały je korzeniami juki. Wkrótce otoczyła ich grupa Indian obojga płci w różnym wieku, ubranych jednakowo w workowate kuźmy. Ich brązowo-czerwony deseń przypominał barwę tej ziemi. Jeden z nich, pewnie miejscowy wódz, nosił odmienną kuźmę, w pasy pionowe. Włosy mieli mężczyźni długie, przycięte przy ramionach, a czoła przepasane koroną z łyka, z zatkniętymi w nią papuzimi piórami. Kobiety były przystrojone w długie zwoje paciorków, nanizanych z pachnących nasionek.

— Witajcie, dzieci wiecznie gorejącego Pahua, potomkowie Tahuanty. Czekaliśmy na was! — przywitał ich kuraka.

Długie czarne luki i pęki strzał nie wyglądały zbyt przyjaźnie, a sine wężyki, wytatuowane w dzieciństwie na policzkach (nawet u kobiet!), nie zachęcały do poufaleści.

— Te wężyki mają chronić przed ukąszeniami jadowitych żmij i od uderzeń jadowitych płaszczek — wyjaśniła Ika. — Kampowie są dzielni: ich serce nie zna uczucia strachu, język kłamstwa, a mięśnie zmęczenia! — dodała z dumą.

Jacek wiedział, że świadectwem ich niezależności i

poczucia siły był ich pogardliwy stosunek do pieniądza. Demonstracyjnie nosili na szyi przedziurawione monety — jako ozdoby, ale i wizytówkę swobody, wolnej od reżimu pieniężnego.

Nic nowego pod słońcem. Dla nich walutą wymienną są dopiero blaszanki z prochem, scyzoryki, no a przede wszystkim szklane paciorki — pomyślał Jacek.

Budowa domu posuwała się w błyskawicznym tempie. Raz-dwa wykopano rowy na podwaliny, głębokie i szerokie na jakieś 30-40 cm, tworzące kształt prostokąta. Jedni mieszały glinę, ściągali drewno i bloki twardej ziemi. Drudzy układali drewniane belki, na których ustawiali krokwie, połączone na szczycie długim palem cumbrero. Jeszcze inni na drewnianym szkielecie z powiązanych belek kładli plecionkę, wykonaną z turzycy związanej włóknami agawy. Na tę plecionkę dopiero nałożono słomę i liście palmowe, odpowiednio mocując, co w sumie stanowiło już dach. Kiedy stanęły zręby chaty, podzielono prostokąt na dwie części: sieni i pomieszczenie mieszkalne. Szkielety ścian obłożono blokami twardej ziemi i zasmarowano zaprawą murarską z czarnej gliny. Jeszcze tylko wykopać w kącie sieni jamę dla królików i dom prawie gotowy. Kury nie wymagają nawet tak minimalnej fatygi. Nocować będą na okapie chaty lub na pobliskich drzewach. No i jeszcze podłoga, ale z nią najmniejszy kłopot: wystarczyło uklepać ją z gliny, co nawet Jackowi nieźle wychodziło. I wreszcie przerwa na posiłek! Wokół długiego stołu zgromadziła się spora gromadka robotników, wśród których Metys był głównym budowniczym, a przynajmniej tak się Jackowi zdawało, z zaszczytów mu okazywanych sądząc.



— To świetny system budowania, ta minga... — wyrzucił Jacek, zapychając się wielkimi ilościami ciapu, czyli zupy z gotowanych bananów. — Przecież on prawie nic nie kosztuje, no nie?

— To wszystko krewni i sąsiedzi. Za pracę nie biorą zapłaty, ale gospodarz ma obowiązek gościć ich jedzeniem i napitkiem, co kosztuje go znacznie drożej, comprende? — uświadomiła go Ika, ale Jacek tylko kręcił głową.

— Nie rozumiem. Jak drożej, skoro im nie płaci?

— Ech, Jaszek, Jaszek, posłuchaj. Robocizna jest tania, a apetyty wielkie! — dodała.

Jakby na potwierdzenie jej słów gospodyni wносиła już drugie danie.

— Cebiche!\* Mniam, mniam — pogłaskała się po brzuchu Ika.

Jacek przymknął z rozkoszy oczy na samą myśl o tym, że będzie jadł tę słynną potrawę. Zapach leśnego igliwia polechtał go w nozdrza. Kiedy przełknął pierwszy kęs, zrozumiał, po co postawiono na stole garnuszki ze źródlaną wodą. W ustach poczuł bowiem ostre piekło pieprzu, rocoto i przyprawy aji. Papryka przy tym wydała mu się plastrem banana! Czym prędzej wymoczył język, przekąsił zieloną kukurydzą choco.

— Jeśli się stąd wreszcie wydostanę, przygotuję ucztę moim Kosynierom — postanowił. — Ryba się znajdzie, cebula też, przyprawy? No, zamiast aji może być pieprz z odrobiną rozcieńczonego kwasu solnego, chyba ten sam skutek. Tylko skąd ja wezmę sok z limonek?

---

\* Cebiche — potrawa z surowej ryby wymoczonej w soku cytrynowym, przyprawionej pieprzem i cebulą.

Nie dane mu jednak było rozstrzygnąć tej hamletowsko-gastronomicznej kwestii, bo wstępny poczęstunek już kończono. Ika trąciła go w łokieć.

— Teraz patrz uważnie! Zaraz się zacznie huasi-pichai\*...

Po chwili przy akompaniamencie śpiewu właściciel nowej chaty został usadzony na krześle i obnoszony wokół chaty, potem wokół izby, po czym musiał przesiąść się na coś w rodzaju huśtawki, zawieszanej na sznurach, umocowanych u pułapu. Na głowę pani domu nałożono wieniec z pełnych kwiatów. No i zaczęło się! Każdy z zebranych uważał za punkt honoru, by na otwarcie domu udzielić parze właścicieli zbawiennych rad, co trwało i trwało... Wreszcie wstał kuraka, przybrany odświętnie w insygnia władzy, pobłogosławił domostwo swego ludu i odśpiewał litanie do boga Słońca, zwrócony najpierw na wschód, bo tam wstaje wielki Inti i oświetla pierwsze drzwi chaty, a potem na zachód, gdzie Słońce odchodzi. Wszyscy odśpiewali *Jahuay*\*\* , a potem improwizowane przyśpiewki solisty zdały się nie mieć końca, przeplatane ze śpiewem chóralnym. A wszystko to przy dźwięku długich drewnianych piszczałek oraz tub turus\*\*\*.

— Jedz, Jaszek, jedz! — zachęcała Ika, pokazując palcem stertę maniokowych placków.

Jacka do jedzenia, jak wiadomo, dwa razy namawiać nie trzeba. Jadł za dwóch, a że zapchał się szybko suchymi

---

\* huasi-pichai (ind.) — oczyszczenie domu, porządkowanie wnętrza.

\*\* *Jahuay* (ind.) — nazwa tradycyjnej pieśni płonów.

\*\*\* turus (ind.) — długie tuby z trzciny bambusowej, zakończone rogiem zwierzęcym.

podplomykami, musiał je popijać sfermentowanym kompotem z wielkiej kadzi. A może to było nawet wino, któż to wie... Wszystkich mężczyzn ogarniało alkoholowo-święteczne podniecenie. Tańczyli, pili ciężę i śpiewali, śpiewali bez końca, zawodząc monotonie.

Tymczasem do wioski powracają kobiety ze swych poletek juki i bananowych zagajników. Rzucają maczety przed drzwiami, odstawiają kosze pełne korzeni manioku. Są zmęczone, ale pełne pogody ducha. Błyskają radośnie białymi zębami i czym prędzej przygotowują jukę na masato\*, by ich panowie i władcy mieli cały czas co pić. Rozdrabniają długie bulwy w wielkich drewnianych miskach. Mieszają z wrzątkiem i ciągle wypluwają do kadzi dokładnie przeżutą papkę. Mieszają i spluwają!... Jacka aż zemdlilo, na szczęście kuraka przyszedł mu (niechący) z pomocą, zapraszając do zwiedzania wioski.

Na własne oczy Jacek ujrzał to, co wyczytał w wielu grubych książkach. Ciemne i smrodliwe sienie, pełne porzuconych w nieładzie narzędzi i sprzętów, po których swobodnie baraszkuje świnki morskie — święteczny przysmak. Jacek potykał się o kamienne żarna, jakieś worki z ziarnem, zapasy żywności. Dwie stępy drewniane, pełne kukurydzy, a obok krosna, mały warsztat tkacki; tkanina ścisła, równa, materiał gruby, ale miękki, w dyskretne kolorowe szlaczki. Na słupku motowidła nici, szpule rzeźbione, upiększone ornamentem. W izbie mieszkalnej bałagan niegorszy. Oto w jednym kącie ognisko, nad którym wznoszą się bez przerwy kłęby dymu, a w drugim

\* masato — jeden z wielu rodzajów alkoholu.

słoma na legowisko, gdzieśgdzie jakiś porwany materac, cuchnący śmietnikiem „Made in USA”, na nim stos starej i brudnej odzieży do okrywania się w nocy. Nad łóżem sznur, na którym wiszą ubrania.

Mijali kurne chaty, na niektórych krzyż, nakreślony dymem świecy, znak żałoby. Gospodyni zapraszała na poczęstunek: sterty maniokowego ciasta, gotowana ryba, pieczone mięso pokrojone w cieniutkie plasterki.

Noc zaskoczyła ich w połowie drogi powrotnej. Puszcza rozfalowała się tajemniczymi odgłosami. Metys prowadził pewnie, nasłuchując co jakiś czas. Poświata księżycowa srebrzyła odległe korony wysokich drzew, oświetlała ścieżkę. Stanęli. Metys znowu nasłuchiwał. Z oddali narastał dźwięk kastanietów.

— Fiesta? O tej porze? Tutaj? — zdziwił się Jacek.

Rodzince zrobiło się jednak raptem nieco mniej przyjemnie. Spowaźnieli. Ika położyła palec na ustach.

— Ciii! To huangana\* szczęka zębami. Ona gorsza niż otorongo\*\*. Chodzi stadami po sto sztuk, atakuje człowieka jak lawina, trzeba być cicho... — szepnęła.

Po chwili dźwięk „kastanietów” spotężniał w narastający łoskot. Gęstniał coraz odczuwalniej silny odór. Zeszli szybko ze ścieżki, przyglnęli do pnia wiekowego drzewa. W odległości kilkunastu metrów przemknęło stadło dzików, załśniła gęsta, zbita, czerwonawa sierść, nieczuła na ukąszenia żmij.

— Uff! — odetchnęła Ika.

---

\* huangana (ind.) — górska dzika świnia.

\*\* otorongo (ind.) — jaguar.



Poszli dalej. Szczęśliwie przedostali się przez gęszcz leśnego poszycia, kolczaste rośliny, wężowate liany i wysokie trawy o twardych ostrych brzegach. Skończyło się tylko na niewielkich podrapaniach twarzy i rąk. To bardzo przystępna cena nocnej wędrówki w dżungli. Do komarów zaś Jacek zdążył już przywyknąć.

— Jutro czeka nas nowa robota, trzeba wykarczować nową chacrę, no i skończyć sadzenie kartofli — mruknął Metys, kiedy leżeli już w barłogach.

Jacek nawet nie pytał, czy słowo „nas” dotyczy i jego. Nie miał wątpliwości, że zaczęto traktować go jak członka rodziny.

To i lepiej — pomyślał tłumiąc ziewanie. — Goście i ryby psują się już po trzech dniach, jak mawia babcia Paulina. A tu nie jest tak tragicznie, chociaż dziwny to jakiś świat: pracują świętując, świętują pracując, a wszystko i tak kończy się pijaństwem. Baczność, Kosynierze Dowgiello, nie rozczulać się. W obozie przejściowym nie ma miejsca na sentymenty. Liczy się tylko jedna rzecz: ucieczka. Kiedy? Maniana\*, na pewno maniana. Co za słodkie słowo... — westchnął i odwrócił się na drugi bok.

---

\* Maniana (hiszp.) — jutro (słowo to jest symbolem południowoamerykańskiej niepunktualności, niefrasobliwości i znaczyć może też: za miesiąc, za rok, nigdy...).

*Polowanie na olbrzyma,  
czyli na wszystko są sposoby*

Łoskot siekiery niósł się po lesie stokrotnym echem. Kiedy na chwilę cichło, ściszał za gardło przejmujący krzyk ptaka. Jacek przetarł zaspane oczy. Znowu twardy łomot siekiery, i krzyk zamiera. Czyżby walka z ptakiem olbrzymem, jakimś przedpotopowym gigantem? Wybiegł z chaty. Metys karczował puszcę. Ika maczetą wycinała krzewy i mniejsze drzewka, a potem wrzucała je na ognisko, tłące się na środku wykarczowanej już przestrzeni.

— Jaszek, chodź do nas! — zauważyła go dziewczynka.

Podszedł bliżej. Metys odłożył siekiere, otarł pot z czoła. Dżungla parowała już wilgotnym upałem. Chmary komarów atakowały bezustannie. Nagle znowu ten przejmujący krzyk.

— To tam! — wskazała palcem.

Na gałęzi wiercił się czarny smutny ptak z długim wisiosem na szyi niczym wytworny krawat. Przekrzywił na bok głowę z pióropuszem na kształt kapelusza, jakby się dziwiąc, jak śmie ów dwunożny stwór na dole podcinać drzewo, na którym siedzi przecież on — skrzydlaty właściciel dżungli.

— To hiszpański młodzieniec przemieniony w ptaka! — wyjaśniła Ika. — On w żałobnym stroju szukał kiedyś swojej ukochanej siostry, zagubionej w dżungli. Szukał, szukał i nie mógł znaleźć. Wtedy poprosił Boga, by mógł

być ptakiem i z wysokości śledzić okolice. Wielki Inti wysłuchał jego prośby. Odtąd siada na najwyższych drzewach i wypatruje swojej siostrzyczki, nawołuje i nawołuje — dodała.

Metys nasunął sombrero na oczy, popluł w ręce i znów przemówiła siekiera. Jacek poczuł wyrzuty sumienia.

— Może w czymś pomóc?

— Nie, zachowaj siły na później, mogą się przydać — wychrypiął zagadkowo Metys, mocując się z ostrzem, które zaklinało się w barczystym pniu.

— Będziemy sadzić kartofle? — ucieszył się (szczerze!) Jacek, ale smagły żyłasty gospodarz tylko pokręcił tajemniczo głową.

Ika przysunęła się bliżej.

— Kartofle już skończyliśmy, raniutko. Idziemy polować na kajmany... — szepnęła mu na ucho, a Jacek aż podskoczył, jakby go ugryzła modliszka.

— Na ka...kaaajmaaany? — wyjąkał.

— No a co? U nas to normalne. Phi, taka większa jaszczurka! — wyduła usta lekceważąco. — No, pomogą nam trochę tata kuzyni z osady — dodała czym prędzej, bo Metys popatrzył na nią tak, jakby za chwilę miał parsknąć śmiechem.

— To u nich byliśmy na fieście? — zapytał Jacek, wczuwając się w sytuację.

— Nie, u tych wtedy nie byliśmy, bo się upili w miasteczku i nocowali w areszcie. Ale teraz już są trzeźwi, bo donia Maria, znaczy ich matka, pochowała przed nimi garnki z cziczą. O, donia Maria to najbogatsza osoba w okolicy, ona ma... — wstrzymała oddech, by zrobić większe

wrażenie — ...ona ma trzysta baranów! Ale my też będziemy bogaci, na tym polu posadzimy bananowce, kukurydzę i fasolę, nawet mamony posadzimy, a mamony bardzo szybko rosną, prawda, papacito? Po kilku miesiącach już są takie wysokie, jakby dwóch gauczos na siebie postawić, no i owoc wielki będzie jak dynia, a smaczny jak ananas! — trajkotała Ika.

I znowu marsz przez dżungłę, ciężki marsz donikąd, przynajmniej dla Jacka. Ta sama ścieżka, te same kroki — czujne dotknięcia żarłocznej ziemi. Cztery pary ludzkich oczu pod obstrzałem dziesiątków zwierzęcych. I cokolwiek by się wiedziało o tym, że duże zwierzęta dopiero nocą wychodzą na łów, że bardzo rzadko atakują ludzi, zawsze jednak pozostaje cień niepewności, czy przestaną eskortować — niewidoczne w mroku zarośli — i odwrócą się z pomrukiem pogardy czy też... Pulchny Jacek poczuł się nieswojo. Na szczęście pomiędzy drzewami zaczęła prześwitywać już słoneczna przestrzeń rdzawych pól.

— Donia Maria, donia Maria, to my! — piszczała z daleka Ika, klaszcząc w ręce.

Dochodzili do typowej kurnej chaty z cegieł adobe. Pod podcieniami suszyły się wąskie paski baraniego mięsa, rozwieszzone na sznurku z cienkiej liany. Tuż obok stała druga chata, trochę mniejsza, pełniąca funkcję kuchni. Wyszła z niej urodziwa Metyska w średnim wieku. Miała bosc nogi i nowy brązowy kapelusz na głowie, kilka barwnych suto marszczonych spódnic i sweter, poszarzały od brudu i starości, po którym spływały dwa cienkie czarne warkoczyki, tak smoliste jak oczy właścicielki osobnej kuchni i trzystu baranów. Powitalnym uściskom i poklepy-



waniom nie było końca. Żywa, wesółła donia Maria zaprosiła na poczęstunek. Wzięła do ręki krótki gruby kij, wydrażony w środku, rozdmuchała żar ukryty w popiele domowego ogniska.

— Nie, jesteśmy właśnie po śniadaniu — wymawiał się Metys, ale by nie urazić gospodyni, zasiadł.

Nie zanosiło się na obżarstwo, albowiem na szorstkich deskach stołu stała tylko jedna duża miska, pełna moraya\*, do której dosiadło się jeszcze niebawem dwóch synów gospodyni.

— Czeka was niebezpieczne polowanie, niedobrze się objadać — uśmiechnęła się donia Maria.

— Donia Maria ma trzysta baranów, ale jest skąpa i głoduje jak inni — szepnęła Jackowi Ika, gdy gospodyni oddaliła się na chwilę.

Weszli do chaty mieszkalnej. Solidne drzwi z nie heblowanych desek kontrastowały ze ścianami z luźno powiązanych gałęzi. Co tu można ukraść, przed kim drzwi zamykać?

— Drzwi zamyka się na noc, bo kuny się zakradają i buszują w spiżarni — wyjaśniła Ika, odgadując pytające spojrzenie Jacka.

Izba miała charakter spiżarni, kapliczki i sypialni. Pod ścianami stały worki kawowego ziarna, na półeczce święty obraz i dwie świece. W kącie stało łóżko.

— O, to świadectwo zamożności — stwierdził Jacek. — Ja tam wolę jednak spać na owczych skórach, tak jak wszyscy — dodał.

Nagle nad głowami coś zaszeleściło. Jackowi na głowę

---

\* moraya (hiszp.) — suszone ziemniaki.

spadła... kura, gdacząc z przerażeniem. Otrząsnął się i spojrział w górę. Zamiast sufitu był tam stryszek z cienkich żerdzi, na których leżakowała kukurydza. Wypluwając chmurkę pierza, usiadł ciężko. Donia Maria tymczasem wniosła miskę z parującymi unkuczami\*. Brzęczały muchy i tylko od czasu do czasu padło uprzejme słowo. Kiedy zjedzono ostatniego unkucza, Metys powstał.

Po chwili szli już ścieżką w kierunku rzeki. Najpierw Metys, za nim dwóch synów donii Marii, Ika, Jacek, a na końcu Indianka o czujnym spojrzeniu. Od przystani dla łódek niósł się miarowy plusk kijanek. Praczkę w kolorowych pasiakach i białych kapeluszach krzątały się monotonnie. W wartkiej wodzie odbijały się jak w tętniącym lustrze ich płaskie, szerokie policzki, skośne oczy i rozpląszczone nosy. Najpierw moczyły bieliznę (co trwało bardzo krótko), a następnie wyklepywały ją kijankami na gładkim kamieniu. Zamiast mydła używały agawy. Więcej plotkowały, niż prały, bo też i do prania nie było za wiele. Małe Indianiątko baraszkowały między rekami matek, zręcznie umykając płaśnięciom kijanek.

Od przystani uszli w dół rzeki kilkaset metrów. Zajrzeli do jednej z kilku nędznych chat, przycupniętej nad brzegiem, skąd dochodziło żalodne zawodzenie. Siedzący tuż za niskimi kwadratowymi drzwiami Indianin dał znak ręką, by nie przeszkadzać. Zatrzymali się w progu. W głębi siedział w kucki strojny curandero\*\* i pochylony nad chorym dzieckiem wymachiwał uwiązaną na cienkiej lia-

---

\* unkucze (ind.) — dzikie bulwy o smaku ziemniaków.

\*\* curandero (hiszp.) — znachor, czarownik.

nie blaszaną puszką, z której buchał gęsty dym o zapachu ziół.

Pod ścianą z kamienia i mułu stał drewniany krucyfiks, rzeźbiony przed wiekami. Płomyki oświetlających go świec pelgały w rzeźbieniach, pomalowanych na niebiesko, bialo i czerwono. Wokół niego leżały zioła i owoce, szeleściły zeschnięte płatki kwiatów, podeptanych w czasie kościelnej procesji. Garść tajemnego proszku i liść koki dopełniały stertę ofiar złożonych w intencji wyzdrowienia dziecka. Bezbronne ciało dziewczynki tkwiło w brudnym żłobie legowiska, dławiąc się kłębamii wonnego dymu. Bezradnym wzrokiem wpatrywała się w matkę, która klęczała przed krucyfiksem, na przemian to żegnając się, to mamrocząc w sufit jakieś pogańskie modły do potężnego Inti. Curandero nie próżnował, monotonnie kołyszając blaszanką.

Jacek nie mógł już patrzeć na to wszystko. Zajrzał do sąsiedniej izby: buchnęła w nos chmara much, warknął leniwie pies, koza ze spętanymi kopytkami poruszyła się w kącie. Na środku bawiły się z kurami dwie małe dziewczynki w starych filcowych kapeluszach, zrosniętych z kruczymi włosami, zlepionymi brudem.

Jacek nie mógł doczekać się chwili, gdy wreszcie dojdą do tego zakola rzeki, gdzie wyznaczono miejsce polowania. Z tej chaty dołączyło do nich dwóch młodych Indian. Wyruszyli. Metys odwrócił się i przeliczył wzrokiem: pięciu sprawnych mężczyzn, mały gringo\*, Ika i cynaany. Czy dadzą radę dużemu kajmanowi? Może się uda...

Doszli. Pod kierownictwem Metysa przygotowano trzy długie łodzie. Zostały one powiązane tak, że tworzyły coś w

---

\* gringo — pogardliwa nazwa białego człowieka, żółtodziób.

rodzaju pomostu, po którym można było dostać się daleko od brzegu. Do końca kija przywiązali przynętę ze zgniłych ryb i przewiesili ją przez burtę. Do jednego z siedzeń umocowano grubą linę z pętlą na końcu. Pułapka prezentowała się obiecująco: w szczelinię między dwiema łodziami lekko kołysała się solidna pętla, a za nią wiązka nadgniłych piranii. Jacek wyduł usta w grymasie rozczarowania.

— Czy nie za słabe te kombinacje? — zafrasował się, zawiedziony nieco.

Wyobrażał sobie pościgi szybkimi barkasami\*, świst stalowych harpunów, a tu — jakieś mizerne pętelki z niby grubych sznurków.

Czuwanie dłużyło się. Mijały godziny, powietrze gęstniało od smrodu zgniłych piranii, ale w oświetlonej ziarną poświatą księżycą rzecznej toni nie pojawiała się nic, nawet zwykła kłoda dryfującego drewna. Jedynie moskity bzykały zajadle.

— Chodź, Jaszek, łykniemy trochę świeżego powietrza... — szepnęła Ika i wzięła go pod rękę.

Odeszli kilkadziesiąt metrów, oczyszczając płuca z rybiego zaduchu. Za nimi krok w krok sunęła bezszelestnie Indianka.

— Patrz, wyglądają jak wygięte grzbiety delfinów! — pokazała palcem na czerniejący w oddali łańcuch gór.

Na jasnozielonym tle nieba snuły się bladorożowe pasma obłoków, jak kłaczki świątecznej waty. W długiej sprężystej trawie dźwięcznie grały katarynki, obsługiwane przez roje wytrwałych świerszczy. Wtórowały im chóralnym kum-

---

\* barkas — łódź rybacka.



kaniem wielkie żaby gdzieś daleko w nadrzecznych trzcinach.

— Jaszek, popatrz, wielki Inti zasypia! — szepnęła z podziwem.

Słońce wolno osuwało się za widnokrąg. Zieleń nieba szarzała w popielatość coraz ciemniejszą. Niebo ściemniało zupełnie. Nie na długo jednak, bo wkrótce rozjarzyło się olbrzymimi gwiazdami. Błyszczały tak blisko, że tylko ręką sięgnąć...

— Jaszek, daj mi gwiazdkę z nieba! — wdzięczyła się Ika.

Jacek wyciągnął rękę tak gwałtownie, że obkręcił się na jednej nodze i... rozległo się ciche plaśnięcie. Ika jęknęła i złapała się za policzek. Gorliwość pucolowatego dżentelmena przyniosła nieoczekiwane efekty: ona obolała, on spłoniony jak róża o zachodzie słońca.

— Fe, fajtlapa! — jęknęła ponownie, gdy Jacek w geście przeproszenia ucałował ją niezgrabnie w piekący policzek.

Zawróciła nadąsana. Nagle coś załopotало pod jej nogami. To zerwała się para sówek króliczych. Odleciały ze dwadzieścia metrów i siadły.

Kiedy wrócili do krokodylego obozowiska, myśliwi w dalszym ciągu oczekiwali, wpatrzeni w linę pułapki, przywiązaną do młodego drzewka. Nic się nie działo. Szklane oko księżycy lśniło nieruchomo nad dżunglą.

— Papacito, tam dalej, na błotnistej kępie, leży duży kajman. Widziałam, że dwadzieścia stóp ma, ogromny! — wykrzyczała Ika, łapiąc oddech jak ryba na piachu.

— Dwadzieścia? — uśmiechnął się z powątpiewaniem Metys.

— No, może troszkę mniej... — spuściła oczy. — Ale

piętnaście to ma na pewno. Ja go zaraz zwabię, zobaczycie! — krzyknęła i podbiegła kilka kroków z kijem w rękę.

Pogrzebała w piasku. W półmetrowym dołku znalazła stertę krokodylich jaj. Podniosła dwa i zaczęła pocierać jedno o drugie. Szurgotała nimi przez kilka minut, ale pani kajmanowa nie pojawiła się w nurcie rzeki, by zgodnie z peruwiańską legendą bronić swoich jaj. Minęła kolejna godzina. Nagle...

— Sza! — szepnął Metys.

Linka naprężyła się. Zaświecił latarką: lina drgała i zanurzała się w nerwowym rytmie. Jest! W dole zakotłowało się przeraźliwym hałasem. Łomot, plusk wody i parskanie, a potem — cisza. Jacek wyjrzał ciekawie, gdy snop latarki ponownie oświetlił pole bitwy. Stanowiące boki pułapki ciężkie łodzie zostały rozepchnięte jak dziecinne łódeczki, a między nimi tkwił nieruchomo w grubej pętli potężny pień drzewa, długi na jakieś pięć metrów, może nawet dłuższy.

— Czy to na pewno kajman? — szepnął Jacek, ale natychmiast ugryzł się w język, bo właśnie w tej chwili w wąską przestrzeń między dwiema łodziami uderzył silny strumień światła latarki i ów pień zadrgał nagle, wygiął się w kabłąk i kłapnął gwałtownie wielką tępą paszczą, naszpikowaną rzędami ostrych kłów jak dwie olbrzymie brony. Trzask zębów zabrzmiał złowieszczo. Młócił potężnym ogonem na wszystkie strony, raz po raz uderzając głucho o burty rozkołysanych łodzi. Gad tarzał się w wirze wodnej piany, otwierał i zamykał kolczastą paszczę. Topiel kipiała jak wulkaniczna lawa, lina pobrzękiwała i wibrowała niebezpiecznie. Drzewko trzeszczało złowieszczo, Jacek dotknął pnia i wyczuł, jak pulsuje w rytmie krokodylej

szamotaniny. Jeszcze trochę i może się złamać! Postanowił „zadziałać” na własną rękę: zrobił krok do przodu, wychylił poza urwisko, schwycił oburącz linę i z całej siły pociągnął do siebie. Co chciał osiągnąć? Zmniejszyć napięcie trzęszącej liny? Nastraszyć kajmana?

— Zglupiałeś, Jaszek?! — pisała Ika, ze strachu żegnając się zamasyście.

Nim zdążyła odciągnąć go na bok, krokodyl — czując szarpnięcie — zaczął znowu „wariować”. Napięta lina wyprężyła się gwałtownie — Jacka rzuciło do przodu. Wpił się palcami stóp w skraj wysokiej skarpy i... zawisł pod kątem czterdziestu pięciu stopni nad urwiskiem, trzy metry ponad rozwścieczoną bestią, kłapiącą straszliwymi zębiskami.

— Ratunku! On mnie zabije ogonem lub poźre! Ratunku! — rzął Jacek.

Metys błyskawicznie złapał za linę i wyciągnął go na brzeg, położył na ziemi. Jacek dyszał ciężko, bladezielony jak niedojrzała papierówka. Krokodyl ucichł, gdy puszczo no linę.

Kiedy Jacek doszedł do siebie, olbrzymi gad miał już zacisniętą jedną pętlę na paszczy, drugą na karku, a trzecia krępowała mu grubą nasadę ogona. Łowcy wiązali właśnie krótkie grube nogi. Przyszło im to z łatwością, bo kajman, pozbawiony siły potężnego ogona, był już prawie bezwładny. Jeszcze tylko przywiązać gada do długiej deski, wsuniętej pod brzuch i koniec polowania. Jak teraz wytaszczyć takiego olbrzyma na stromy brzeg? Pięciu silnych mężczyzn przewracało się po śliskim błotnistym brzegu przeszło godzinę, zanim obrzydliwie brzydki potwór został wyciąg-

nięty. Rzecz jasna, nie obyło się bez pomocy Iki, Indianki, no i przede wszystkim — dzielnego Lolka Balonowy, zarabiającego w ten sposób punkty do kolejnej legendy, którą miał zamiar zapisać w uroczystej księdze Kosynierów. O ile oczywiście uda mu się wydostać z dżungli, w co nie wątpił, choć dni mijały, a dotychczasowe pomysły nie przynosiły rezultatów. Samolot nie nadlatywał, a w powietrzu brzęczały tylko roje moskitów...

— No i po co było się z nim tak męczyć? Nie lepiej od razu harpunem w łeb i po krzyku?! — dziarsko zapytał Jacek.

— Nie, ninio! — wychrypiał zmęczony Metys. — Ten kawaler ma trafić do ogrodu zoologicznego zdrów i cały, comprende?

— „Kawaler” prezentował się imponująco — ponad pięć metrów długości, głowa szeroka jak tułów dorosłego mężczyzny, zaś pokryty łuskami ogon lśnił niczym pień drzewa. Na karku i grzbiecie ogromne guzy i wypukłości tworzyły niesamowitą rzeźbę, a wzdłuż ogona rósł ostry grzebień, złożony z trójkątnych zębów wielkości męskiej dłoni. Popielaty grzbiet, pokryty zielonymi plamami rzeczno szlamu, kontrastował z jaskrawożółtym brzuchem. Największe zaś wrażenie robiły oczy tej wspaniałej bestii, błyszczące w nieruchomych powiekach: wielkie jak orzechy, czarne, pokryte labiryntem złocistych deseni.

— Będzie z niego pożytek w zoo! — powiedział Jacek z taką dumą, jakby to on był głównym autorem sukcesu. W końcu przyłożył rękę do tej całej historii, no nie?

Zdobycz została skrupowana dodatkowo i miała oczekiwać tu do rana na odpowiedni środek transportu. Ika



poszeptala coś z ojcem i kuzynami. Metys niechętnie kręcił głową, ale jeden z Indian otwartą dłonią chciał wyrazić gest: „nie ma sprawy, drobnostka!”

Wkrótce młody Indianin wypłynął na środek rzeki w czólnie, w którym oprócz niego tkwił Jacek, kurczowo przytulony do Iki. Myśliwy umocowaną na czole lampką oświetlał brzegi i powierzchnię wody. Siedział na dziobie łódki, lawirując między pniami powalonych drzew. Raz po raz rozlegało się jego dzikie nawoływanie:

— Auloaaa! Auloaaa!

Bił się przy tym mocno w piersi, aż dudniło. Gdzieś z głębi mokradeł usłyszeli odpowiedź.

— To głos wydawany przez kajmany w czasie rui. Może i tym razem któryś się zanęci — wyjaśniła poważnie Ika.

Podpłynęli jeszcze kawałek. Nagle w świetle lampki rozbłysnęły czerwone punkciki.

— To oczy kajmana — szepnęła Ika, przytulając do siebie Jacka tak mocno, że czuł na sobie wszystkie wypukłości jej giętkiego dziewczynskiego ciała. Poczul się nieswojo.

Czerwone punkciki zatrzymały się w jednym miejscu. Krokodyl wpatrywał się jak zahipnotyzowany w światło lampki. Wykorzystał to Indianin. Szybki ruch ramienia i stalowy harpun utkwil w ciele gada. Rzut drugim harpunem i woda zabarwiła się wokół na brunatny kolor. Wkrótce krokodyl znieruchomiał brzuchem do góry jak jaskrawożółty pień. Nie był tak wielki jak kawaler dla zoo, ot, jakieś dwa metry. Zaraz na brzegu Indianie wprawnie obdarli go ze skóry, resztę pozostawiając sępom.

Wracali do chaty. Ropuchy kumkały grubo i chrapliwie,

dyskutując po swojemu z małutkimi żabkami, wydającymi dźwięki czyste jak dzwoneczki.

— Krokodyli nie powinno się zabijać. One nigdy nie były wrogami człowieka. One są takie porządne jak urubu, żywią się padliną albo gorszymi gatunkami ryb, oczyszczają wody — odezwał się Metys, gdy dotarli wreszcie do chaty, zmęczeni i głodni.

Indianka szybko przyrządziła spóźniony podwieczorek. Smakowało Jackowi znakomicie. Może dlatego, że przeżył jeszcze jeden dzień i dotarł szczęśliwie do swojego barłogu. Że żyje...

— A swoją drogą, jak oni potrafili złapać takiego olbrzyma w pętelkę ze sznura, czy to możliwe? A jednak nie ma rzeczy niemożliwych, wszystko jest możliwe. Nawet moja ucieczka, nawet... — mruknął już prawie przez sen.

*Czar kobiety,  
czyli robotki ręczne*

Metys zamachnął się gwałtownie. Błysnęło ostrze maczety. Cios był skuteczny. Z szerokiego nacięcia na jasnoszarej, jedwabisto gładkiej korze wypłynął gęsty sok podobny do koziego mleka i powoli spływał do tykwy, umocowanej na pniu drzewa hheva\*. Ika wzięła w dwa palce ten lepki kłajster; dał się wyciągać w długie nitki jak guma do żucia, wyssana doszczętnie w ustach! Jacek ziewnął. Wstali dziś bardzo wcześnie. Dżungla dopiero budziła się do życia.

— Uważaj, śpiochu, bo połkniesz papugę i zostaniesz brzuchomówcą na całe życie! — zaterkotał dźwięczny dziewczęcy głos. — Zbieracz kauczuku nie może się wylegiwać. Trzeba rozpoczynać pracę skoro świt, zanim wielki Inti się rozgrzeje na dobre. Od jego żaru mogą za szybko wyschnąć cahu-chu\*\* i zakleić nacięcia na korze. A wtedy białe strumyki przestaną płynąć, *comprende?* — dodała tonem wyższości.

Jacek kiwnął głową bez przekonania, bo zastanawiał się właśnie nad problemem, czy to mleczko jest jadalne. Wyglądało dosyć apetycznie, jak odżywcza mieszanka słodkiego syropu ze skondensowanym mlekiem. Metys

---

\* hheva (ind.) — drzewo kauczukowe, podobne do naszego jesionu.

\*\* cahu-chu (ind., czyt.: kał-czu) — tzy drzewa, czyli kauczuk, biała ciecz podobna do mleka.

tymczasem chodził od drzewa do drzewa i zlewał sok ze zbiorniczków do wiadra. Spieszył się, bo parność powietrza i nerwowe pokrzykiwania ptaków zapowiadały deszcz, a wystarczyłaby jedna kropla wody, by rozwodnić wiadro rzadkiego lateksu i zmarnować całą robotę. Zaniósł wiadro do szałasu i po chwili pod daszkiem krytym liśćmi zapłonęło ognisko. Ika wyjęła z kieszeni garść orzeszków urucuri\*.

— Daj orzeszka! — łakomie zawołał Jacek, ale Ika potrząsnęła głową przecząco, pokazała mu figę i... wrzuciła orzeszki do ogniska.

Buchnął szary dym. Metys zanurzył kłęb surowego kauczuku w wiadrze i obracał nad ogniem. Czynność tę powtarzał wiele razy, aż żółtawa masa stwardniała w czarną od dymu maczugę.

— Proste! Naciąć tylko i forsa płynie sama do wiadra — mruknął Jacek.

— Tak, proste! Popatrz na tamto drzewo, o! — wskazała ręką potężny pień, z którego sterczały kikuty uschniętych konarów. — Nacinano je zbyt często i dlatego uschło. Naciąć łatwo, ale kora w skaleczonym miejscu odrasta aż sześć lat! — syknęła.

— Pograjcie sobie trochę, no! — Metys rzucił w ich kierunku czarną podskakującą kulę.

— To chyba lipa z tymi indiańskimi butami z kauczuku, co? — Jacek zaatakował Ikę, podrzucając wysoko sprężystą pileczkę.

— Lipa to ty jesteś! Lipa, a nie mężczyzna, mój drogi! —

---

\* urucuri (ind.) — palma, której orzeszkami podsycą się ognisko, a wydzielany wówczas szary dym wpływa na krzepnięcie mleczka kauczukowego.



wypaliła bez namysłu. — Moi przodkowie wyrabiali z łez płaczącego drzewa nie tylko buty, ale i butelki na wodę, a nawet nieprzemakalne płaszcze. Popatrz! — wyrzuciła z siebie zapalczywie i zanim ojciec zdążył ją powstrzymać, wsadziła nogę do wiadra z lateksem, a potem umieściła ją nad ogniskiem, wsparta na Jacku.

Swąd przypalanej gumy zaskwierczał rozpaczliwie. Ika zacisnęła zęby.

— Wariatka! Przecież to boli! — krzyknął Jacek.

— Kto kocha, ten musi pocierpieć — syknęła, śmiechem-żartem niby, ale z takim błyskiem w oczach, że Jackowi zrobiło się nieswojo.

Patrzył tylko w bezradnym milczeniu, jak na przypiekanej nodze Iki twardnieje kalosz o bardzo (ale to bardzo!) dopasowanym rozmiarze...

— I pomyśleć, że gdyby ten szkocki weterynarz\* nie wymyślił opony, to tutejsi tubylcy mieliby święty spokój do dzisiejszego dnia — westchnął. — A tak, to zaczęły się dziać rzeczy straszne. Czy tubylcy nie mogli się przeciwstawić tym watahom białych awanturników, którzy zaczęli zmuszać ich do pracy ponad siły przy zbieraniu kauczuku? Czy potomkowie Inków byli tchórzami? — wypowiedział ostatnią myśl na tyle głośno, że Ika aż podskoczyła do góry.

— Jaszek, oni się nie spodziewali, że biali ludzie okażą się tak podstępni i okrutni, nie znali ich wcześniej. Biali byli dla nich bogami, uzbrojonymi w pioruny strzelb. Kazali

---

\* John Dunlop (1840-1921) — brytyjski wynalazca, z zawodu weterynarz; w 1887 r. wynalazł oponę pneumatyczną, a następnie założył spółkę produkującą opony na skalę przemysłową.

pracować za darmo i karali surowo. Jeśli zbieracz nie przyniósł po raz pierwszy swojej normy lateksu, bili go. Za drugim razem obcinali ucho, za trzecim drugie ucho, a po raz czwarty — kara śmierci! Czy wiesz, Jaszek, ilu Indian zginęło z żółtej febry, głodu i tortur?

Jacek milczał. Miał już dosyć beznadziejnej nędzy tego tragicznego narodu. Tym bardziej, że w tym wszystkim brzęczała mu natrętnie polska nuta i powracała jak bumerang, ilekroć próbował ją odpędzić od siebie.

— Aż wreszcie wielki Inti pokarał złych białych ludzi — westchnęła. — Przechytrzył ich inny biały człowiek, skromny łowca motyli. Ukrył w skórze wypchanego kajmana sadzonki hheva i udało mu się wywieźć je (choć było to zabronione) do Europy, a tam...

— Tak, wiem... — przerwał zniecierpliwiony Jacek. — Anglicy wyhodowali z tych sadzonek ogromne plantacje drzew kuczukowych w swoich koloniach na Malajach i Filipinach, a potem zaczęli sprzedawać kuczuk taniej niż ten amerykański. Nad Amazonią zapanowała żaloba i bankructwo. A jeszcze później wynaleziono kuczuk sztuczny, no i to była ostateczna klęska amazońskich bogaczy. Nie rozumiem tylko, dlaczego twój ojciec tak się męczy. Czyżby ktoś jeszcze skupował łzy płaczącego drzewa? — ziewnęła.

— Tak, Jaszek. Jemu za to płacą. Żeby nie on, to wy tam, w tej waszej Europie, nie mielibyście gumy z kaczołem Donaldem. Co za świństwo, ja bym nie mogła tego w ustach trzymać — mruknęła.

— Coś ty? Wolę żuć donaldówę niż tę waszą obrzydliwą kuka\*, toż to trucizna! — odciął się Jacek.

— Ej, Jaszek, Jaszek. To nie trucizna, to zdrowie. Wszystkie nasze lekarstwa curranderos robią z koki! — odpowiedziała.

Jackowi przed oczyma stanął obraz zapamiętany z miasteczka. Żebrak w porwanym ponczo wyciąga z koszyka jakieś żółtawe listki i pakuje do bezzębnej pomarszczonej gęby. Żuje uparcie, młaska z zadowoleniem i gładzi się po brzuchu. Podaje Jackowi garść suszonych listków, namawia do spróbowania. Jacek próbuje. Cienkie płatki mają gorzkawy smak, ale orzeźwiają i tłumią głód, oszałamiają. Więc to są te cudowne liście życia... Liście, które pozwalają tubylcom przetrwać w rozrzedzonym powietrzu, na wysokości na przykład trzech tysięcy metrów, w upalnym słońcu bądź na mrozie. Liście koka do złudzenia przypominają liście laurowe. Na czyją chwałę wyrosły? Tam trzeba mało jeść i pić herbatę z liści koka. Jacek przeżuwa i czuje, jak drętwią mu usta, jak traci apetyt. Nagle świat faluje mu przed oczyma, widzi dziwaczne obrazy o fantastycznie wykrzywionych kształtach. Stragany stają na głowie, a pękate worki suchych zielonkawożółtych liści wirują w powietrzu! Pękate Indianki trzymają po dwie swoje głowy w kolorowych zapaskach, a na szyi kiwają się potrójne pary oczu i uszu pośród pasm chybotliwej tęczy...

— Tak, tak, lekarstwo! — ocknął się. — Chorym na raka też podaje się narkotyki, by mniej cierpieć. Garść koki i garść prażonej kukurydzy, garść koki i garść kukurydzy — jakie to proste lekarstwo... Lekarstwo?

---

\* kuka (ind.) — regionalna (pogardliwa) nazwa liści koka.

Kiedy wrócili do chaty, Jacek poczuł się źle. Miał dreszcze, nie mógł opanować drżenia rąk, zaczął mówić do siebie:

— Przecież wiesz, że nie możesz w dżungli mieć tego wszystkiego, co miałeś w domu. Żarówka, baterie, ciepła woda, papier toaletowy. Musisz żyć inaczej, musisz, żeby przetrwać. Wybije magiczna godzina ocałenia, wybije tak nieoczekiwanie jak godzina tropikalnego zachodu słońca...

— Jaszek kochany, co ci, głodny jesteś? — zaniepokoiła się Ika nie na żarty, sięgając od razu do sedna zagadnienia.

Postawiła przed nim miskę parującej mamalygi o nijakim wyglądzie i jeszcze gorszym smaku. Pokręcił z obrzydzeniem głową. Ika nie dawała za wygraną. Przysunęła się bliżej i zaczęła karmić go jak dziecko.

— No, jedną łyżkę za mnie, drugą za ciebie... I raz, i dwa, i trzy, i cztery, no i pięć. Aabiczi, raby, keemisza, raby rabybo, haty. Uważaj, zaczynamy naukę liczenia. Aabiczi, czyli raz; raby, czyli dwa; keemisza — trzy, no, przelknij szybko, bo będziemy musieli liczyć od początku, no, było raz, dwa, trzy, a teraz uważaj, raby rabybo, czyli cztery, no i haty — pięć, ślicznie! — pochwaliła.

— Ja... ja... już nie mogę. Ja już jestem zdrowy! — wykrztusił desperacko z pełnymi ustami.

Ręce Iki zastygły w bezruchu.

— Tak? No to do roboty, bo się rozchorujesz z nudów! Człowiek zdrowy powinien pracować albo liczyć barany do stu w języku szypibo. Liczyć umiesz na razie tylko do pięciu, a więc... — to mówiąc zniknęła w mroku graciarni, która czasami bywała kuchnią, czasami spiżarnią i składem wszelkich rupieci.



Wróciła po chwili z naręczem wiotkich pasemek loziny i włókna toquilla.

— A teraz patrz i ucz się, bo będziesz musiał robić to samo co ja! — rozkazała tonem nie znoszącym sprzeciwu.

Palce jej niczym po strunach harfy sprytnie przebierały w gęstwinie czarnych i białych ździebełek. Zanim Jacek zdążył się zdrzemnąć, Ika wyplotła tacę ozdobioną motywem ludzkiej postaci z małpą na ramieniu i słońcem nad głową, w obramowaniu z krzyżyków, rombów i kropek, tworzących wąski szlaczek. Jeszcze nie ochłonął z podziwu, a już trzymał w rękach włókniste pasemka i próbował wyczarować z nich coś równie pięknego. Dziarsko wyłamywał palce na wszystkie strony, a potem nawet Ika mu je wyginała we właściwych kierunkach, ale koszyczka jak nie było, tak nie było. Prędzej można by chyba nauczyć słonia śpiewać serenady, niż zmusić Jackowe paluchy do dyscypliny artystycznej!

— Łatwiej ci przychodzi pleść głupoty niż koszyczki z włókna toquilla! — podsumowała Ika jego wysiłki i machnęła ręką w geście rezygnacji.

Jacek uniósł się ambicją.

— To ja ci pomogę rzeźbić tykwy, zobaczysz! — krzyknął zapalczywie.

— Dobrze, ale musisz pamiętać, że tykwa to naczynie na wodę, a nie sito, comprende? — uśmiechnęła się z politowaniem i filuternie zmrużyła jedno oko.

— Ma się rozumieć, ma się rozumieć! — odparł Lolek Balonowa i poczuł, że zdrówko wraca, a Ika... — Ech, te kobiety!

*Nie wszystko złoto, co się świeci,  
czyli wyprawa do jaskini wampirów*

— Co, strach cię obleciał, Jaszek? Nie martw się, kiedy idzie przez dżungłę gringo, węże uciekają! — pokpiwała Ika, podszczypując Jacka, nie tylko słowem...

— Daj mi spokój, Ika — wziął go w obronę Metys. — Nie zasłużył na to. Przecież nauczył się już sporo tego, co nasze. On nie jest już gringo! Lepiej przygotuj coś do jedzenia, bo czeka nas daleka droga, ot, co! — huknął.

Jakoż i wkrótce wyruszyli. Jacek szedł krok w krok za Ika, ostrożnie stawiając stopy, by nie nadepnąć na twardą i zaostrzoną drzazgę palmową, jakich wiele nabijała w leśną ścieżkę niewidzialna ręka.

— To pułapki na grubego zwierza. Kolec taki jest zatruty kurarą, a przebija nawet podeszwę buta — wyjaśniła Ika. — A to drzewo nazywa się supay-chacra, czyli gospodarstwo diabła! — wskazała na prawo, gdzie na niewielkim podwórku, wokół pnia owego diabelskiego drzewa, piętrzył się stos trupich czaszek...

Jacek zdrętwiał ze strachu i stanął.

— Każde stworzenie przechodzące pod tym drzewem ginie i powiększa stos szkieletów obgryzanych przez mrówki, tak mówi legenda — szepnęła Ika z przejęciem.

Metys uśmiechnął się ironicznie i kilkoma susami dopadł supay-chacra. Wziął do ręki jedną z czaszek i... rzucił w Ika. Krzyknęła z przerażenia.

— Nie słuchaj tej pleciugi, a obejrzyj dokładnie czaszkę! — zaśmiał się Metys.

Jacek opanował strach i też parsknął śmiechem. „Trupia czaszka” była starym owocem, wypłukanym do białości przez deszcz!

Szli i szli, aż wyszli na równinę, pokrytą złocistą trawą, która pod nogami uginała się sprężysto i skrzypiała sucho jak trociny. Kępy żółtych i szkarłatnych kwiatów kłuły w oczy swą jaskrawością. Równina ciągnęła się jak złocisty dywan, niknący gdzieś tam daleko w ciemnoniebieskiej linii horyzontu. Nastąpiła pora wieczorna, a celu wyprawy jeszcze nie było widać. Ika zniknęła gdzieś i po chwili wróciła z czymś niesamowitym; w słoiku miała jakieś świecące owady niczym ruchliwe żarówekzki. Załedwie cztery, ale bił od nich tak silny blask, że można by z ich pomocą urządzać niewielką czytelną czasopism. Dziewczyna promieniała z dumy.

— Es mujo util, tu ves? Będą nam przyświecać zamiast ogniska. Ogniska lepiej nie rozpalać, bo ogień zwabi wampiry! — szepnęła z przejęciem, ale Metys nie zważał na ostrzeżenia.

Obawa przed moskitami była silniejsza. Wkrótce zapłonął ogień, skutecznie powstrzymując chmury wściekle brzęczących komarów. Ułożyli się do snu wokół ogniska, na podściółce z suchych traw, wzdłuż skalnych ścian, między którymi założyli obozowisko.

— Po co nam te wstrętne siatki? Będę się czuł pod nimi jak mucha w pajęczynie! — skrzywił się Jacek, obserwując, jak Metys rozstawia nad legowiskiem brudną moskitierę.

---

\* Es mujo util, tu ves? (hiszp.) — To bardzo pożyteczne, wiesz?

Posłusznie ułożył się jednak na wskazanym miejscu, spojrzął do góry i... zmartwiał. Na skalnej ścianie wisiało setki stłoczonych małych nietoperzy, cichych i sennych zwierzątek. Zygzakowatym lotem przybywały następne, by przyczepić się do muru i zawisnąć głową w dół.

— Sympatyczne zwierzątka, nie ma co! — jęknęła Ika. — Obudzą się w środku nocy i przyssie się do ciebie taki jeden, i wychłpcze z ciebie szklankę krwi, i... — zakrztusiła się z wrażenia.

— Nie strasz go, powiedziałem! — huknął Metys. — Przecież założyłem siatkę, nic nam nie zrobią! — splunął gniewnie.

Więc jednak to prawda... — pomyślał Jacek. Czytał wprawdzie o nietoperzach-wampirach, ale uważał je za wymysł podróźniczej fantazji.

— Gdzieżby jakiś tam głupi nietoperz potrafił wyczuć, kiedy człowiek na tyle zasnął, że ma już oddech zupełnie spokojny i regularny! Gdzieżby potrafił wtedy zsunąć się ze ściany i zawisnąć tuż nad jego nogami, ruchem skrzydeł dostosowując się do rytmu oddechu! Gdzieżby potrafił trwać tak w powietrzu długą chwilę, a potem schylić głowę i jednym ciosem zęba przegryźć delikatną skórę koło wielkiego palca, by pić krew, nieustannie poruszając skrzydłami! Gdzieżby ofiara tak długo trwała w uśpieniu tylko dlatego, że wampir nieustannie porusza skrzydłami! — mrucał pod nosem.

— A jednak to wszystko prawda! One przecież czepiają się nawet grzbietu muła lub konia, a jeśli zaatakują kozę, to dla niej pewna śmierć! — odparła urażona Ika.

— Całe szczęście, że jestem większy od kozy... — mruknął Jacek, prawie przez sen.



Zdążył jeszcze zauważyć, jak siatka nad głową ugina się pod ciężarem szarych popiskujących zwierzątek. Nagle rozległ się chrobot, jedno z nich przegryzło siatkę i pacnęło Jackowi wprost na piersi. Znalazł się oko w oko z olbrzymim krwiożerczym nietoperzem! Błysnęły ostre zęby. Chciał krzyknąć, ale ze strachu stracił głos, zaparło mu dech w piersi. Szary potwór lał po nim w kierunku rumianej twarzy. Jeszcze chwila i... Obudził się zlany potem. Serce trzepotało jak oszalałe. Wokół spokój, wszyscy śpią.

— Och, jak dobrze, że to tylko sen... — odetchnął Jacek.

Nazajutrz rano ruszyli w dalszą drogę. Szli znowu dosyć długo, aż dotarli do głębokiego parowu między skałami. Na końcu parowu ciemniało wejście do wielkiej pieczary. Weszli do środka. W jaskini zakotłowało się. Uderzyła w nich fala przeraźliwego krzyku.

— Wampiry! — wrzasnął Jacek przerażony.

— Nie, to tylko guacharo\*... — uspokoiła go Ika.

Jacek miał wrażenie, jakby tysiące wron zakrakało jednocześnie do czułych mikrofonów, a potężne wzmacniacze roznosiły to diabelskie echo po niezliczonych zakrętach skalnej jaskini. Setki ptaków — ni to sępów, ni to ślepowronów — miotało się rozpaczliwie w ponurych ciemnościach, rozświetlanych tylko latarką Metysa i reflektorem Iki. Jeden z nich przeleciał tak blisko, że Jacek poczuł na głowie muśnięcie potężnych skrzydeł. Kiedy ptaki oswoiły się z obecnością intruzów, krakanie ucichło. Jacek

---

\* guacharo (ind.) — tłuszczak; nocny ptak jaskiniowy wielkości kury; skóra na brzuchu silnie porośnięta tłuszczem wysokiej jakości (przechowywany w glinianych naczyniach nie jęlczeje przez kilka lat).

usłyszał wtedy, że ptaki wydają z siebie dźwięk przypominający świst bata.

To ultrapiski. Tłuszczaki, podobnie jak nietoperze, mają radarową orientację w ciemnościach, na zasadzie echa, no i nigdy nie błędzą!

Jacek nie wiedział, po co brną w głąb tej ponurej jaskini. Widocznie Metys miał w tym jakiś ukryty cel, a Jacek nie pytał o nic, nauczony doświadczeniem. Szli więc dalej. Nad głowami zwisały przepiękne stalaktyty, a pod nimi chrzęściły jakieś obrzydliwe stwory. Ta grota zdawała się nie mieć końca. Wreszcie zatrzymali się przed gładką ścianą, na której widniało jakieś zagadkowe malowidło.

— To tu! — mruknął Metys i oświetlił ścianę.

Przed zatartym nieco wizerunkiem słońca stały dwie czerwone sylwetki ludzkie, jedna za drugą, w geście niemej ekstazy. Pod nimi widniał na wpół czytelny napis. Ika sylabizowała na głos: „Chcę być pochowany podobnie jak moi przodkowie — w glinianym pucharze. Chcę żyć podobnie jak moi przodkowie — z twarzą zwróconą ku słońcu.” Zapanowało uroczyste milczenie. Oto stanęli oko w oko z jakąś tajemnicą, której znaczenie znalazł tylko, być może, Metys, skoro przyprowadził ich tutaj. A on nic nie mówił, tylko kręcił głową, jakby mu jeszcze czegoś brakowało do rozwikłania zagadki. Omiatał latarką mroczne ściany, przecierał i szukał przysłowiowej kropki nad i. Wreszcie mruknął z zadowoleniem. Za kolejnym zakrętem stały trzy omszałe kamienie, a na każdym z nich jakieś znaki: kółka, kreski, romby i krzyżyki. Indianka pochyliła się i pokiwała głową w geście potwierdzenia.

Metys uśmiechnął się i coś mamrotał pod nosem. Kiedy

wyszli wreszcie na światło dzienne, Jacek odetchnął pełną piersią. Znaleźli się raptem jakby w innym świecie. Barwne stada papug szalały nad głowami, rwąc powietrze w różnych kierunkach. Olbrzymie kolorowe ary o potężnych zakrzywionych w dół dziobach kłóciły się z mniejszymi od nich (ale za to pięknie śpiewającymi!) jarami o krótkich szerokich ogonach. Jary lśniły ochronną zielenią, która pozwalała im chować się przed żarłocznymi jastrzębiami. Dopiero gdy rozprostowały się w locie, widać było od dołu jasnoniebieskie czoła, żółtoniebieskie gardziele i czerwone ugięcia skrzydeł. Jak miniaturowe odpryski papuziego szalenstwa uwijały się małe kolibry, błyskawicznym furkotliwym lotem migając przed oczami niczym barwne lśniące klejnociki, pierzaste szmaragdy i rubiny. Na chwilę zawisały w powietrzu nad rozchylonym kielichem i wsuwały swoje cienkie jak igła dzioby do środka, długimi językami wybierając nektar, a nawet i drobne owady. Kiedy zawisały nad kwiatem, skrzydła ich wibrowały tak szybko jak skrzydełka muchy czy innych owadów.

— Cud natury, jak te barwne kruszyny potrafią młócić powietrze nad kwiatem — zdumiał się Jacek, obserwując zwinne i lekkie kolorowe kuleczki, popiskujące między kwiatami. Ale w jaki sposób zachowują stateczność nad kielichem przy takiej wibracji?! — zapytał na głos.

— Pomagają sobie ruchem ogonka, nie widzisz? — odparła Ika.

Jacek patrzył, patrzył, ale widział tylko wielkie kolorowe furkotanie, nic więcej.

Nad wodą harcowały olbrzymie zimorodki, bociany, ibisy i czajki. Na drzewie siedziały czaple królewskie w

dostojnej bieli, okraszone żółtością dziobów i czernią nóg. Kruczoczarny tukan klekotał pomarańczowym dziobem, przypominającym karykaturalny nochal. Nastroszył bojo-wo pióra i sfrunął z korony drzewa wprost pod nogi Iki! Stała jak wryta. Ptaszysko odchyliło głowę do tyłu i łaps Ikę dziobem za włosy! Metys wybuchnął śmiechem i przegonił psotnika. Ika, naburmuszona, odgrażała się.

— Czekać no, ty szkarado, już ja cię złapię. Masz szczęście, że twoje mięso jest paskudne, fioletowe i w prążki, bo już by cię papacito upolował! — pogroziła pięścią.

Z gęstwiny, gdzieś z wierzchołka drzewa, dobiegło nagle ryczenie krowy, a w chwilę później obrzydliwe chrząkanie świni! Jacek zdrętwiał.

— Krowa i świnia tutaj, w dziewiczej puszczy? W dodatku na drzewie? — dumiał.

Musiał mieć bardzo głupią minę, bo Ika parsknęła śmiechem.

— Coś ty, krowy na drzewie nie widziałeś? Lepiej odejdz spod tego drzewa, bo ci świnia coś brzydkiego może na głowę narobić. No, nie gniewaj się, Jaszek, ja tylko tak żartowałam. Tu nie ma żadnego bydła ani prosiaków. Popatrz na te ptaszki, to ich sprawka. To toropishcu\* i cuchapishcu\*\*! — Ika wskazała Jackowi czarnego ptaka wielkości wrony, tak wiernie naśladowującego krowę. Z czubka głowy zwieszał mu się nad dziobem wspaniałe pęk piór, a z gardła — duża torebka, ozdobiona błyszczącymi

---

\* toropishcu (ind.) — ptak-byk.

\*\* cuchapishcu (ind.) — ptak-świnia.



piórkami. Natomiast ptak-świnia wyglądał bardzo elegancko w niezwykle radosnym pomarańczowym upierzeniu. Mignął w zaroślach kwesał — królewski ptak imperium Inków. To właśnie jego dwa szmaragdowe pióra nosił cesarz za szkarłatną przepaską.

Ej, pewnie mi się tylko zdawało, że go widziałem — pomyślał Jacek, któremu w oczach wirowało już od kolorów i skrzydeł.

Kiedy dochodzili do zaczarowanego ogrodu, rozległ się dźwięk tak smutny, że aż ściskający za serce.

— To ayapishcu\*! Stójcie! Quieren morir? Ustedes van a morir!\*\* To zły ptak, on zwiastuje komuś śmierć! — krzyknęła Ika.

— Naprzód, nie powstrzyma nas jakaś tam szaro-pstra kukułka z czubem na głowie, to tylko ptak! Musimy odkryć tajemnicę zaczarowanego ogrodu według wskazówek Błatego Starca. On nam obiecywał te skarby! — zawołał Metys i odgarnął gęste pstrokate pędy, strzegące wejścia do ogrodu.

Ogromne wspaniałe rośliny żarzyły się czerwienią, tworzyły ognisty baldachim nad malutkim drzewkiem jakiejś miejscowej marzanny, obsypanej białym kwieciem. Błękitne i jaskrawopomarańczowe pnącza oplątały kwitnącymi girlandami pnie rosnących drzew, pyszniąc się jak karnawalowe dekoracje na kolumnach balowej sali. Na skalnych półkach rozpychały się wysokie na dwa metry drobnolistne

---

\* ayapishcu (ind.) — ptak śmierci.

\*\* Quieren morir? Ustedes van a morir! (hiszp.) — Chciecie umrzeć? Poginięcie tam!

paprocie, walczące o miejsce z burzą jaskrawych storczyków, pożerających każdy centymetr wolnej przestrzeni. Te żarłoczne orchidee obsiadły konary karłowatych drzew, owijając się szczelnie nawet wokół pni. Rośliny z barwnych baśni zwisały leniwie, a każda z nich miała po kilka gron wybijających kwiatów w brązowe i białopurpurowe desenie.

— O Boże, ja zwariuję! — jęknął Jacek i przymrużył oczy, klute bezlitośnie tak rozbuchaną jaskrawością barw, o jakiej Europejczyk nie ma bladozielonego pojęcia.

Brnęli dalej przez zbity gąszcz orchidei. Jedna z nich była tak niezwykłego gatunku, że nawet Metys, przywykły do takich widoków, przystanął zaintrygowany. Na wysokiej łodydze, otoczonej wydłużonymi liśćmi, boczne pędy uginały się pod ciężarem, każdy brzemienno w kilkanaście kwiatów. W głębi szerokiej, kremowoczerwonej korony każdego z nich lśniły jasne środki jak bielma przekrwionych oczu. Duszny zapach porażał, dławił tym ciśnień, im głębiej wdzierali się w czeluść zaczarowanego ogrodu. Kobierzec mchu przetykały kępy wrzosowatych szczotek w pełni rozkwitu. Między napastliwie jaskrawymi krzewami zasrebrzyła się nagle nitka potoku, który wypłynął nie wiadomo skąd i nie wiadomo dokąd prowadził.

— Jeszcze trochę, Jaszek, jeszcze trochę wytrzymaj. Po drugiej stronie ogrodu jest wzgórze, a za nim jezioro. W tym jezioro jest skarb Inków. To było dawno, dawno temu. Karawany mułów z całego kraju dźwigały kosze pełne złota na okup za cesarza Atahualpę, uwięzionego przez Hiszpanów. Ale gdy się wieść rozeszła, że cesarza uduszono, to karawany zatrzymano i złoto ukryto w różnych jeziorach. Błady Starzec mówi, że część tego złota jest tam! — Ika pokazała palcem w kierunku marszu.

Jacek aż gwizdnął.

— No, no, a to ci eksponaty na mnie czekają, w sam raz! — przelknął ślinę.

Obnażone zbrocza szurgotały odłamkami kruszejących skał, pomiędzy którymi korzeniły się żyłaste drzewka, powykęcane pod różnymi kątami. Na wykoślawionych niemal poziomo pniach gnieździły się połacie mchów i niskich paproci. Pośród pospolitych kremowoszkarłatnych orchidei znowu pysznił się jakiś arystokrata storczykowatego rodu, o niespotykaniu buraczkowoczerwonych i żółtych kwiatach, osadzonych parami na prostej łodydze.

— Zaczarowana kraina, zaczarowana kraina... — powtarzał co chwila Jacek, oglądając wspaniałe rośliny, które dotychczas widziało zapewne niewiele par ludzkich oczu. Nawet na starych gnijących pniach drzew rozkwitały orchidee, a złociste terebeczki kwiatów kalceolarii płóżyły się na kolorowych dywanach mchów. Błękitne pantofelki i jaskrawoczerwone serduszka przeplatały się, rozrastały i gnily gdzieś tam, gdzie nie dochodzi echo.

— Jaszek, stój! — pisnęła Ika, łapiąc go za rękę.

Zapatrzony w kolorowe kolczaste helmy, nie zauważył, że ziemia nagle urywa się w przepaść. Tuż pod stopami szumiała pionowo spadająca katarakta, niewielki, dziesięciometrowej wysokości wodospad. Skąd tu się wzięła, zamaskowana roślinnym żywiołem? Spojrzał w dół, na dno tej kipieli, gdzie sterczały groźnie skalne bloki, oderwane przez wściekle rwący żywioł oszalalej wody. Im bliżej celu, tym więcej przeszkód musieli pokonywać. Krzewy o ostrych jak brzytwa liściach kaleczyły ręce. Zacinał po twarzy lodowaty deszcz, nakluwając ubranie mokrymi szpilkami. I

oto jest. Czterem parom oczu ukazało się jeziorko jak z bajki, otoczone kępami kwiatów poutykanych w skalnych zagłębieniach. Padli na miękki mech, dysząc ciężko — wyczerpani, przemoczeni i głodni. Mieli dosyć nużącego marszu po gąbczastej ściółce i śliskich skalach, pokrytych mulem i pleśnią.

— Złoto odzywa się zawsze w czasie pełni księżyca, widać w tych miejscach takie niebieskie płomyki! — powiedziała Ika.

— Po co czekać do nocy, popatrzcie! — krzyknął Metys z triumfem.

Poprzez kryształową przejrzystą toń jeziorka iskrzyło się na dnie coś złocistego!

— Skarb! — krzyknęła Ika.

Zapominając o zmęczeniu, rzucili się do wody. Jacek pierwszy zaczerpnął z dna, ile tylko mógł zagarnąć. Podniósł do góry dłonie pełne złocistych blaszek i krzyk szczęścia odbił się echem po okolicznych skalach. Kiedy ochłonęli z pierwszych radości, Metys przyjrzał się dokładnie złocistej zawartości dłoni i... twarz jego wykrzywił grymas.

— Carramba! — zaklął siarczyście i wyrzucił złote blaszki do wody. — Carramba! To mika, tylko mika! W tym nie ma ani drobin złoty! — jęknął.

— Tekacy?\* — zdumiała się Indianka.

— Nie ma! — krzyknął twardo.

Zapanowało kłopotliwe milczenie. Ika pochlipywała ze złości, Jacek ucichł w smutnym, rozczarowanym zmęczeniu, a Indianka jak zwykle milczała, z twarzą znowu kamienną i nieprzeniknioną. Wreszcie przemówił Metys:

\* Tekacy? (ind.) — Nie ma?



— No trudno, nie można załamywać rąk i płakać, stało się. Teraz się nie udało, uda się następnym razem, prawda? — uśmiechnął się ciężko.

Ruszyli w drogę powrotną, by przed zmrokiem dotrzeć do chaty. Humory poprawiły się nieco.

— A wiecie — zaczął Metys. — Pewien mój znajomy, poszukiwacz złota, zmienił specjalność i zajął się hodowlą świń. Tuczył je chiorią\*. Spasły się szybko, a dodatkowo jeszcze miał z nich długą kręconą sierść, która w zimnym klimacie górskim chroniła je przed chłodem. Zarobił na tych swiniach więcej niż na poszukiwaniu złota! — zaśmiał się i położył rękę na sercu, na znak, że to wszystko prawda, szczerą prawdą.

— Może to byłoby i lepsze. Najedlibyśmy się przynajmniej schabowych! — lyknął ślinkę Jacek. Ropuchy skrzeczały w jakimś bajorku, plotkując zawzięcie. — Ech, nasze polskie żabki kumkają jakoś subtelniej — westchnął, wsłuchany z odrazą w brzęki, trzaski, gwizdy i wycia, w niczym nie przypominające pocziwego rechotania.

Zadrzał na samą myśl o możliwości spotkania na swojej drodze żółtych i pomarańczowych przedstawicielek tego gatunku. Nawet Indianie boją się ich, unikając jak ognia. Mają one na grzbiecie tak silny jad, że potarte nim strzały zabijają nie gorzej niż kurara. Raptem pacnęło coś przed nim na ścieżkę, brązowe i krągłe jak nieduży bochenek chleba. Krzyknął! ze strachu. Ogromna ćwierćmetrowa ropucha rozpląszczyła się przed nim i patrzyła złym okiem. Wielka głowa, krótkie grube nogi i brzuchaty korpus

---

\* chioria — bardzo pożywna roślina oleista.

czyniły z niej pokraczną szkaradę. Duże oczy, zdobne srebrno-złotym deseniem, łagodziły ogólną srogość sylwetki. Nad każdym okiem sterczały różki nastroszonej skóry. W rdzawych i szarozielonych plamach wyglądała jak naburmuszony żołnierz w ochronnej panterce. Kłapała wielką paszczą i nadymała się ostrzegawczo.

— Jaszek, uważaj, bo dostaniesz w oko! — pisnęła Ika i zanim zdążył zrozumieć, o co chodzi, jakieś malutkie żabki zaczęły fruwać w powietrzu!

To potomstwo nadętej olbrzymki dojrzało już z jaj noszonych przez nią w fałdach grzbietowej skóry i katapultowało się w samodzielne życie, wyskakując jak pchły z psiej skóry. Mama, zadowolona z pozbycia się potomstwa, skrzeczała monotennie, otwierając obwisłe wargi, jaskrawo-żółte od środka. Jacek już-już chciał wsadzić palec do paszczy, by udowodnić sobie i innym swoje bohaterstwo, ale Ika powstrzymała go.

— Uważaj na te paskudztwa! Ja kiedyś włożyłam kciuk do takiej paszczy, żartami, no i doigrałam się. Tam, gdzie zacisnęły się szczęki, została na palcu czerwona linia. Po godzinie siniec rozlał się pod paznokciem. Poruszać palcami bez bólu mogłam dopiero po trzech dniach, no a siniec to dopiero po miesiącu zniknął!

Kiedy doszli do chaty, Jacek usiadł na kawałku pnia i wsłuchiwał się w odgłosy puszczy. Papużki darły się na wyścigi, zarażone przedwieczorną histerią. Żaby zaczynały szczekać jak psy albo płakać jak dzieci. Trzeszczały świerszcze. Nadchodziła tropikalna noc.

*Pocalunek mrówki,  
czyli jak stać się mężczyzną*

Krzyk dostojnego trompetero\* rozdarł powietrze. Czaple rozjaśniały białymi plamkami zielony sufit dżungli. Czajki jęczały hałaśliwie nad głowami.

Jacek, Ika, Indianka i Metys podążali do indiańskich pobratymców na wielkie plemienne święto. Z daleka już niosły się dudnienia bębnow i jękliwe pieśni. Doszli do obszernej polany. W kierunku tambo\*\* sunął akurat strojny orszak.

— Zaczęło się — mruknęła Ika, gdy dołączyli do pochodu.

Na środku klepiska w tej to świetlicy tkwiła wkopana w ziemię gliniana kadź, o dziwnie znajomym Jackowi zapachu sfermentowanej kukurydzy. Pomarszczona starucha zacerpnęła glinianą czarką i podała do spróbowania kurace. Ten smakował dłuższą chwilę, po czym skinął głową z zadowoleniem. Bębny załomotały uroczyście. Jacek rozdziawił buzię ze zdziwienia: w nosach mężczyzn i kobiet lśniły srebrzyste blaszki, zaś w dolnej wardze sterczały drewniane płytki, inkrustowane ornamentem przypominającym znaki na grzbiecie węża. Na tle szarych kobiet mężczyźni wygła-

---

\* trompetero (hiszp.) — ciemnogrnatowe białe ptaszysko o lśniących skrzydłach.

\*\* tambo (ind.) — duża chata, wiejska świetlica.

dali strojniej — na szyjach mieli opaski z kolorowych paciorków. Coraz więcej tubylców schodziło się do kadzi z parującą cziczą. Jedni mieli na głowach korony z łyka palmowego, przystrojone pękami ptasich piór, inni maszerowali w wieńcach z nasion, a byli i tacy, co paradowali w białych chusteczkach na głowach i z długimi szablami na ramionach. Noszonymi przy boku czarkami na kiju czerpali wciąż i wciąż z ogromnej kadzi. Wkrótce plac zapelniał się tłumem podekscytowanych osobników, podrygujących w kółko i wznoszących dzikie okrzyki ku niebu. Gestykulowali przy tym zawzięcie, na ich rękach pobrzękiwały bransolety z małpich zębów. Grajkowie wyciskali z fujarek jakieś smętne melodie.

— *Wesele* Wyspiańskiego — wymamrotał Jacek ze zdumieniem. — Oto grający chochoł i tłum zahipnotyzowanych weselników...

Papugi miały się nerwowo, zaniepokojone krzykliwym kłębowiskiem na polanie. Bębny głużyły krzyki ludzi i papug. Rytualny korowód okrążał teraz ozdobną bramę, na której stało kilkanaście drewnianych figurek ptaków, żółwi i zwierząt, a nade wszystko ludzi, zastygłych w pełnym ekspresji ruchu. Mężczyźni potrząsali oszczepami i łukami z pękami strzał malowanych sokami roślin i zdobionych piórkami kolibrów i papug. Pokrzykiwali coraz energiczniej, jakby strasząc niewidzialnych wrogów. Ręka kuraki powędrowała do góry i nagle wszystko ucichło.

— Uważaj, zaraz wprowadzą zwierzęta ofiarne! — szepnęła Ika.

Starucha w odświętnej zapasce przyciągnęła do słupa ofiarnego potężnego dzika. Uklękła przed zwierzęciem i



głośno płacząc, przemawiała doń czule na pożegnanie, głaskała litościwie po brudnej sierści. Z drugiej strony placu inna płacząca staruszka wyprowadziła leśnego indyka o lśniących czarnych piórach i czerwonym dziobie. Zwierzęta legły związane u ofiarnego słupa, pośród zawodzenia bambusowych fletów. Staruszki zarzuciły swoim ulubieńcom białą czystą płachtę na oczy, by oszczędzić im widoku tego, co miało się zacząć za chwilę. Kuraka uniósł do góry rękę z łukiem. Wszystko ucichło. Sołtys lyknął potężnie z glinianej miski i wydał bojowy okrzyk. Wojownicy napięli luki i ruszyli ławą na zakryte białym całunem zwierzęta. Indyk wściekle młócił zakrzywionym dziobem, usiłując się uwolnić. Kuraka pierwszy szarpnął cięciwę łuku. Trafiony strzałą leśny indyk podskoczył konwulsyjnie w górę. Grad strzał spadł również na dzika.

Pozostali mężczyźni w tym czasie tego popijali cziczę, po czym zabrali się do obdzierania dzika ze skóry. Huczały bębny, ziemia dudniła od tupotu bosych nóg, a nad głowami ucztujących do późnej nocy jaśniał majestatycznie Krzyż Południa.

Nie wiem dokładnie, o co tu chodzi, ale chyba o coś więcej niż o rozlew krwi tych biednych stworzeń... — pomyślał Jacek.

Tymczasem na żarze gasnącego ognia piekły się banany i słodkawy zapach atakował nozdrza. Przy sąsiednim ognisku wędzono pekari, a milczące Indianki bez przerwy tarły maniok i wypiekały placki. Krążyła z rąk do rąk duża tykwa z gorącym napojem z rośliny ignamu\*. W blasku

---

\* ignamu (ind.) — pnąca roślina, której grube korzenie miele się na mączkę.

ognia mieniły się bransolety na męskich ramionach, wyszywane w szachownicę białymi i niebieskimi koralikami. Na piersi kuraki lśnił polerowany srebrny trójkąt. Żuli kokę i palili papierosy, skręcone z gładkiej różowej kory, giętkiej jak kawałek papieru. Nagle kilku młodych tubylców przyciągnęło na polanę dużego kajmana. Kilka energicznych ciosów maczetą i niesamowity ogon tego drapieznika już piecze się, przesuwany nad płomieniem. Część ogona oskrobali, pokrajali na drobniejsze kawałki i włożyli do wielkiego kociołka. Po chwili już kipiała i przelewała się najbardziej szatańska zupa ogonowa, jaką Jacek widział kiedykolwiek. Na myśl o tym, że będzie musiał jeść tę miksturę, wstrząsnął się z obrzydzeniem.

— To tylko wstęp do uczyty — uśmiechnęła się niewinnie Ika, patrząc na przerażonego przyjaciela. — Później będzie rosół z piranii, małpa z różną i pieczone papugi. Taki tu zwyczaj, trzeba jeść całą noc, trzeba się najeść, bo rano będą wielkie emocje! — umilkła, bo polanę wstrząsnął gardłowy okrzyk, zastępujący u tubylców oklaski.

To kuraka obiecał coś miłego sercom i żołądkom. Kobiety wciąż ucierały maniok na mąkę i krzątały się pracowicie po placu. Dzwoniły szerokie przepaski na kostkach ich śmigających nóg, zdobne białymi i niebieskimi paciorkami. Umorusane twarze nagich dzieci zaglądały ciekawie, a ich wzdęte brzuchy, pękate jak balony, przesuwały się niezdarnie na krótkich krzywych nóżkach. Zgraja białych i rudych psów wyła do księżyca, który przedzierał się właśnie ku zenitowi, a za nim błękitna Wenus, drżąca jak świetlny promień. Pokraczny w swojej wielkości Krzyż Południa wychylał się z kosmicznej czeluści.

Jacek przełknął jeszcze kęs pieczonej papugi i błoga sytość zakiełkowała leniwie w jego pulchnej powłoce cielesnej. Przytulił się do Iki, skulił jak niedźwiedź do snu zimowego i pogrążył w rozmyślaniach. Sen sklejał powieki. Jest w dżungli, noc, raptem pełźnie ku niemu cielsko węża, słycać wyraźnie złowrogie grzechotanie.

— Grzechotnik! — krzyknął Jacek i... obudził się ze strachu.

Przetarł oczy, ale grzechotanie nie ustawało. Trwożliwie rozejrzał się. Tak, to przecież plemienni czarownicy potrząsają grzechotkami nad kuraką, siedzącym na małym taborecie, wyciosanym z kawałka ciemnego drzewa. Jest już ranek. Starucha podaje sołtysowi czarę czicy. Pierwszy z wojowników siada w kucki przed kuraką. Ten powoli podnosi miskę, zatacza nią trzy kręgi wokół swojej głowy i piersi, potem dokoła wojownika i podaje mu czarę, a przykucnięty mężczyzna jednym łykiem wypija ją i odchodzi, gotów do obrzędu. Kobieta podaje kurace następną porcję rytualnego napoju i następny wojownik przechodzi chrzest bojowy. Kiedy ostatni z mężczyzn doznał tej łaski, przed sołtysiem przykucają kobiety, a potem... dzieci. Kuraka z niewzruszonym spokojem celebryje obrządek i wciąż powtarza dokładnie te same ruchy. Wreszcie już wszyscy zostają przez niego błogosławieni i na polanie rozpoczyna się alkoholowe szaleństwo.

Jackiem wstrząsa obrzydzenie.

— O, wielki Inti! — jęknął, wznosząc oczy ku słońcu. — Czyżbym miał zmienić zdanie o mądrości twojego ludu? Czyżby to było tylko beznadziejne prymitywne pijaństwo? Nie, nie, to niemożliwe! Przecież zaczęli obrządek równo z

twoim wschodem, z twoim pierwszym promieniem. Oni to czynią w twoim imieniu. To wszystko musi czemuś służyć, ale czemu?

Nim Jacek zdążył pomedytować na dobre, podbiegły ku nim kobiety o włosach natłuszczonych roślinnym olejem, w których tkwiły ozdobne strzępki wełny i kolorowe piórka. Jedna z nich z uśmiechem wyciągnęła w jego kierunku rękę z pełną tykwą. Jej brudne palce, zaciśnięte na brzegu naczynia, nurzały się w pianistej cieczy.

— Weź, nie wolno odmówić! — syknęła Ika przez zaciśnięte zęby.

Kuraka popatrzył groźnie w ich stronę z wysokości rytualnego stolka. Czuwał nad tym, by wszyscy wypełnili swoją powinność jak należy, nawet dzieci. Cóż było począć! Jacek zamknął oczy i wychylił do dnia litrową tykwę, krztusząc się tubylczym piwem, gulgocząc i parskając ze wstrętem. Patrzył z błagalną nadzieją na słońce, jakby oczekując stamtąd wybawienia.

Wreszcie kuraka wydał krótki gardłowy okrzyk. Powstał ze stolka. Zaprzestano picia. Jacek spojrzal w górę. Słońce stało w zenicie, nie padał na ziemię już ani jeden cień. Południe. Żółte kałuże parowały, cuchnąc okropnie.

— Wasze ciała stały się już gotowe sprostać próbie, jakiej zostaną poddane! — tłumaczyła Ika słowa sołtysa.

Zadudniły bębny, zaterkotały grzechotki. Pięć postaci w maskach tygrysiich tanecznym krokiem podchodzi do kuraki. Na czole każdej z nich czerni się prostokąt, jakby gęsta plecionka, w której coś szmerze ruchliwie.

— To czarne mrówki, mają szczypce z przodu, a w



odwłoku żądło. Uklucie żądła to gorączka cały dzień i całą noc, a nawet paraliż! — szepnęła Ika.

Pięć tygrysih masek tańczyło przed kuraką, przestępując z nogi na nogę. W tym czasie pomocnicy zdjęli im z czoła plecionki z mrówkami i złożyli je u stóp sołtysa. Tygrysie maski cofnęły się o dwa kroki, mamrocząc jakiś praśpiew plemienia i sapiąc coraz mocniej.

— Jest to śpiew tygrysów, które w pazurach przyniosły na ziemię pierwsze dzieci. Zaraz odbędzie się chrzest tych chłopców, pasowanie na mężczyznę — wyjaśniła Ika.

Za chwilę „tygrysy” przyprowadziły pierwszego delikwenta. Siadł naprzeciwko sołtysowego tronu. Wpatrując się intensywnie w kurakę, wyciągnął przed siebie ręce i położył na kolanach mistrza ceremonii. Zamknął oczy. Ten podniósł jedną plecionkę z mrówkami. Umilkł śpiew masek. Taka cisza nastąpiła, że słyhać było szmer mrówczych szczypiec. Kuraka umoczył prostokąt w tykwie z napojem, a potem zbliżył do palącego się papierosa z liści palmowych i dmuchnął wolno kłębem niebieskiego dymu prosto w plecionkę.

— Co on wyprawia? Najpierw je topi, a potem chce udusić dymem? — krzyknął Jacek.

— Kuraka mądry, on chce mrówki rozzłościć, żeby wszystkie szczypały mocno i szybko — odparła.

Brzęczenie rozjątrzonych mrówek przypominało już trzask ognia podczas pożaru. Kuraka zatoczył trzy kręgi wokół swego ciała plecionką z mrówkami, podobnie jak poprzednio tykwą napoju. Pochylił się nad chłopcem i rozszoszona plecionka zatoczyła takie samo okrażenie wokół jego ciała. Kilku mężczyzn schwyciło chłopca za

głowę i ręce. Bębny załomotały głośniej, zabrzmiały jak cyrkowy tusz nad mrozzącą krew w żyłach akrobacją. Mrówczany prostokąt przesuwiał się wolno od stóp do głowy. Dwieście żądał wbija się jednocześnie w ciało chłopca! Ten kuli się, wykręca do tyłu, chce krzyknąć, ale wielkie dłonie opiekunów zatykają mu usta, musi bez słowa znieść próbę woli. Tortura trwa. Prostokąt sunie po całym ciele, aż dochodzi do głowy. I tu następuje finał. Mrówki składają ostatni przeciągły pocałunek na czole dziecka. Opiekunowie zwalniają uścisk. Sylwetka chłopca prostuje się. W oczach całego plemienia stał się już mężczyzną! Młody mężczyzna otwiera oczy, w których tkwi milczące cierpienie jak niewidoczna zadra. Kobieta czerpie dłonią cziczę z tykwy i naciera udręczone ciało. Chłopiec wstaje o własnych siłach i znika we wnętrzu świetlicy. Ze wszystkich stron polany rozlega się triumfalny krzyk. Przed czarownikiem siada następny chłopiec — kandydat na dorosłego. Za jego plecami zamaskowane „tygrysy” posapują w rytualnym śpiewie.

W ten sposób społeczności tubylczej przybyło jeszcze trzech mężczyzn. Jacek odetchnął i uśmiech ulgi okraszył jego puciołowatą twarz.

— To jeszcze nie koniec, kochany Jaszek. Kto widzi, ten musi doznać... — wtrąciła zagadkowo Ika.

— Czego znowu doznać?! — jęknął Jacek.

Jakoż i wkrótce wyjaśniło się. Jakby w intencji tych czterech nowo przyjętych do kuraki podchodzą teraz wszyscy świadkowie i siadają na rytualnym stołku: mężczyźni, kobiety i dzieci (te traktowane trochę ulgowo). Każdy po kolei musi poddać się torturom mrówczych

prostokątów. Kilku mężczyzn nie wytrzymało bólu i zemdlalo.

— Sami sobie winni, bo za mało pili — komeptuje Ika.

Kobiety są bardziej wytrzymałe, znoszą katusze bez mrugnięcia okiem. Ręce splatają na wierzchołku głowy, blade i dumne, że choć raz wyszły z cienia służalczych powinności i mogą zaimponować mężczyznom. Przez cały czas tortury lekceważąco plotkują z sąsiadkami! Dopiero w mroku chaty walą się na legowisko bez przytomności; napięcie woli pęka i ginie w potwornym bólu. Ciało wyprężają się w tępcowej gorączce. Indianka zniosła mężnie, Metys trochę gorzej, Ika dostała mniejszą dawkę niż dorośli. Na placu boju pozostał tylko Jacek — oko w oko z kuraką i pięcioma tygrysimi maskami, które już-już zbliżały się do białego gringo... Jacka oblał zimny pot. Widział już siebie w mrowisku i swoje białe kości obgryzione do czysta... Obejrzał się. Nie było już nikogo, kto mógłby go obronić!

— Trudno, ja też stanę się mężczyzną! — chlipnął żałośnie i zacisnął zęby.

Tygrysie maskary już chwytaly go pod ręce i wlokły na miejsce karni. Nogi jak serdelki ciągnęły się po ziemi.

„Kto widzi, ten musi doznać... Kto widzi, ten musi doznać...” — dudniło w jego przerażonej głowie to okrutne zdanie.

Kuraka spojrzal na niego badawczo i blask bladej drżącej skóry jakby go oślepił. Zakrył jedną ręką oczy, a drugą machał przecząco, jakby mówiąc: Zabierzcie mi stąd te białe zwłoki! To nie nasza krew, zapaskudzi nam całą uroczystość!

Tygrysie maski najwyraźniej nie miały ochoty zrezygnować z jeszcze jednego mężczyzny; szwargotały coś sołtysowi i gestykulowały, ale ten tylko uśmiechnął się i zdecydowanie pokręcił głową. Jacka odprowadzono do wspólnej stodoły. Odetchnął głęboko — był uratowany! Chciał usnąć jak najszybciej, ale emocje nie pozwalały. Jakąś dziewczynka krzyknęła przeraźliwie, przeżywając we śnie swoją torturę. Jackowe kiszki uporczywie grały marsza. Nagle wzdrygnął się — ktoś złapał go za rękę.

— Ciii! Niosę ci ratunek — usłyszał szept Iki.

Wcisnęła mu w rękę pięknego dojrzałego banana. Serce zabiło mu mocniej, nierozzerwalnie połączone z żołądkiem wspólną nicią przetrwania.

— Ika... — szepnął z wdzięcznością. — A bolało cię? — westchnął.

— Trochę. Ale stałam się już kobietą, wiesz? — szepnęła, parząc go w szyję gorącym oddechem.

Jacek zakaszlał gwałtownie i gorączkowo szukał w myślach ratunku.

— A powiedz, Ika... — zaczął wolno i zupełnie głośno. — jakim sposobem kobiety potrafią przygotować aż tyle tej cziczy naraz?

— Ciii... — położyła palec na ustach. — Pobudzisz wszystkich. Jak tak bardzo chcesz wiedzieć, to ci powiem. One przez cały dzień znoszą z pola korzenie manioku, mnóstwo koszy wypełnionych maniokiem, sterty korzeni. Trą korzenie i pieką placki, a potem myją pirogi, szorują do czysta, napełniają wodą i wrzucają do niej setki tych placków. Placki trzeba jeszcze pokruszyć, żeby się szybciej rozpuściły. Przykrywają łodzie i czekają, aż żółta papka



zacznie burzyć się i kwaśnieć. To wszystko. Jaszek, ja już jestem kobietą — szeptała.

— Ale ja nie stałem się mężczyzną, ty głupia kozo... — mruknął po polsku. — Hrrr... Hrrr... — zachrapał nagle, udając głęboki sen, a w duchu pomyślał: — O, wielki Inti! Ratuj mnie przed tą olbrzymią mrówką! Wolałbym dać się pocałować dwustu małym mróweczkom niż tej jednej!

Ika mruknęła coś ze złością, po czym z całej siły uszczypnęła go w pośladek. Zaciśnął zęby, by się nie zdemaskować...

Rano życie w toldo wróciło do normy. Kobiety z dzbanami pomaszerowały do źródła. Między szalasami brykały dzieci, bawiąc się małymi łukami z zielonego drzewa i piłkami z bananowych liści. Kilku mężczyzn z ociężałymi głowami wsiadało do łodzi i wyruszało na połów ryb. Jackowa gromadka zjadła na śniadanie resztki pieczonej małpy i — komu w drogę, temu czas. Żegnał ich kura-ka — dobroduszny staruszek, w niczym nie przypominający wczorajszego mistrza okrutnej ceremonii. Chmara uśmiechniętych wstydliwie dzieciaków machała rączkami. Ich wydęte brzuchy lśniły w porannym słońcu...

*Jeden sympatyczny mrówkojad  
i miliardy komarów,  
czyli kto rządzi dżunglą*

W chacie Błedego Starca nie było gdzie usiąść. Sterty skór zwierzęcych, wypchanych ptaków, zasuszonych owadów i motyli, girlandy storczyków. Na środku klepiska tliło się ognisko. Kilkaset moskitów harcowało z dala od gryzącego dymu, wielkie lśniące karaluchy zwinnie rozlazily się po ścianach, kilkanaście smętnych pajaków tkwiło w nalogowym przyczajeniu, obserwując niezdarne podrygi nietoperzy. Nawet rzekotka zaplątała się gdzieś w zaułkach tej rupieciarni. Starzec leżał na barlogu, zagrzebany po szyję w pokrzywach.

— Już, już... — mruknął i usiadł na pośłaniu. — Potrzęsnała moim starym cielskiem malaria, ale ja uciekam od niej, jak mogę. Najpierw leżałem na rozgrzanych kamieniach, a teraz widzicie... Liście pokrzywy parzą jak ogień, ale leczą. Już mi lepiej — stęknął.

Kiedy się wyprostował, Jacek musiał zadrzeć głowę do góry. Dwumetrowego wzrostu starzec, z białą brodą do pasa, w długiej kuźmie — wyglądał imponująco.

Szli błotnistymi ścieżkami, pokonując strome wzniesienia i gęsto zalesione wąwozy. Tropikalna równina dżungli dorzecza Madre de Dios łączyła się tutaj ze skalnymi kanionami, które prowadziły do wysokich szczytów Wschodniej Kordyliery. Kiedy dotarli do Doliny Mgieł, ogarnęła ich tak gęsta powietrzna wata, jakby sufit obłoków

obniżył się nagle i ukrył całą piątkę w swojej bezimiennym masie. Gdzieś w oddali szemrała rzeka. Bujna trawa ugięła się pod nogami. I nagle krajobraz zmienił się tak gwałtownie, jak wszystko, co w tym egzotycznym kraju przechodzi raptem z blasku w cień i z cienia w słońce.

Z przedmieścia niskopiennych drzew weszli w wysoką ścianę lasów deszczowych, z wyschniętego gruntu na ciemną błotnistą ziemię, z rześkiego powietrza w wilgotny i kwaśny oddech gnijącej próchnicy.

— Popatrzcie na to drzewo! — wskazał starzec na pień świeżo zwalony, a już zaatakowany przez owady, którym tylko tułowia wystawały z wywierconych otworków. Straszliwy owadzi desant dokonywał dzieła bezwzględnej zniszczenia. — Czują tylko na upadek. Patrzcie, ile ich tu jest! Po kilku dniach z tego potężnego pnia zostanie tylko proszek. No i kto tu rządzi dżunglą, he? — fuknął Błady Starzec.

Ledwie to powiedział, gdy okrążyła ich jakaś brzęcząca chmara jaskrawobłękitnych owadów i z furią runęła do ataku jak dywizjon wyborowych myśliwców.

— Osy! Osy! — jęknęła Ika i zaczęła wymachiwać rękami. Obrona na nic się zdała. Każdy otrzymał co najmniej kilkanaście ukłuć. Jacek czuł, jak głowa puchnie mu i dzwoni.

— To drobnostka! — lekceważąco machnął ręką Błady Starzec, wiodąc wzrokiem za rojem rozbójników, który po udanym ataku powracał do gniazda na gałęzi wysokiego drzewa. — Po godzinie ból ustąpi, a po dwóch nie będzie już ani śladu opuchlizny — dodał.

Siedli w cieniu drzew, by wypocząć trochę i rozprostować obolałe członki. Jacek patrzył z podziwem na starca.

Jak on może chodzić na bosaka? Przecież te cholerne pchły ziemne tylko czekają, by pod paznokciami zrobić składy jajeczek... — medytował.

Tymczasem na gałęzi krzewu odbywała się walka na śmierć i życie między rogatym żukiem a modliszką, która atakowała zażarcie. Nie wiadomo kiedy pożarła żuka i znowu czaiła się na kolejną zdobycz, złożony przednie odnóża w modlitewnym gęście. Nadawało to jej sylwetce spokojny wygląd. Biada owadowi, który uległ temu złudzeniu! Oto pszczoła nieopatrznie przyfrunęła zbyt blisko. „Rozmodlone” przednie odnóża sięgnęły błyskawicznie, chwyciły ostrymi kolcami i już ofiara została podsunięta do otworu gębowego. Jacek z przerażeniem obserwował stworzonko, które w dżungli jest symbolem żarłoczości: w ciągu godziny dorosły owad może zezreć pięć dużych chrząszczy. Najgorszą okrutnicą jest samica modliszki — pożera nawet własnego męża!

— Latarnik! — krzyknęła Ika. Jacek rozejrzał się, ale nikogo obcego nie zauważył, tym bardziej żadnej latarni morskiej. Na gałęzce drzewa siedziała dziwna cykada z potężną naroślą na głowie niczym latarnia. — Veneno-sa... — szepnęła z lękiem Ika.

— Bzdura! — uciął starzec. — Ona nie jest jadowita. To zupełnie nieszkodliwy owad. Lepiej skończ to dłubanie w korze i spójrz na swoje ręce, panienczko. Jedna kropla tej białej żywicy może cię oślepić na zawsze! — postraszył.

Ika jęknęła z przerażenia. Wtuliła głowę w ramiona i wycierała oblepione dłonie w kępę zielonej trawy.

Metys co jakiś czas obracał zbutwiałe pniaki, a starzec wkładał jakieś kosmate żyjątka do małych słoiczków. Ika



wydawała przy tym okrzyki zachwytu, ale Jacka to nudziło.

— A co mnie obchodzą jakieś tam owady! Nie chcę mieć z nimi nic wspólnego! — burknął i przysiadł na zwałonym pniu.

Duch dżungli nie wysłuchał jednak jego prośby o neutralność, bo przegniłe drewno rozpadło się nagle pod Jackowym siedzeniem i znudzony Lolek wpadł w sam środek ukrytego w pniu mrowiska!

— O Jezu! — ryknął i skrzydła błyskawicznie urosły mu u ramion.

Zerwał się i odskoczył na kilka kroków, rzucił się na trawę i zaczął tarzać się w konwulsjach, usiłując strzepnąć z siebie uszczypliwą drobnicę. Czerwone mrówki nie żałowały mu ognistych pocałunków.

— Oj... oj... — jęczał zboląły, a wściekle ukłucia piekły go jak setka rozpalonych do czerwoności szpilek, wbitych w skórę. Czuł, że poparzone jak ukropem ciało wzbiera już gorączką. — A niech was wszyscy diabli wezmą! — sapał leżąc zwinięty w kłębek.

Niezbyt jednak wierzył, by znalazła się jakakolwiek siła w tej części kuli ziemskiej (nawet diabelska!), zdolna pokonać ten mrówczy żywioł. Obserwował bezradnie, jak kolumny czerwonych bestii pracowicie ściągają do mrowiska liście na nawóz dla swojej podziemnej plantacji grzybów. Praca w mrówczym państwie zorganizowana była wzorowo. Mrówki-drwale wdrapywały się na drzewo i zwięcie podpiłowywały liście tak długo, aż opadły na ziemię, gdzie czekała już brygada krojących, dzielących liść na kawałki. Potem już wkraczała do akcji grupa

transportowa i ciągnęła kawałki liści nad głowami jak zielone żagle...

Wtem Ika trąciła go delikatnie w ramię.

— Podciągnij ostrożnie prawą nogę, ostrożnie... — szeptała wolno, a jej oczy rozszerzały się ze strachu. Jacek wykonał polecenie. — Teraz powolutku wstań! — syknęła.

Spojrzał na miejsce, gdzie przed chwilą spoczywała jego prawa noga. Właziła tam właśnie ogromna skolopendra\*. Groźnie wyglądała jej gęba, uzbrojona w parę potężnych haków.

— Wstrętny potwór! — wydyszał Jacek i dokładnie rozgniótł tę wielonożną stworę.

— Mamy szczęście, że cię nie ugryzła. Musielibyśmy cię nieść, bo nie mógłbyś ruszyć sparaliżowaną nogą. A na przykład ukąszenie w twarz, to pewna śmierć! — jazgotała Ika.

— Dziwne... — wtrącił starzec. — To drapieżnik nocny i w dzień się nie pokazuje, śpi pod zbutwiałymi liśćmi. Musiałeś niechcący uszkodzić jej kryjówkę i podrażnić ją.

Jacek milczał. Było mu już wszystko jedno. Patrzył bezmyślnie przed siebie i czekał końca. Pewnie by się zbyt nie zdziwił, gdyby tak sfrunęła nagle milionowa armia szarańczy i ogołociła po kolei: drzewa, pastwiska, całą roślinność i ludzi aż do kości. Niezwyciężona szarańcza! Ongiś setki mulów dźwigało pojemniki pełne agrocytu i gammexanu\*\*, ale ona uchodziła wszelkim pogoniom.

---

\* skolopendra — duży jadowity stawonóg o wydłużonym robakowatym ciele z licznymi odnóżami (od piętnastu do stu siedemdziesięciu par).

\*\* agrocyt, gammexan — środki chemiczne do zwalczania szarańczy.

Miotacze ognia na próżno pluły w jej stronę. Zrywała się chmurami jak huczący gwałtowny potok i zalewała coraz to nowe połacie kuli ziemskiej...

Ruszyli znowu. Wyszli wreszcie na otwartą równinę. Swobodne powietrze znowu przywróciło Jacka do życia w miarę normalnego. Wysokie trawy falowały rześko. Nagle usłyszeli daleki tętent. Z ukrycia wyłonił się ciemny kształt półmetrowego wzrostu i gonił kulejącym galopem przez równinę. Wielka, półmetrowej długości głowa w kształcie lodowego sopła kiwała się z boku na bok, a szeroki kosmaty ogon falował jak proporzec, porośnięty kępkami gęstej szarej trawy.

— Mrówkojad! Gonia go! — krzyknęła Ika.

Z oddali wyłaniały się sylwetki dwóch jeźdźców, wymachujących lassem. Mrówkojad zmylił pogonie i przysiadł, podparty ogonem, w bujnej kępie traw, tuż obok, niemal na wyciągnięcie ręki. Był zmęczony, bo dyszał ciężko i wysuwał swój szary węzowaty język, w jaki wyposażyła go natura zamiast zębów. Spływała zeń gęsta lepka ślina, którą przyklejał mrówki do języka, by nie zdążyły uciec. Na tle wspaniałego czarnobrunatnego futra, obrzeżonego srebrzystymi paskami, biegł spod brody w kierunku grzbietu charakterystyczny pas ciemniejszej sierści. Na samym czubku soplowatej głowy sterczały małe spiczaste uszy. Syczał ze złości i ostrzył o trawę wielkie pazury, mocniejsze od pazurów jaguara. A potem usiadł na ogonie i zaczął czyścić z resztek trawy swój śmiesznie długi, wygięty ryjek. Mrówkojad wytarzał się w trawie, parsknął, otrząsnął się jak pies i pokuśtykał dalej, wieczny samotnik. Jeźdźcy zauważyli go znowu i zaczęli rozwijać w biegu swoje lassa.

Energiczny wyrzut i skórzana pętla wylądowała na głowie mrówkojada, jednak za moment zsunęła się z niej i zwierzak pędził dalej. Stwardniała ziemia dudniła uderzeniami skarłatych łap. Krzywe nogi i kosmate ciało tchnęły dużą siłą.

— Oby żył wiecznie i łykał te piekielne mrówki bez przerwy! — modlił się Jacek do wielkiego Inti. A kiedy jednak mrówkojada schwymano, chłopiec miał w oczach łzy...



*Cud białych twarzy,  
czyli przybysze z Europy*

— Dzisiaj jest sucho, dzisiaj kuzyni mamy zapoleją na pekari — mówiła Ika, z całą powagą dłubiąc w nosie wskazującym palcem. — A tymczasem chodźmy do lasu na ryby! — przymrużyła oko.

— Do lasu? Na ryby? — westchnął zdumiony.

— No, nie daj się prosić dwa razy, Jaszek, ja ciebie lubię... — wdzięczyła się.

Poszli. W wilgotnym i mrocznym lesie zatrzymywali się przy różnych bajorkach, które dziewczyna klula ościeniem, jakby od niechcienia. Woda w kałużach była mętna, błotnista, nieprzejrzysta — jak to w kałużach. Coż w nich można znaleźć oprócz jakiejś zabłąkanej żaby? Jacek już-już miał błysnąć jakimś złośliwym dowcipem, gdy nagle zobaczył coś, co go zatkało. Na ościeniu Iki trzepotała ryba! W kilku takich brudnych kałużach złowiła w ten sposób dziesięć okazałych rybek! Żałował, że miały być dopiero na kolację...

Wrócili do chaty. Czekają tam jeszcze dwóch Indian z psami. Wkrótce wyruszyli na polowanie.

Marsz przez dżunglę trwał dosyć długo, gdy nagle psy warknęły niespokojnie. Pędem przecięły ścieżkę i wpadły w gęstwinę. Tam zaniósł się wściekłym ujadaniem, chóralnie obwieszczając swoją radość i podniecenie. Z podniesionymi do góry ogonami warczały przy wlocie do dużej nory. Jeden

z kuzynów wyciął maczetą długą gałąź, kucnął przy wlocie. Wsunął gałąź w ciemny otwór i począł potrząsać gwałtownie. W norze coś zadudniło, zadrgały jakieś głuche uderzenia i nagle mignął Jackowi w oczach otwarty czerwony pysk i błyszczące ogromne kły. Huknął strzał. Zwierzę runęło martwe na progu nory. Psy, jazgocząc ostro, wczepiły się zębami ze wszystkich stron i szarpały do tyłu, aż wyciągnęły dziką świnię pekari na światło dzienne. Nieduża i zabłocona, przypominała Jackowi dzika z podlaskich lasów. Indianie odpędzili psy i wynieśli zdobycz z gąszczu. Szeroki białozółty pas wyglądał na czarnobrunatnym cielsku jak paradny lampas. Umyli pekari w strumyku, szybko i sprawnie wypatroszyli ciało zwierzęcia. Wyczyszczone i poćwiartowane półcie przenieśli na duże liście dzikich bananowców. Teraz przyszła kolej na rozpalenie ogromnego ogniska. Prawie metr nad płomieniem zawieszono pomost upleciony z zielonych gałęzi. Na tej oryginalnej patelni Indianie położyli udźce i połędwicę. Mięso skwierczało smakowicie, tłuszcz skapywał do ognia, Jackowi spływała łakomie ślina do gardła, dławiąc ochotę nie do zwalczania. Mięso piekło się i wędziło kilka godzin, może dłużej, może krócej; Jacek stracił w dżungli poczucie czasu. Co jakiś czas ktoś wstawał, podsycał ogień i przewracał skwierczące półcie na drugą stronę. Gorsze kawałki, pocięte na wąskie pasy, gotowały się w dużym kociołku. Kiedy wreszcie każdy otrzymał swój kawał pieczystego na ogromnym liściu, Jacek był już na wpół przytomny z oskomy. Pieczona pekari smakowała jak krucha delikatna cielęcina. Jacek był wniebowzięty...

— Zaraz nadejdzie wielki inganini\*! — krzyknęła Ika, gdy po lowiecko-smakowych emocjach wrócili szczęśliwie i siedząc przed chatą, wsłuchiwali się oboje w przedwieczorny śpiew puszczy.

Niosło się zewsząd bulgotanie, gdakanie, charkotanie, skrzekoty podniecenia, dudnienie kowadła, ciurlikanie fletu i zgrzyt mechanicznej piły, tysiące dźwięków cienkich i grubych, słodkich i zrywających na torsje. W miarę jak zanikało światło dnia, potężniała lawina dźwięków mrocznej dżungli. Chór wyjców zagłuszał wszystko, szalały moskity. Nagle lunęło potwornie. Poprzez potok wody przedzierał się upiorny blask błyskawic. Muzykę puszczy zagłuszył brutalny loskot ułewy, rozdierany walemiem piorunów. Minął kwadrans i wszystko ucichło. Ciśsza dzwoniła w uszach, liście obsychały błyskawicznie.

Jacek znowu wysadził nos z chaty. Siedział na suchym już pniu i patrzył tępo na palmy, liany i bambusy, drzewa proste i koślawe, rosnące prawie poziomo, na krzewy większe niż drzewa, na tę dziką ścianę zieleności, za którą gdzieś tam bardzo daleko pozostała Polska.

Tam daleko Polska, dom, rodzina, koledzy. Ale się ucieszą Kosynierzy, gdy im przywiezę te eksponaty! Tak, sporo już ich jest — przebiegał w myślach — tyżka z przeciętej na pół muszli, grot oszczepu w kształcie liścia, kolczyki z muszli, nóż z kości fokki, piękny harpun wystrugany z kości uchatki. No i kipu\*\*, otrzymane w prezencie od

---

\* inganini (ind.) — deszcz, ulewa.

\*\* kipu (ind., dosłownie: węzeł) — system węzłków na kolorowych

Iki! Pomyślą sobie, ot, zwykły sznur różnokolorowych nici, powiązanych w różne węzłki, frędzelki, zwykły wiecheć nici, długi na dwie stopy. A to jest pismo Inków, każda nitka oznacza inny przedmiot, takie kolorowe archiwum. Skąd inkascy wodzowie wiedzieli o różnych ważnych sprawach, dochodach i zapasach? W tych banalnych sznurkach zakodowana była cała mądrość ludu — zachwytał się Jacek.

Ale kiedy spadł z obłoków myślowych na ziemię, kiedy spojrzął znowu na gęsto zarośnięte ściany zielonej pułapki, ogarnęła go beznadzieja i bezradna apatia.

No i co komu z tych eksponatów przyjdzie, skoro ja ich i tak stąd nie wywożę... Nie wydostanę się stąd przecież, nie wyczołgam z tego kotła. Zostanę już tutaj na zawsze, zdziczeję pośród tej drapieżnej przyrody, szalu życia i śmierci. I co mi tu pozostało? Łazić po dżungli, pełnej krwiożerczych mrówek i wszechobecnej szarańczy? Razem z Bładym Starcem zbierać magiczne zioła? Polować na dzikie indyki, łapać papugi i ogromne kolorowe motyle? Poznawać baśniowe światy dziewiczych lasów? Podpatrywać figle nocnych małp i ptaków? A może hodować kozy i wypłacać koszyki z indiańskimi babami? Marna nadzieja na ocalenie... Ja, ja stwardniałem tutaj, ale co przeżywają moi rodzice?

Nagle... Co to? Szmer motoru? A może znowu szum

---

nitkach, określający początkowo liczby, później całe zdania; używany przez Inków (XII-XVI w.), opracowany naukowo przez peruwiańską sekretarkę Victorię de la Jara, która zajmowała się amatorsko badaniem kultury Inków.



moskitów? Ucichło. Minęła jeszcze jedna noc i Jacek już zapomniał o przedwieczornym złudzeniu. Metys z Indianką radzili nad czymś. Aż tu nagle...

— Mucha gente!\* Mucha gente! — krzyczała Ika, biegnąc od strony drogi.

— Mała gente?\*\*\* — zapytał Metys, ale Ika wzruszyła tylko bezradnie ramionami i już jej nie było.

Jacek pobiegł za nią. Tuż za zakrętem stał zielony wojskowy jeep! Siedziało w nim trzech białych ludzi w sombreroach. Zdejmowali jakieś skrzynie, gestykulowali i kłeli po hiszpańsku, czymś bardzo zdenerwowani. Jeden z nich ustawił na ścieżce stojak na trzech nogach, z jakąś aparaturą na wierzchołku. Ika i Jacek postanowili śledzić przybyszów, by rozszyfrować ich zamiary. Chodzili na nimi krok w krok, obserwując pracę trzech podróżników, wykonujących jakieś naukowe pomiary. Jackowi zdawało się, że w gąszczu mignęła mu biała broda Błatego Starca i dyskretnie przesuwa się w tym samym kierunku co oni...

— Jutro rano wyruszamy na łowy, będziemy łapać motyle dla białych seniores z Europy! — oznajmił Metys wieczorem. Nawiązał bowiem kontakt z badaczami, którzy wynajęli go do pomocy. — Oni słabo mówią po hiszpańsku. Oni mówią jakimś innym językiem, bardzo dziwnym językiem! — dodał po chwili, patrząc w skupieniu na Jacka.

Wyruszyli jeszcze w nocy. Zarośnięty blondyn rozpostarł białe prześcieradło i podświetlił od spodu potężną lampą. Chmary owadów osiadały na tym ekranie jak zahipnotyzo-

---

\* Mucha gente! (hiszp.) — Dużo ludzi!

\*\* Mała gente? (hiszp.) — Żli ludzie?

wane. A nazajutrz... Około szóstej rano cała rodzinka wyruszyła w głąb puszczy, aby zapewnić sobie i przybyszom mięso, ryby, owoce i ślimaki. Już na konto dobrego zarobku Metys zafundował sobie, Indiance, Ice i Jackowi królewskie śniadanie: pieczone mięso i gotowane banany. Jacek promieniał ze szczęścia!

*Estos mis cabellicos Madre,  
dos a dos me los llewa el Aire...\**

— podśpiewywał zawadiacko Metys, kiedy szli już w głąb puszczy na bezkrwawe łowy.

Storczyki iskrzyły się na konarach drzew. Wysoko nad ziemią przyczail się między gałęziami metrowej długości jaszczur-legwan. A motyle fruwały jak na rajskiej łące! Blondyn wypatrywał tysanii, największego motyla świata, ale nie pojawiała się. Stado małych i setki kameleonów uciekało w popłochu przez ścieżkę. Jacek z podziwem oglądał wyposażenie do łowów na owady. Blondyn dźwigał w kieszeniach mnóstwo buteleczek z cyjankiem, na ramionach skórzany worek z teczkami bibuły, szczypcami, flaszeczkami, spirytusem i siatką na motyle. Metys, jako pierwszy pomocnik, niósł też zielnik, maczetę, kawałki płótna, siatkę do łowienia w wodzie. Jacek natomiast piastował funkcję drugiego pomocnika i targał ze sobą zapasowy spirytus, koperty na nasiona oraz inne drobiazgi. Łowy wypadły okazale, a Jacek otrzymał pochwałę za

---

\* *Estos mis cabellicos Madre...* (hiszp.) — *Wiatr mi, matko, zrywa włosy, po dwa naraz je unosi...*

ofiarność. Blondyn pozwolił mu nawet wziąć udział w suszeniu zebranego materiału, na razie w charakterze obserwatora. Metalowe tace układano na piekarniku ogrzewanym naftą, jedna nad drugą, na drewnianych kółkach. Ważki leżały na tacach w specjalnych kopertach. Co kilka minut blondyn przemieszczał tace. Suszenie trwało kilka godzin w temperaturze nasłonecznienia, czyli 35-40°C. Tak podsuszone ważki wędrowały do hermetycznej, podwójnej puszeki metalowej. Suszenie zachowywało zielone i błękitne barwy owadów, ale wymagały one jeszcze suszenia przez dwa dni na słońcu. Jacek to wszystko chłonał i zapamiętywał, starał się pomagać, biegał, zaglądał ze wszystkich stron.

— Widzę, chłopcze, że ciebie to interesuje. Może byś pomógł nam w łowieniu mrówek isula, co? — odezwał się po hiszpańsku blondyn.

— Mrówek? — jęknął Jacek.

— A tak, chcemy wywieźć stąd trochę żywych i zakonserwowanych w spirytusie — dodał.

— Mrówek... — powtórzył jak echo Jacek.

W tym momencie rozległ się szum silnika. Z jeepa wyskoczył drugi podróżnik i zaczął wyładowywać przywiezione zapasy: konserwy, moskitiery, maczety, koce, tuziny lusterek i grzebieni, kilkanaście kuchennych noży, naboje do strzelby, kilka funtów prochu.

— Rysiek, rusz no się, sam nie dam rady! Szybciej! Jakbyś zobaczył Dankę koło Pałacu Kultury, to frunąłbyś w podskokach! — krzyknął Rudzielec.

Krzyknął po polsku! Po polsku! Po polsku!!! — uświadomił sobie Jacek i... zemdłał.

*Hasło „ratunek”  
czyli Kosynierzy w akcji*

— To wszystko twoja wina! Jak mogłeś dziecko wysłać na zatracenie! A ja jakbym coś przeczuwała, nie chciałam, nie chciałam!

— Ależ, kochanie, przecież był pod dobrą opieką. Kto mógł przewidzieć, że...

Mijały dni pełne oczekiwania. W przerwach między kolejnymi kwadransami pretensji, kłótni i gorzkich żalów pani Dowgiellowa chlipała po kątach, zaś pan Dowgiello snuł się z pokoju do pokoju, miejsca sobie znaleźć nie mogąc. Słuchali pilnie radia, oglądali programy telewizyjne od początku do końca, a przy każdym brzęku telefonu czy melodyjnym din-don u drzwi ścisnął za gardło ten sam dławiący niepokój, zabarwiony odrobiną nadziei: czy żyje?!

Z kraju i ze świata nie napływały jednak żadne wieści. Dziennikarze przestali nachodzić mieszkanie Dowgiellów i po kilku dniach w prasie ucichło na temat peruwiańskiej katastrofy. Krewni, znajomi i sąsiedzi również zrezygnowali z dociekań i okolicznościowych słów ubolewania czy też otuchy, która jednakowoż otuchą nie napelniała, odbierana przez rodziców Jacka jak zdawkowe „na pewno wyzdrowiejesz!” w rozmowie z nieuleczalnie chorym.

Tego dnia słońce prażyło tropikalnie,

-- Jak w Peru... — westchnęła Dowgiellowa i znów łąza zakręciła się jej w oku.



— Din-don! — zadzwoniły drzwi.

— Dzień dobry pani, to my. Co dzisiaj kupić? — zapytał Chudy Piotr.

— Ach, Piotrusiu, co znowu, nie będziemy was tak fatygować — zachnęła się.

— Ależ, proszę pani, to drobnostka! My właśnie zdobywamy sprawność opiekuna społecznego i taka praktyka jest dla nas konieczna.

— No dobrze, więc w ramach tej praktyki spróbujcie kupić butelkę oliwy, o, masz tu pieniądze.

Ledwie umilkł tupot nóg na schodach i znowu:

— Din-don! — ktoś znowu za drzwiami. Kto?

— Expres polecony do państwa Dowgiellów, proszę pokwitować! — wyrecytował listonosz.

— Expres?! Kochanie, chodź szybko, expres! Może jakaś nowina — krzyknęła, nerwowo rozrywając kopertę.

Za chwilę jej twarz ostygła. Z koperty wypadły polisy PZU.

— Nic takiego, to tylko nowe druki na ubezpieczenie posagowe Jacka. Ale... czy ten posag... będzie mu jeszcze potrzebny? Po co płacić składki, może on już... — zaszłochęła.

— Nie martw się, kochanie, wszystko będzie dobrze, zobaczysz, że się znajdzie — pocieszał żonę Dowgiello.

„Lato z radiem” tętniło żywym dialogiem i wesołą wakacyjną muzyką. Powtarzano komunikaty wzywające niektórych turystów do natychmiastowego powrotu w ważnej sprawie rodzinnej.

— Ach, gdybyż tak można było wezwać naszego Jacusia... — westchnęła mieszając konfitury. — On musi wrócić,

przecież tyle kompotów narobiłam, tyle galaretek, a najwięcej jego ulubionych, wiśniowych. Kto to pozjada?

— Din-don! — znowu przemówiły drzwi.

— Zadanie wykonane! — uśmiechnął się Chudy Piotr, wręczając Dowgiellowej zakupy.

— Do widzenia państwu, do widzenia! — wycofali się Kosynierzy, a pani Dowgiellowa czternaście razy powtórzyła słówko „dziękuję”, co policzył dokładnie Paweł Okularnik, precyzyjny jak zwykle.

Kiedy znaleźli się w zacisznej kotłowni miejscowego poligonu, Chudy Piotr uniósł do góry otwartą dłoń, co oznaczało: „uwaga! ważne sprawy!”

— Odpowiedzialni za poszczególne zadania — meldować! — padła komenda.

— Melduję, że za sprzedane dotychczas butelki uzyskaliśmy dwa tysiące pięćset czterdzieści osiem złotych. Kwota ta znacznie wzrośnie po niedzielnym meczu ligi piłkarskiej, gdzie liczymy na jakieś sto, może sto pięćdziesiąt butelek. Straty własne: dwa siniaki po akcji na skwerku koło dworca PKP, gdzie jeden taki „metylek” rąbnął mnie niespodziewanie w lewe ucho, bo on też zbierał, a ja go ubiegłem... — poinformował Maciek Koszykarz.

— Melduję, że zebrano tysiąc dwieście czterdzieści trzy złote za makulaturę. Bez strat własnych! — stwierdził z dumą Romek Chwalipełta.

— Melduję, że list do peruwiańskich harcerzy nadałem wczoraj o godzinie szesnastej minut sześć w Urzędzie Poczto-Telekomunikacyjnym numer jeden — oznajmiał Paweł Okularnik.

— Melduję uprzejmie, że jestem na tropie kontaktów z

polską flotą rybacką w Peru! — złożył raport Andrzej Cwaniaczek.

— Dziękuję wam, druhowie. A więc akcja pod kryptonimem „Balonowa” rozwija się zgodnie z planem. Przypominam, że nikt nie zwolnił nas z obowiązku oliwienia rowerów i gromadzenia suchego prowiantu, zgodnie z podanym wcześniej wykazem. To na dzisiaj wszystko. Kosa! — zakończył Chudy Piotr.

— Kosa! Kosa! Kosa! — ryknął zastęp.

W tym samym czasie kiedy Kosynierzy omawiali przygotowania do wyprawy ratunkowej, osiedlową uliczką wolno toczył się czerwony Fiat 126 p, z czymś czarnym i rozczapierzonym na dachu.

— Popatrz no, co tam się dzieje! — zawołała Dowgiełłowa, spoglądając na zbiegowisko przed blokiem.

Dowgiełło wychylił się z okna.

— Nic się nie dzieje. Przyjechali do kogoś na pogrzeb. Ale do kogo? U nas w bloku nikt nie umarł...

— Rzeczywiście — przytaknęła obserwując ubranych na czarno pasażerów malucha, którzy właśnie odwiązywali umocowany na dachu żałobny wieniec. A po chwili:

— Din-don! — jęknęły drzwi.

— O Boże, a tam kto znowu? — westchnęła gospodyni i otworzyła.

Za progiem stali... żałobnicy z ogromnym wieńcem...

— Józik?! — zdziwiła się Dowgiełłowa.

— Tak nam przykro, najszczerze kondolencje od nas, taki zuch chłopak był z niego, taki walny chłopak... — rozmazywali się krewniacy w łzawych uściskach.

— Zaraz, zaraz, a o czym wy mówicie, kto właściwie umarł? — zaniepokoiła się.

— No przecie Jacek! — huknął ze współczuciem gość.

— O Boże! — jęknęła Dowgiełłowa i padła zemdłona.

— I coście najlepszego narobili — szepnął Dowgiełło, kropiąc żonę zimną wodą. — Skąd wiecie, że umarł?

— No przecie dostali my telegram od Kazika, że wasz Jacek zginął gdzieś w Ameryce, znaczy się — umarł! No i jesteśmy — tłumaczył Józik.

— Nie zginął, a zaginął. Za-gi-nał! — sylabizował rozpaczliwie Dowgiełło cucąc żonę.

Otworzyła oczy.

— Ot, przykrość... — sumitował się Józik. — A my już na stypę się przyszykowawszy, świniom osypki na zapas zadali, kury my pozamykali, no i przyjechali my, przyjechali! — stęknął krewniak, kręcąc palcami młynka z niezbyt mądrą miną.

— No, cieszymy się bardzo, Józik, żeście nas odwiedzili, rozgośćcie się, tak, cieszymy się... — mówiła Dowgiełłowa nieswoim głosem, podając do stołu. — Włącz szybko radio, wiadomości już! — powiedziała mężowi i odplynęła znowu w stronę kuchni.

„Tu Warszawa. Podajemy wiadomości. Z oficjalną wizytą przybyła do naszego kraju delegacja partyjno-rządowa Niemieckiej Republiki Demokratycznej. Dostojni goście zostaną dziś przyjęci w Wilanowie przez przewodniczącego Rady Państwa Henryka Jabłońskiego. W dalszym ciągu trwają poszukiwania ofiar katastrofy lotniczej, która miała miejsce nad terytorium Peru. Los piętnastu pasażerów w dalszym ciągu nie jest znany. Wiadomości sportowe. Duży sukces odnieśli polscy lekkoatleci...”



Dowgiello przekręcił galkę radioodbiornika. Zapanowało przykre milczenie. Pierwszy odezwał się Józik:

— To taka polka... No, widzi mnie się, że jak on się od razu nie zabił, to mógł się uratować, nie? Chyba że go małpy porwali, bo tam pełno małp, dziadek tak kiedyś gadali. A jak on u małp pobędzie, to już z niego mały pożytek zostanie...

— Cichaj Józik! — mitygowała go małżonka. — Co ty pleciesz, na głowę ci padło? Gadasz tak, jakbyś z tydzień nie nie pił! A ty, Dezyderiuszku, nie czepiaj się tego radia, to nie twoje!

— „.... Temperatura w nocy: od dziesięciu do czternastu stopni Celsjusza. Temperatura w dzień: od dwudziestu dwu na Wybrzeżu, do dwudziestu ośmiu stopni Celsjusza na południowym wschodzie. Prognozą pogody zakończyliśmy wiadomości. Uwaga. Podajemy komunikat z ostatniej chwili. Jak podaje peruwiańska agencja prasowa »La Prensa «...”

Dowgiello skoczył do przodu jak żbik. Dopadł radioodbiornika i nastawił na cały regulator.

— „....w dniu dzisiejszym w dżungli dorzecza rzeki Madre de Dios polska ekspedycja naukowa odnalazła kilkunastoletniego białego chłopca. Twierdzi on, że przeżył katastrofę samolotu, jest Polakiem i nazywa się Jacek Dowgiello...”

— Jacek!!! — ryknęła pani Dowgiellowa nieludzkim głosem i zemdląła ponownie.

— „.... ustalane są bliższe okoliczności tej sprawy”.

W mieszkaniu zapanował szal radości. Wszyscy całowali się i poklepywali po plecach, odmieniając słowo „Jacek” we wszystkich przypadkach. Józik sięgnął do teczki, wyjął

półlitrową butelkę z napisem „Jarzębiak” i zamaszyście postawił na stole. Stukot ciężkiej flaszki niechęć ocucił gospodynię.

— Jacek! — krzyknęła i... znowu zemdląła.

Tym razem obaj panowie solidnie polali ją wodą. A kiedy się ocknęła na dobre, Józik ponownie grzmotnął butelką o stół.

— Miała być na stypę, będzie dobra na wesele! — zachrząsała zakrętka, trzaskając w sprawnych rękach Józika. — Helenka, dawaj kieliszki! — krzyknął krewniak.

Dowgielłowa spojrzała ze zgorzaniem w jego stronę. W końcu jednak machnęła ręką i otworzyła kredens.

— A róbcie sobie, co chcecie! Jacek żyje, mój Jacuś żyje...

— A nie mówił ja, że się uratował — pisał Józik. — Zuch chłopak, wdał się w mamusię! Sto lat, sto lat, niech żyje Jacek nam... — zaintonował bojowo.

— Din-don! — zaśpiewał dzwonek.

W drzwiach stała sąsiadka z ciekawską miną.

— Czy coś się stało? U państwa tak głośno, że...

Głos jej nagle ugrzął w krtani. Tego to jeszcze nie widziała, jak długo żyje! Gość w żałobie kiwa do niej kieliszkiem z wódką i śpiewa *Sto lat*, a gospodarze, tacy porządni niby, wtórują z weselnymi minami! Już miała wyjść, ale potknęła się o cementarny wieniec i upadła.

— Tfu! Zgiń, przepadnij, maro nieczysta... — wymamrotała.

Podbiegł do niej Dowgielło, podniósł i ucałował w oba pomarszczone policzki.

— Zwycięstwo, pani Kowalikowa, zwycięstwo! Jacek żyje!

— Co też pan... co pan powie... — twarz sąsiadki pojaśniała. — A to? — dodała wskazując na smutną kompozycję goździków i świerkowych badyli.

— To na szczęście, kochana pani Kowalikowa, na szczęście — uśmiechnął się i poprowadził ją do stołu.

Tego wieczora u państwa Dowgieliów świeciło się bardzo, bardzo długo...

*Tajemnica purpurowego kondora,  
czyli w pogoni za szczęściem*

— Jaszek, Jaszek kochany, co ty wyprawiasz, obudź się, Jaszek! — usłyszał nad sobą.

Na twarz kapnęło mu coś, spłynęło do ust. Słone! Ika płacze? Już miał otworzyć powieki, żeby zobaczyć to na własne oczy, kiedy poczuł na ustach słodkawy ucisk.

O, to całkiem przyjemne... — pomyślał.

Ucisk ustał, ale Jacek w dalszym ciągu nie otwierał oczu, jakby oczekując na ciąg dalszy, uśmiechnięty błogo. Ciąg dalszy nastąpił. Ika wyrznęła go z całej siły dłonią w policzek i poprawiła z drugiej strony.

— Oooooj! — jęknął Jacek. — Co?! Baba mnie będzie biła? Niedoczekanie jej! — mruknął agresywnie i podniósł się gwałtownie z szeroko otwartymi oczyma.

— Jesteś oszukaniec! Nastraszyłeś mnie, a potem ze mnie się śmiałeś! Nie lubię ciebie, Jaszek! — nadąsała się.

Chata zatrzęsa się od śmiechu. Tylko Indianka, jak zwykle, zachowywała kamienną powściągliwość. Metys patrzył z niepewnym uśmiechem na trzech białych zarośniętych podróżników w sombrerach.

— Polacy? — wykrztusił Jacek po polsku.

— Ano Polacy — odrzekł Rudzielec, również ojczystą mową. — Witaj, kawalerze! — podał mu rękę i potrząsnął serdecznie. — Nareszcie Jacek Dowgiello zmartwychwstał! — dodał żartobliwie.



— A skąd... skąd pan zna moje nazwisko? — wystękał.

— Kiedy ocknąłeś się po raz pierwszy, zdążyłeś się przecież nam przedstawić, nie przypominasz sobie? — wyjaśnił blondyn.

Jacek patrzył na nich otępiałym wzrokiem. Nic nie pamiętał od momentu, gdy na dźwięk polskiej mowy zemdlął i osunął się na glinianą polepę. Przecież to Polacy! Uratowany! Uratowany! — kotłowało w nim, zagłuszając wszystko inne.

— No cóż, kawalerze... — wstał z ławy Rudzielec. — Pożegnaj się ze swoimi opiekunami i w drogę! A może chcesz tu zostać, co? — przymrużył oko.

Jacek popatrzył na tubylców. Nic nie rozumieli z rozmowy prowadzonej w obcym dla nich języku. Wytłumaczył im po hiszpańsku, o co chodzi. Indianka spojrzała w niebo, jakby dziękując potężnemu Inti. Metys zmarkotniał jak nauczyciel, któremu odbierają pojętnego ucznia, a Ika... Ika zwyczajnie po dziewczynsku rozbeczała się. Obcierając hulaśliwie nos ciemną dłonią w lewo, w prawo i pod górę, płakała Jackowi prosto w ucho:

— Jaszek, nie odchodź, nie odjeżdżaj, nie uciekaj ode mnie... Ja ciebie... ja ciebie... tak lubię! Czy ci tutaj źle? Jaszek, no powiedz!

— Ika, ja ciebie też lubię... — szepnęła. — Ale ja muszę wracać do domu. Dobrze mi u was, ale czeka na mnie dom rodzinny, mama, tata. Wszędzie dobrze, ale w domu najlepiej, comprende? A przedtem jeszcze muszę odwiedzić kolegę w Limie...

— O, to niedaleko! — błysnęła oczami. — Ja bardzo bym chciała...

— Tak, tak, zostawię ci jego adres, ale... ale muszę sobie przypomnieć, bo... — jękał się, czując pustkę w głowie.

— Pan daruje mi moją śmiałość — zwrócił się Metys do Rudzielca. — Ale jeśli panowie nie pogardzą naszym poczęstunkiem, to prosimy do stołu, z serca prosimy — skłonił się z sombreroem w rękę, które na ogół zdejmował tylko do snu. Indianka już ustawiała gliniane miseczki na stole z desek, przed chatą, w cieniu tamaryndów.

— Mogę się założyć, że tego nie przelkną... — mruknął pod nosem Jacek, chłonąc swoim organem powonienia znajome zapachy, powtarzające się codziennie aż do znudzenia w najrozmaitszych konfiguracjach. W jednej wazie parował gotowany bób, w drugiej prażona kukurydza, w trzeciej zaś nowość w tej chacie — banany! Z drugiej strony stołu w obszernej fascie dymila zupa z quinoa, suto zaprawiona cebulą, z dodatkiem gotującej się kapusty, a obok — w płaskim talerzu — papka z ocas. — Ech, dobrze, że już wyjeżdżam stąd, bo gdzie tu mięso, gdzie jajka, gdzie jarzyny, gdzie te południowe owoce... — westchnął Jacek i dyskretnie zezował na obie strony stołu: lewym okiem (tym od serca) obserwował Ikę, a prawym — trzech wybawców. Nie doceniał jednak fantazji rodaków, którzy pochłaniali wszystkie potrawy z bohaterскими uśmiechami na ustach i żaden nie wychodził „na stronę”. — A może rzeczywiście to jest smaczne? Czy to, co robią biali ludzie, musi być zawsze lepsze? — dumał.

Indianka wniosła kadź z parującą ciecżą o kwaśnym zapachu. Metys zaczerpnął pierwszy, ułał po kropli na cztery strony świata i uniósł do góry.

— Su merced\* — zwrócił się do Rudzielca. — Ja nie

\* Su merced (hiszp.) — Wasza wielmożność.

umiem przemawiać jak ludzie uczeni, jestem prostym człowiekiem. Ja chciałem powiedzieć tylko, że się cieszę, że ninio odjeżdża do swojej ojczyzny, con gente blanca y de razon\*. Połubiliśmy go jak syna, ale on tu nie może zostać, bo uschnie jak gałąź odcięta od drzewa. Małego krokodyla trudno wychować bez matki, a anakonda w niewoli odmawia jedzenia nieraz i przez cały rok, ale to łaska niebios, że może powrócić do swojego gniazda, bo długo by tu nie wytrzymał. Tu jest otro mundo, tierra caliente\*\*. Mówią amerykańscy gringos z północy: tierra encantada\*\*\*. Może ona i zaczarowana, ale przez złego czarownika. Ten czarownik mieszka na północy i siedzi na białym tronie. On jest gorszy czarownik niż słońce, bo ze złą przyrodą można się dogadać, a ze złym człowiekiem nie. La tierra para quien la trabaja\*\*\*\* — my to wiemy i pamiętamy o tym cały czas. Ale za jakiś czas będzie tu inaczej. Kiedyś przyjedziesz do nas, Jaszek, z wycieczką i zapytasz: „buenos dias, amigos, que tal?”\*\*\*\*\* A my ci odpowiemy: „witaj, przyjacielu, stęskniliśmy się za tobą, słyhać coraz lepiej”. Chciałbym wznieść ten toast za zdrowie Jacka. I ty zaczerpnij cziczy, chłopcze, nie jesteś już dzieckiem, przecież stałeś się u nas mężczyzną!

---

\* con gente blanca y de razon (hiszp.) — z ludźmi białymi i rozumnymi.

\*\* otro mundo, tierra caliente (hiszp.) — inny świat, ziemia gorąca.

\*\*\* tierra encantada (hiszp.) — ziemia zaczarowana.

\*\*\*\* La tierra para quien la trabaja (hiszp.) — Ziemia dla tego, który ją uprawia.

\*\*\*\*\* buenos dias, amigos, que tal? (hiszp.) — dzień dobry, przyjaciele, co słyhać?

Wszyscy stuknęli się glinianymi kubkami. Z jednej czarki ułało się trochę, spłynęło na ziemię. To Ika zaczerpnęła „z gółą”, by jak najwięcej zdrowia zapewnić Jackowi. Popatrzyła na niego z czcią i szepnęła na ucho:

— Przypomniałeś sobie ten adres?

— Nnnnie... ja... ja nic nie pamiętam — wykrztusił. — Ale dam ci mój domowy, w Polsce. Zaraz wezmę coś do pisania od pana kierownika. A przyjedziesz? — uśmiechnął się.

— Quien sabe?\* — szepnęła wzruszona, załopotana powiekami i uniosła twarz do słońca.

Zastygła tak, jakby próbując wyczytać swój los z gorącego oblicza, które, jak przed wiekami, otwierało i zamykało oczy ludzi, nie pozwalając nawet spojrzeć na siebie. Nagle stało się coś nieoczekiwanego: Jacek usłyszał głos Indianki!

— Słowa ulatują, złoto trwa... — powiedziała z powagą i wcisnęła Jackowi do ręki jakiś twardy przedmiot w kształcie prostokąta.

Popatrzył. Zaiskrzyło złocistym blaskiem. Płytką ze szczerego złota! Jacka zamurowało. No nie, takiego prezentu nie oczekiwał! Z jednej strony wizerunek słońca, a z drugiej... wyryty napis: *ama kella — ama sua — ama llulla\*\**.

— To pamiątka rodzinna... — szepnęła Ika. — Przechodziła z pokolenia na pokolenie. Mama musiała cię bardzo

---

\* Quien sabe? (hiszp.) — Kto to wie?

\*\* ama kella — ama sua — ama llulla (ind.) — nie leń się — nie kradnij — nie kłam.



polubić, kiedy ci to ofiarowuje. Widzisz, ona nie jest taka mała mujer\*, jak ci się wydawało — ścisnęła jego dłoń.

Jacek rozplakał się ze wzruszenia. Usiłował coś powiedzieć, ale... słowa grzęzły w przetyku.

— Hasta maniana, amigos!\*\* — wstał z za stołu Rudzielec.

Jacek próbował pocałować w rękę Indiankę, ale ta z błyskiem zdziwienia w oczach ścisnęła mu dłoń po męsku, a potem... pogłaskała po głowie. Nauczony doświadczeniem, wobec Iki już nawet nie próbował zdobyć się na ten szarmancki gest, ale ona sama podsunęła mu swoją ciemną dłoń aż pod sam nos. Mrużyła przy tym szelmowsko oko, jakby mówiąc: „a widzisz, jestem już europejską damą!” Ze zmkłej zapłakanej kury znowu przemieniła się w wesołą turkawkę. Metys przycisnął chłopca do piersi i ucałował siarczyście w oba policzki, klując kilkudniowym zarostem, a potem długo, długo poklepywał po plecach. Jacek powtarzał w kółko słowo „dziękuję” po polsku i hiszpańsku, bo tylko tyle mógł wykrztusić.

Chata zniknęła za zakrętem kolczastej ścieżki, a Jacek wciąż ich widział, jak stoją: zarośnięty Metys, w sombrero zsuniętym na tył głowy, uśmiecha się, pozdrawiając uniesioną w górę spracowaną pięścią; pomarszczona Indianka zastygła nieruchomo jak miedziany posąg z twarzą ku słońcu; Ika z błyskiem gorących oczu szczebioce coś bez przerwy i klaszcze w dłonie tak głośno, aż papugi pierzchają z wrzaskiem. Takimi ich zapamiętał...

---

\* mała mujer (hiszp.) — zła kobieta.

\*\* Hasta maniana, amigos! (hiszp.) — Do widzenia, przyjaciele!

— Pomożemy ci, chłopcze, przedostać się do Puerto Maldonado, a tam już będą na ciebie czekali... — uśmiechnął się Rudzielec, gdy dotarli do bazy.

Jacek nie pytał o nic, jakby w obawie, że ten fantastyczny sen o ocaleniu pryśnie nieoczekiwanie. Kierownik wyprawy wyczuł obawy chłopca.

— Nie martw się, Jacek, popłyniemy statkiem. Mógłbym wprawdzie wezwać drogą radiową samolot, to trwałoby znacznie krócej, ale... — urwał i przymrużył porozumiewawczo oko.

— Bardzo lubię podróże samolotem, statkiem też, ze względu na naturalny kontakt z przyrodą! — wyrecytował nieco ironicznie Balonowa i odetchnął z ulgą. To zabrzmiało już bardziej po męsku...

— No to świetnie. Możemy się pakować...

— Ja nic nie mam do pakowania! — parsknął Jacek.

— Przecie widzę, że jesteś spa-ko-wa-ny i od dwóch tygodni gotów do odlotu. Cierpliwości! Ej, panowie, wstawcie te dwie skrzynie na jeepa, ale ostrożnie! — krzyknął do dwóch brodatych blondynów w okularach.

— Okay, szefie...

Wkrótce jeep trząsał się już po leśnym trakcie, karbowanym splotem twardych korzeni. Kiedy przejeżdżali koło szkieletu jaguara, Jacek nagle coś sobie przypomniał. Trącił kierowcę.

— Proszę pana, proszę pana, niech się pan zatrzyma!

— Co się stało? — zaniepokoił się Rudzielec.

— Ja muszę się jeszcze z kimś pożegnać! To niedaleko, tuż za śpiewającym źródelkiem...

— No, jak musisz, to idź. Ale pamiętaj, że za półtorej

godziny odpływa statek, a do przystani mamy jeszcze dobre pół godziny jazdy...

Jacek kiwnął głową, przeskoczył przez szkielet króla dżungli i dopadł kępy krzewów, rozjarzonych tęczą gorących orchidei. Rozsunął je i znalazł się na Niewidzialnej Ścieżce. Po chwili zobaczył z oddali chatkę Błedego Starca. Stanął i zapiszczał jak ptak:

— Ku-iiir! Ku-iiir! Ku-iiir!

Był to umówiony sygnał, po którym starzec odkładał zwykle broń (chwytaną na najłżejszy szmer w pobliżu) i wychodził z chaty. A dźwięk to tak rzadki, że wykluczał możliwość pomyłki, bowiem wydawał go ptak zamieszkujący jedynie kontynent afrykański. Tym razem jednak nie było odzewu, nikt Jacka nie powitał. Z sercem na ramieniu wpadł do chaty. Starzec leżał w barłogu ze skór i ciężko dyszał. W półmroku izby płonęły gorączką jego łagodne oczy. Zauważył Jacka i powstrzymał gestem wychudłej ręki. W pomarszczonej pergaminowej twarzy falowało cierpienie. Duży zagięty nos upodabniał go do jastrzębia.

— Nie podchodź, synu, usiądź na progu... — wyrzeźił.

— Dziadku, ja... ja chciałem się pożegnać. Wyjeżdżam do Polski... — powiedział Jacek z drzeniem w głosie.

— Do Polski?! — starzec dźwignął z wysiłkiem głowę do góry. — Boże kochany... Do Polski, powiadasz. Posłuchaj, chłopcze, bo ja też chcę się z tobą pożegnać, ze wszystkimi. Moje godziny są policzone. Słuchaj dobrze, chłopcze, co ci wyznam na łożu śmierci. To będzie tajemnica purpurowego kondora. Ja też go kiedyś szukałem... — starzec przerwał, dławiony atakiem kaszlu.

Jacek nastawił ucha, by nie uronić ani słowa.

— Żebyś wszystko zrozumiał, musiałbym ci opowiedzieć cały mój życiorys, ale już nie zdążę. Co najważniejsze? Pięćdziesiąt lat temu musiałem porzucić dom rodzinny i wyjechać z Europy, a los rzucił mnie tutaj. Byłem już wtedy cenionym przyrodnikiem. Zamiast karczować dżunglę i hodować kozy, zacząłem zbierać rośliny dla pewnej firmy z USA. Czy wiesz, synu, co to była za katorga? Przedzierać się dzień w dzień przez dżunglę, ze szkłem powiększającym w rękę, pośród jadowitych pajaków, niewidocznych węży i Indian, którzy przepędzali mnie i grozili. Łaziłem po bardzo niezdrowych regionach, ale nigdy nie chorowałem na malarię, a na czerwonkę tylko dwa razy. Cud? Nie, chłopcze. Cały czas lekarstwa i chemia, środki ochronne. Jarzyny i owoce myłem w nadmanganianie potasu. Dzięki temu żyłem, ale jak długo mogłem to wytrzymać? Mój pomocnik zachorował i musiałem zostawić go w szpitalu. Bardzo drogie lekarstwa wkrótce wyczerpały mój budżet. Nadałem depezę do firmy i czekałem na pieniądze nie przerywając poszukiwań. Wysyłałem kolejne skrzynie nowych okazów flory, ślepiłem z głodu i wytężonej pracy. Pomocnik zmarł już dwa ubrania, za które byłem mu winien sto dolarów. Odwiedzałem bank, a pieniądze nie nadchodziły. Lekarze... Cóż oni! Zapisywali mi ciągle witaminy, kropelki, maści, kazali lepiej jeść, chciwie wyciągali ostatnie drobniaki z mojej kieszeni. Pieniądze nie nadchodziły. A nie potrzebowałem przecież wiele — tylko tyle, by opłacać pomocnika, koszty wypraw i — przeżyć. Czasami miałem dosyć tego wszystkiego, chciałem uciec. Ale dżungla to narkotyk, chłopcze, ona wciąga, sam wiesz. Głos rozsądku ostrzegał mnie, bym się nie upierał przy samotności, bo



samotność drogo kosztuje, coraz drożej, gdy lat przybywa. Po kolejnej wyprawie ścięła mnie z nóg ciężka anemia tropikalna, bóle serca, duszność, białe paznokcie. To pasożyty ankylostoma, takie maleńkie nitczkowate organizmy, które jakimś sposobem przeniknęły do mojej krwi. Ech, co tu wspominać, wylizalem się jakoś... Potem zawarłem umowę z firmą CIBA na kolekcjonowanie roślin, które mogą mieć właściwości lecznicze. Znowu zrodziła się nadzieja na dobrobyt. Opracowałem długie wykazy roślin oraz sposoby posługiwania się nimi w lecznictwie. Wtedy nosilem już specjalny wełniany płaszcz, gruby i puszysty, który mnie okrywał od stóp do głowy. Wbrew pozorom chronił mnie właśnie od upału, no i przede wszystkim od szarańczy i żmij. Dużo by opowiadać o moich okazach... Wymienię ci, chłopcze, tylko jeden: liana o pięknych żółtych kwiatach, zwana przez tubylców — ajawaska. Zauważyłem, że znachorzy sporządzali z niej napój, który pity w małych dawkach usypiał i wywoływał jakieś narkotyczne wizje. Niektórzy twierdzili, że telepatyczne nawet. Wysłałem tę lianę do firmy CIBA. Tam z jej zdrewniałych łodyg wydzielono cenny środek. Jak cenny? Chłopcze, to harmina, która w postaci kryształków leczy chorobę Parkinsona lub śpiączkowe porażenie mózgu!

Pieniądzy stale brakowało, a ja szukałem ciągle nowych roślin, szukałem i szukałem, bo wierzyłem, że na kolejnym szczycie znajdę swojego purpurowego kondora i uszczęśliwię ludzkość, cały świat zbawię z jego pomocą. Przeszedłem transfuzję krwi, ale choroby pasożytnicze zagościły we mnie na dobre. Lekarstwa osłabiające organizm, brak jedzenia, rozpacz... Machnąłem ręką na zbieractwo. Chciałem uciec

gdzieś na szerokie słoneczne łąki i umrzeć w spokoju, gdzieś w Europie, w moim kraju. Wystarczyłaby mi jakaś nędzna chałupa na skraju lasu, koło spokojnego stawu. Słońce zachodzi, a tu ciągną dzikie kaczki, skrzeczą gęsi w locie, chrapią słonki, pachnie ziemia rodzinna...

Starzec zadyszał się. Umilkł. Z oczu spływały mu łzy. Znów zatrzęsł się kaszlem. Jacek oczekiwiał z zapartym tchem na dalszy ciąg spowiedzi starca.

— Myślałem często: jeszcze trochę, jeszcze trochę, jeszcze kilka roślin, które mogą uratować ludzkość, a potem już powrót, już ojczyzna. Tak, mój drogi chłopcze, marzyły mi się strony ojczyste, ale coraz częściej obezwładniała świadomość, że życie mija szybko, a końca mojej pracy nie widać... Dzięki reklamie firmy CIBA byłem narażony na coraz częstsze wizyty dziennikarzy, napastliwych, żądnych sensacyjek. Nie nadażalem wietrzyć pokoju, zbiory nasiąkały papierosowym dymem. Pożytku z tych wizyt żadnego, tylko smród i zmęczenie. Doszło do tego, że musiałem uciekać przed ludźmi do dżungli! Oczy odmawiały posłuszeństwa. A przyczyna mojej ślepoty była prozaiczna: głód. Spożywałem zaledwie jeden posiłek w ciągu dnia, ale coraz dalej tłukłem się w moich wędrówkach. Po jedną roślinkę leciałem na przykład siedemset kilometrów samolotem na północ, następnie trzysta kilometrów rozklekotaną ciężarówką, a potem jeszcze na mułach serpentyną nad urwiskiem. Popadłem w długie i zaledwie na ich spłacanie starczała pensja z CIBA. A z czego żyć?

Znowu zmogła mnie choroba, więc dałem dozorcę domu list do firmy, wysupłałem ostatnie sole na znaczek i taksówkę. Wziął forszę i zniknął. Z czego żyć?... Oddałem w

zastaw projektor wartości piętnastu tysięcy soli, dostałem za niego tysiąc pięćset soli, wydałem i — znów głód. Przez trzy dni nic nie jadłem, musiałem więc znaleźć sobie jakieś zajęcie, by nie umrzeć z głodu. Pożyczyłem od sąsiadki wózek i krążyłem po miasteczku jako handlarz oliwkami i świecami. Zarabiałem zaledwie czterdzieści soli dziennie, co nie starczało nawet na sam czynsz. Znowu zdychałem z głodu. Pani sekretarka z CIBA zlitowała się nade mną jak nad żebrakiem, dała jałmużnę ze swoich prywatnych pieniędzy. Zjadłem za nią w barze dwa jajka z chlebem i wypilem kawę. Pytałem siebie: za co to wszystko na mnie spada? Przecież tyle osiągnąłem, tak wysoko wdarłem się już w pogoni za purpurowym kondorem?!

Myślałem już, że umrę. Kiedyś około północy nagle zaczął się krwotok. Uratowała mnie gospodyni, wezwała pogotowie. Zastrzyki, mocna kawa całą noc. I znowu wszystkie pieniądze, otrzymane z firmy jako zadatek za przyszłe zbiory, pochłonął szpital i lekarze. Jeść prawie nie mogłem, bo najmniejsze ilości tłuszczu powodowały atak ostrych bólów żołądka. Leżałem na pryczy jak kłoda i było mi zwyczajnie żal, że nie zdołałem opracować wyników mej pracy dla CIBA. A zebrałem kolekcję ogromnej wartości. Pochłonęła mnóstwo pieniędzy, no i przede wszystkim kosztowała mnie utratę zdrowia. Zebrałem w sumie około stu tysięcy okazów. Chłopcze, czy ty wiesz, co to znaczy? W końcu musiałem sprzedać miejscowej placówce naukowej cały ekwipunek kolekcjonerski za jedyne dwadzieścia pięć dolarów. I te pieniądze też pochłonęła choroba. Zalegałem już cztery miesiące z czynszem, sprzedałem nawet łóżko. „Wróć do kraju” — radzono mi. Łatwo powiedzieć „wróć”.

Zawsze marzyłem o powrocie, ale... Co powiedzą na widok oberwanego nędzarza? Rodziną czeka na bogacza, a ja nie miałem nawet porządnego ubrania, by wrócić do cywilizowanej Europy. Nie, nie miałem po co wracać między swoich, nie miałem...

Starzec przerwał i znowu łzy spłynęły mu po policzkach. Kaszel miotał nim coraz silniej. Jacek z drzeniem serca nasłuchiwał, czy nie zabrzmiał dźwięk klaksonu ponaglający go do powrotu. Musiał przecież wysłuchać tej historii do końca, musiał.

— Byłem stary, chory i bez pieniędzy. Czyż może być na tym świecie człowiek bardziej godny pogardy i potępienia... No i stał się cud! Dyrekcja firmy przekazała mi wspaniały dar: aż trzydzieści tysięcy soli, majątek! A więc ruszyło ich sumienie, a może chcieli mnie odrestaurować, jak remontuje się zepsuty silnik, by mógł znów pracować... Połowa tej kwoty natychmiast poszła na spłacenie długów, a resztę wydałem w ciągu miesiąca na zaległe czynsze, lekarstwa i lekarzy. Co lekarze? Kazali zmienić klimat i otoczenie. Może bym i próbował wyjechać do Europy, ale wówczas mój kraj nie posiadał jeszcze w Peru ambasady i wszystko musiałbym załatwiać w Meksyku. A do tego znowu potrzebne były pieniądze i choćby trochę zdrowia. Emerytury nie mogłem uzyskać w Peru, ponieważ wciąż byłem obywatelem mojego ojczystego kraju, a paszport — wystawiony jeszcze przed drugą wojną światową — był już nieważny. Spakowałem mój cały dorobek w dwie solidne skrzynie. W jednej książki z botaniki i entomologii, zapiski z wypraw do dżungli, trochę eksponatów roślinnych. W drugiej zaś kolekcja fotografii czarno-białych oraz koloro-



wych slajdów. Te dwie skrzynie, dorobek całego życia, postanowiłem ofiarować mojej ojczyźnie — najcenniejsze, co mogłem jej ofiarować... Ale na jaki adres wysłać? Tyle lat na obczyźnie, a tam, w kraju, wszystko mogło się zmienić... Napisałem: „Muzeum Narodowe, Warszawa, Polska”. Po tygodniu otrzymałem wiadomość, że statek, który wiozł moje skrzynie, zatonął wraz z całym ładunkiem! Czy ty rozumiesz, chłopcze, co ja wtedy poczułem? Uciekłem do dżungli, zbudowałem chatkę i żyję w niej jak pustelnik albo dzikie zwierzę...

Starzec umilkł, targany nowym atakiem kaszlu.

— Co za przejścia! — wzdychał Jacek.

— Czy wiesz już, chłopcze, gdzie należy szukać purpurowego kondora? Należy szukać go tam, gdzie nie dociera przekleństwo tropiku, bardzo wysoko i bardzo daleko, najlepiej we własnym kraju. Bo purpurowy kondor nie istnieje jako ptak; jest on tylko tęsknotą za szczęściem, które pragniemy odszukać i zdobyć jak najdalej od własnego domu. Gonimy wtedy, szukamy, włączymy się. A kiedy zmarnujemy życie tak, jak ja zmarnowałem, żeby wreszcie zrozumieć, że między swoimi szukać trzeba — jest już za późno na powroty, za późno...

Jacek rozplakał się, pocałował starca w rękę i patrzył na niego jak zahipnotyzowany.

— Dlaczego tak jest na świecie, że ludzie wybitni umierają w samotności, dlaczego... — zaciskał zęby.

Jastrzębia twarz starca poruszyła się niespokojnie. Śmiertelnie znużone oczy zajaśniały znowu.

— A jak będziesz już w Polsce, to... — zaczął, ale w tym momencie ostro zabrzmiał klakson.

Jacek zerwał się.

— Idź już, chłopcze, idź, czekają na ciebie, jesteś potrzebny, po-trze-bny... — wychrypiał z największym wysiłkiem.

Jacek wybiegł z chaty zielarza i sadził susami, jakby go kto gonił. Dopiero siedząc w jeepie uświadomił sobie, że przecież ostatnie zdania starzec wypowiedział najczystszą polszczyzną! Dlaczego wcześniej nie przyznawał się, że jest Polakiem? A nawet i potem, gdy wiedział, że Jacek wraca do Polski? Wyjawił wprawdzie, że paczki adresował: „Warszawa, Polska”, ale nadal rozmawiał po hiszpańsku, dlaczego? Za późno było już, niestety, na dyskusję ze zgorzkniałym emigrantem. Czas naglił. Jeep rwał do przodu, podskakując na korzeniach.

— Panie inżynierze, błagam pana, niech pan poprosi lekarza o zajęcie się tym staruszkim, błagam, to wybitny uczony, Polak! — zakończył pobieżną relację z wizyty w chacie za śpiewającym źródelkiem.

— Załatwione, chłopcze, już go wywołuję... — odparł Rudzielec.

Lekarz pozostał w obozie, ale na szczęście radiostacja działała bez zarzutu.

Kiedy dotarli do przystani, statek stał już pod parą. Była to brudna rzeczna lajba, zawałona stosami drewna, workami z mnóstwem towarów i tobołami pód różnyh o różnyh kolorach skóry, stłoczonych na dolnym pokładzie jak w warszawskim tramwaju. Jacka ułokowano na górnym pokładzie, gdzie było trochę luźniej i przewiewniej. Ledwie usiadł, a to przedpotopowe straszycło gwizdnęło dwa razy, parsknęło sadzą z olbrzymiego komina i odsunęło się

sprawnie od brzegu, perkocząc z wdziękiem wąskotorowej ciuchci. Załadowany po brzegi wehikuł nie wzbudził jakoś w Jacku zaufania, ale nie zanosiło się na to, by miał zamiar tonąć bądź zepsuć się. Jednostajnie przesuwwały się wysokie brzegi rzeki, porośnięte gęstym kłębowiskiem zieloności, niemal martwe w popołudniowym milczeniu. Od czasu do czasu przemknęła banda wrzeszczących papug, błyskając amarantowymi brzuskami i metalicznym lazurem skrzydeł. Ściany puszczy jakby wyrastały wprost z wody. Wtem przez wylom w lesie błysnęła rdzawa czerwień sawanny.

Nie, to niemożliwe! Sawanna tutaj?! — pomyślał Jacek. — Nie, to fatamorgana albo sejmik rudych małp... A tam ktoś rzępoli na skrzypeczkach, jakoś tak na jednej nucie. To rzesze koników polnych, prawie jak w Polsce!

Beztrouski skrzekot papug raptem nabrał wyższych obrotów i drżał już niepokojem: to jastrzębie wyruszyły na łów. Sternik zręcznie manewrował po szeroko rozlanej rzece, klucząc między groźnymi zaporami martwych pni. Nagle coś skoczyło mu na plecy, jakieś zwierzątko. Ani drgnął, wpatrzony w burzliwy nurt.

— Małpka! — krzyknął Jacek.

Na ramieniu sternika przysiadło małe zielonkawe stworzonko, kolebiąc dużym cebulastym łebkiem, osadzonym na drobnym ciałku. Pod żółtą grzywką marszczył się czarny pyszczek, a białe włosy śmiesznie fruwały na ogromnych uszach. Wlepiła w Jacka błyszczące bursztynowe ślepki, jakby w zdumieniu, że coś tak jasnego i pulchnego może istnieć na świecie.

— Sakiwinka... — mruknął Rudzielec, milczący do-

tąd. — Urocze stworzenie. Jej kuzynka, chiropotes satanas...

— Jak? — przerwał Jacek, bo zgrzytnęło mu w uchu czeluścią piekielną.

— Chiropotes satanas, mój drogi, czyli szatanka. Ona nie jest już taka urocza jak ta tu sakiwinka. Ma czerwoną twarz i długą czarną brodę — wyjaśnił.

Sakiwinka tymczasem najwyraźniej upodobała sobie czapkę sternika i ułożyła się na niej wygodnie, tworząc mu na głowie naturalną futrzaną dekorację.

Zmierzch stłumił słoneczną poświatę, zapowiadając, że za kilka minut zapadnie podzwrotnikowa noc. Puszcza ożyła gwałtownie. Targnęły powietrzem przejmujące zawrozczenia na najróżniejszych pułapach dźwięku i w osobliwych tonacjach, jakby wszystkie rude małpy uwieszone gałęzi zawyły jednocześnie. Gdy ściemniło się zupełnie, małpi chór uspokoił się. Było głucho i parno. Z głębi dżungli miauknęło czasem coś, zaryczało, ciszę rozdarł śmiertelny skowyt i znowu tylko sapanie stateczku. Reflektor na dziobie oświetlał wodną drogę. Od czasu do czasu odzywała się syrena, przeraźliwym gwizdem informując obdartych i wychudłych tubylców w mijanych wioskach przybrzeżnych, że oto zbliża się pływający dom towarowy, z mnóstwem cetnarów soli, mydła, litrów nafty i łokci płótna, a za chwilę zatrzyma się przy brzegu, przerzuci kładkę i będzie czekał na chętnych. Amatorów zamiennego handlu nie brakowało. W miarę jak zbliżali się do celu, ubywało towarów, a ich miejsce zajmowały worki z fasolą i kawą. Jacek schronił się do kabiny, bo moskity nie żartowały. Samo tylko brzęczenie tych miniaturowych morderców mogło przyprawić Europej-



czyka o szaleństwo. Zmorzył go sen. Kiedy się ocknął, statek stał już w porcie. Tłum podróżnych tłoczył się przy kładce.

— Puerto Maldonado! — zawołał Rudzielec, potrząsając chłopca za ramię.

Port jaśniał setkami różnokolorowych świateł, ale nie wyglądał imponująco. W ich blasku czerniały zarysy brudnych baraków, zbitych z desek bud i składów drewna. Jacek nie zdążył nawet dobrze obejrzeć portu, kiedy wsiedli do jeepa w brązowo-zielone łaty i ruszyli z piskiem hamulców. Dzierżący kierownicę żołnierz co chwila spoglądał w lusterko na dwóch pobladyłych dżentelmenów i krzywił się pod czarnym wąsikiem. Wprawdzie Jacek słyszał co nieco o brawurze południowoamerykańskich kierowców, ale to, co wyprawiał ten żołnierz, graniczyło z obłąkaną fantazją samobójcy, który marzył od dzieciństwa o cyrkowej karierze w tak zwanych beczkach śmierci... Po serii szaleńczych akrobacji na zakrętach dotarli jakoś szczęśliwie na lotnisko! Podjechali pod sam pas startowy, na którym czekał już wojskowy helikopter. Jacka ogarnął lęk, ale trzymał fason. Spojrzał pytająco na Rudzielca. Ten uściskał chłopca serdecznie.

— No cóż, kolego, moja rola tu się kończy. Pozdrów ode mnie swojego druha i Cusco! Do zobaczenia w kraju!

— Nie bój się, kawalerze, głowa do góry! — przemówił po hiszpańsku pilot. — Wypadki na naszym lotnisku bywają rzadko, przeciętnie raz na pięć lat, a ostatni zdarzył się zaledwie rok temu. — No, siadaj, brachu, bo Estevan czeka!

Jacek aż otworzył usta ze zdziwienia, ale nie pytał o nic.

Nie chciał, by ktokolwiek mógł sobie choć przez moment pomyśleć, że on, Jacek Dowgiello, polski harcerz ze sławnego zastępu Kosynierów, choć przez chwilę waha się, obawia czegokolwiek, odczuwa strach. Dopiero gdy znaleźli się w środku, zapytał pilota:

— A skąd pan wie, senior, o Estevanie?

Lotnik uśmiechnął się wyrozumiale i machnął tylko ręką...

Maszyna nabrała wysokości, unosząc w swoim wnętrzu Lolka Balonówę, którego morzył sen.

— Cusco... — mruczał do siebie. — Cusco, miasto królów, Cusco, Estevan...

Na płycie lotniska stał Rudzielec. Kiwał dłonią w pożegnalnym geście dotąd, aż małeńki świetlik helikoptera zginął zupełnie w ciemnościach tropikalnej nocy.

„Amigo! Que gusto!”  
czyli powitanie Estevana

Energiczne pukanie do drzwi wyrwało Jacka ze snu.

— Kto to się tak tłucze, pospać nawet nie można, skandal... — mruzczał rozżalony. Przewrócił się na drugi bok. Pukanie powtórzyło się.

— Adelante!\* — jęknął. — Co za ludzie, przecież ja mam wakacje...

Szarpięcie klamką uświadomiło mu, że hotelowe drzwi są zamknięte od środka. — No jasne, przecież ja już nie jestem w dżungli — ziewnął i wygramolił się jakoś z ciepłego tapczanu. Szczęk odsuwanej zasuwki i...

— Amigo! Que gusto! — krzyknął Estevan i rzucił się Jackowi w objęcia. — Aleś się zmienił, Lolek.

— Ja? To złudzenie optyczne. Zobaczysz, że po śniadaniu wrócę do normy! — odparł.

No i zaczęło się poklepywanie, nie pierwszozna przecie dla Jacka.

— Uuuu, ale masz krzepę, chłopie! — syknął Estevan, rozprostowując obolałe plecy. — To i tego tu cię nauczyli?

— A tak, nauczyłem się tutaj wielu rzeczy... Podróże kształcą, jak mawia babcia Paulina — przymrużył oko Jacek.

Po chwili wysoki smagły chłopiec o czarnych kręconych

\* Adelante! (hiszp.) — Proszę wejść!

włosach siadł do stołu z niskim okrągłym blondasem, którego radosnej pulchności nawet tropikalna opalenizna nie zdołała zakryć. Przy kawie z mlekiem przegadali chyba z godzinę. Wreszcie Estevan wstał.

— Harcerz Dowgiello, zbiórka! Idziemy na zwiad! Muszę cię rozruszać! A samolot odlatuje dopiero o piętnastej dwadzieścia, mamy mnóstwo czasu.

Chłopcy wybiegli z hotelu. Z tarasu roztaczał się wspaniały widok na położone w słonecznej dolinie miasteczko. Morze czerwonych dachówek falowało w złocistych smugach, a Jackowi zdawało się, że widzi słomiane strzechy przetykane pasmami złota najwyższej próby, jak przed czterystu laty, gdy dziewięćdziesiąt tysięcy wówczas Cusco\*, miasto królewskie, było pępkiem świata, stolicą najpotężniejszego na kontynencie imperium. Oto za chwilę z palacu królów wysunie się złota lektyka rozjarzona drogimi kamieniami i lud padnie na twarz przed namiestnikiem boga Inti na ziemi — cesarzem Inką...

— Jacek, nie śpij, bo spadniesz z piedestału! — poczęstował go sówką w bok Estevan.

Ocknął się. Zeszli niżej, zeskakując po tysiącach stromych schodków między wąskie kręte uliczki.

— To Jatuirumijoc, co w języku keczuańskim znaczy: Ulica Wielkich Kamieni — objaśnił Estevan, gdy znaleźli się w ciemnym i wilgotnym kanionie, obwarowanym z obu stron murem sięgającym pierwszego piętra. Mur składał się z olbrzymich głazów, ułożonych jeden na drugim. Jacek nie zauważył między nimi ani śladu cementu ni żadnej zaprawy.

---

\* Cusco (ind.) — Pępek.



— O rany, jak one się trzymają kupy, jakim cudem? Przecież to kolosy, chyba po pięćdziesiąt ton! — aż gwizdnął z podziwem. — Przecież trzeba je było wwindować na siebie, a wtedy nie znano jeszcze koła, nie mieli wozów ani taczek! — dodał.

— Każdy waży co najmniej dwieście ton, a trzymają się rzeczywiście bez zaprawy. Są idealnie wyszlifowane i dopasowane do siebie. Jak zbudowano? Są różne koncepcje. Jedni mówią, że pocierano te skały jakimś ciemnoczerwonym zielskiem, które spulchnia kamienie, a nawet metale rozpuszcza, no, ale to mniej ważne. Druga koncepcja z pewnością bardziej cię zainteresuje: glazy cięto laserami, jacyś wysłannicy z kosmosu... — Estevan urwał.

— Zdziwisz się, ale bliższa jest mi ta pierwsza technologia, niestety... — oświadczył ponuro Balonówa, no i opowiedział Estevanowi przygodę ze srebrnymi ostrogami...

Szli dalej. Nagle Jacek aż podskoczył z wrażenia: na styku dwóch glazów bieleły ludzkie kości...

— Trup w murze?! — jęknął.

Estevan uśmiechnął się pobłaźliwie. Zrobił mądrą minę początkującego filozofa.

— Wyobraź sobie, że to nie trup, a podpis mistrza na zakończonym dziele. Budowniczy świątyni Coricancha\*, kiedy zakończył jej wznoszenie, długo zastanawiał się, jaki ślad pozostawić po sobie, by przetrwał wieki. Wreszcie kazał sobie obciąć jedną rękę i umieścił ją głęboko w murze, na pamiątkę — zakończył z nabożeństwem Estevan.

---

\* Coricancha — złota świątynia, w której chowano mumie zmarłych władców przybrane w uroczyste szaty i szczerozłote maski na twarz.

— Phi! — wyduł usta Jacek. — Szkoda ręki. Mógłby nią jeszcze wiele takich świątyń postawić. A jakim cudem te kamienie nie rozleciały się przez tyle wieków, te mury ulic i w ogóle? Przecież trzęsienia ziemi...

• — Oj, Jacek, Jacek, przecież to nie to samo, co stawianie bloków metodą wielkopłytkową — ciach, ciach, łapu-capu i wiezowiec stoi. A stoi dlatego, że u was, w Polsce, trzęsien ziemi w ogóle nie ma. Budowa takiej świątyni trwała nieraz całe dorosłe życie jednego pokolenia, to i ręka po raz drugi nie była potrzebna, *comprende?* A jeśli chodzi o trwałość, to wyobraź sobie, że piątego maja tysiąc dziewięćset pięćdziesiątego roku było trzęsienie tutaj, straszliwe trzęsienie ziemi, po którym wszystkie budowle hiszpańskie, i te współczesne, runęły, zamieniły się w kupę gruzu, a przetrwało tylko to, co było inkaskiego pochodzenia. Mówi ci to coś?

Weszli na bardzo ruchliwą uliczkę. Ogarnął ich barwny tłum brązowomiedzianych twarzy w bogato haftowanych strojach. Na głowach mężczyzn i kobiet chwiały się filcowe kapelusze ozdobione piórami. Kobiety w płaszczach i czerwonych kubraczkach trzymały się osobno, a mężczyźni w żółtych i brązowych ponczo w męskim gronie milczeli na interesujące ich tematy.

— Na co dzień chodzą w drelichowych łachmanach, słomianych kapeluszach, przykryci od zimna postrzępionymi kocami, a dzisiaj chyba jest jakieś święto, popatrz, jaka elegancja! — mruknął Estevan.

Jacek spojrział. Prowadzone przez Indian muły miały zatknięte za uszami bukieciki świątecznych kwiatów. Do tej radości nie pasowały tylko ich mroczne twarze, zacięte w uporze, ale zmizerowane, schorowane.

— Czy ci wątpi i smętni koczownicy, o spojrzeniach posepnych filozofów zapatrzonych w przeszłość, zdolni byli tworzyć onegdaj wielką siłę roboczą do wznoszenia tak potężnych budowli? — zastanawiał się Jacek. — A może posługiwali się niewolnikami? Te glazy musieli dźwigać ludzie, bo lamy są zbyt słabe, a koni wtedy tu nie było... — dumiał Jacek.

Wątpliwości te obsesyjnie dręczyły go, powracały za każdym zakrętem inkaskich uliczek. Mijali tkwiące nieruchomo na rogach ulic posągi z brązu, a obok nich budki telefoniczne. Na tle starych murów cieszyły oko przybysza kolonialne domy, skrzące się ozdobnymi złoconiami pośród fantazyjnych balkoników i podcieni z modrzewia. Gdzieś tam z boku postrzępionej i wykruszonej tradycji wyrosły zupełnie nowe osiedla, ale mimo to Cusco żyło nadal stęchłą przed czterech wieków, zapyziałe w zastygłej przeszłości, niemal odcięte od świata serpentynami, które przejezdne są tylko w porze suchej. Pociąg kursuje tu okrężną drogą, a stary wysłużony samolot startuje tu dwa razy w tygodniu.

— Popatrz na te lamy! — trącił go Estevan.

Przechadzały się po rynku z godnością i wtykały swój łagodny, ale ciekawski pysk między grupki barwnych Indian. Zaglądały do środka, jakby prosząc również o zabranie głosu. Gdyby mogły mówić, powiedziałyby zapewne: „My, lamy, stanowczo protestujemy przeciwko obarczaniu nas nadmiernymi ciężarami. My, królewskie lamy, nie jesteśmy głupimi mułami do dźwigania. Jesteśmy stworzone do wyższych celów!” Jedna z nich wywołała właśnie mały skandal na środku rynku. Gromadka chichoczących Mety-



sów obstała odświętnie ubranego pobratymca, który mamrocząc coś obcierał rękawem twarz z plwocin. To jego lama strzyknęła złośliwie spomiędzy zębów żółtą gęstą śliną i znieruchomiała jak posąg, z przekrzywioną mordką, w oczekiwaniu, aż właściciel zmańdrzeje i zdejmie z jej grzbietu te dodatkowe kilogramy, którymi ją obarczył, chcąc przechytryć zwierzątko. Nic z tego — lama ma czujny grzbiet i zna swoją miarę.

Przez wąskie zaułki przedzierały się wielkie limuzyny turystów, głównie z rejestracją USA. W rynku wysiadali i urządzali przedstawienia, które dla Jacka nie były nowością...

Oto opasły gość wspaniałomyślnym gestem rzuca w górę garść drobnych monet, które spadają na bruk, a na monety spada gromadka rozwrzeszczanych Indianiątek — jak stadko głodnych wróbli na garstkę pszenicy. Idą w ruch piastki, trzeszczą poszarpane porcięta i wyświechtane kolorowe kuźmy, a nad tym kłębowiskiem walczących unosi się chmura brunatnego kurzu. Żona dobroczyńcy terkocze kamerą filmową, wycelowaną w stertę szarpiących się tubylców. On rzuca następną garść drobnych, i wtedy nie wytrzymuje dwóch miedzianoskórych żebraków, tkwiących w kucki pod murem. Nurkują w kłębowisko, odpychają smarkaczy i łapczywie zgarniają miedziaki. Kamera znowu terkocze, nalana twarz turysty jaśnieje zadowoleniem.

Gromadki odświętnie ubranych Indian zatrzymują się i w milczeniu obserwują kolejny akt upodlenia. Ich ciemne twarze ciemnieją jeszcze bardziej w bezsilnej wściekłości.

Jak można tak poniżać nas, którzyśmy stworzyli taką kulturę, tak wiele doskonałości?! A wy, kim wy jesteście?



Przewyższacie inne narody tylko dobrobytem. Ale wasz dobrobyt jest napiętnowany nędzą czarnych i czerwonych niewolników, ich nędzą, ich kalectwem, ich śmiercią nawet. Zabijacie nas bez skrępulów, tak samo, jak zabijacie dżunglę...

Tłum miedzianych twarzy gęstniał wokół błyszczącego czarnego auta. Milczący krąg zacieśniał się coraz bardziej ze wszystkich stron. Ręka z kolejną porcją miedziaków zawisła w powietrzu, uśmiech zastygł na opasłej twarzy. Spojrzał jeszcze raz na kordon groźnych postaci. Milczały złowrogo, wpatrzone w niego. Syknął coś w rodzaju „hołota!” i czym prędzej usadowił się w aucie, a za nim kobieta, trzymająca kamerę wysoko nad głową, jakby w obawie, by jej ktoś nie połamiał. Trzasnęły drzwi, limuzyna z wciśniętym wściekle klaksonem ruszyła z miejsca. Na bruku pozostało tylko kilka żółtych monet, na które nie było już chętnych... Za moment znowu zaroilo się i życie Cusco zafalowało normalnym sennym rytmem. Chłopcy stali jeszcze dłuższą chwilę na rynku, urzeczeni kolorowym rozgardiaszem. Owionęła ich atmosfera czterech wieków.

— A ta podmurówka hen daleko, to co? — ocknął się Jacek, wskazując palcem na pobliskie wzgórze, na którym czerniły się z oddali ruiny jakiejś budowli.

— Ładna mi podmurówka, wyrośnięta, sześćset metrów długości i dziewięć wysokości! — ironizował Estevan. — Ładna podmurówka, nie ma co. Przecież to Sacsahuaman, człowieku! Dwadzieścia tysięcy niewolników budowało przez dziesięć lat tę fortecę, a Hiszpanie zdobywali przez pięć miesięcy potrójny rząd murów z cyklopowych głazów, każdy po dwieście-trzysta ton. Tyle trzęsień ziemi targęło tą

doliną, a te mury stoją... Ale chodź, mam pewien pomysł — Estevan nachylił się nad Jackiem i coś poszeptał mu do ucha.

Po chwili obaj skradali się za dużą grupą Indian wolno kroczących gdzieś w kierunku przedmieścia. Wreszcie utknęli w tłumie tuż za ostatnimi domkami. Był to cel pielgrzymki. Indianie oblegali obszerną zagrodę z drągów, coś w rodzaju wybiegu do ujeżdżania koni. Czerwone klepisko było jeszcze puste.

— Widziałem takie na westernach — mruknął Jacek.

— Ciii... — Estevan położył palec na ustach. — Western to dopiero się zacznie...

W rozgardiasz podnieconych głosów wsączał się coraz głośniejszy jasny dźwięk fletu. Gwar buchnął mocniej, gdy na arenę wkroczył powoli byk, a na jego grzbiecie... kondor z nogami związanymi sznurkiem. Ptak trzepotał skrzydłami, ale ciągle tkwił w jednym miejscu jak przytrzymywany jakimś biologicznym magnesem.

— Jakim cudem on nie spada, przecież ma związane nogi — szepnął Jacek.

Flety zawodziły coraz głośniejsze.

— Nie spadnie, bo jest przyszpilony do grzbietu byka przy pomocy specjalnej igły. Patrz, co teraz będzie — wyjaśnił Estevan.

Ptak próbuje się oderwać, trzepocze skrzydłami, dziobie byka. Jego ohydna naga głowa na gładkiej czerwonej szyi, wyrastającej spośród białej krezy, miota się gniewnie. Gruby czarny grzebień na czole podskakuje żałośnie. Krople brunatnej cieczy spływają po grzbiecie byka. Zranione zwierzę skacze jak oszalałe i usiłuje zrzucić z

siebie kondora. Tłum wpada w ekstazę, dopingując ptaka.

— Dlaczego oni tak się podniecają? — mruknął Jacek, nie potrafiąc zrozumieć naglej metamorfozy tych miedzianoskórych flegmatyków.

— Bo to symboliczna walka Indianina z konkwistadorem, z prześladowcą. Kondor to Indianin, a byk to okupant, *comprende?* — wyjaśnił Estevan.

Nagle flety milkną. Na arenę wchodzi mistrz ceremonii w specjalnej koronie z piór. Zakłada kondorowi naszyjnik z koralików i tak udekorowanemu ptakowi podsuwa pod dziób garnuszek wypełniony jakąś cieczą. Ptak pije, trzepocząc czarnymi skrzydłami, na których jaśnieją białe lotki.

— Poi go cziczą, by ptak odzyskał siły — wyjaśnił Estevan, widząc, że kolega coraz mniej rozumie z tego obrzędu. — Dawniej walka trwała dotąd, aż byk padł martwy, ale dzisiaj kryzys, bydło drogo kosztuje i szkoda zabijać — dodał.

Kondor-zwycięzca wziął rozbieg, zatrzepotał ramionami, podskoczył do góry, odbił się jeszcze ze dwa razy od ziemi i ciężko wzniósł się w przestrzeń, nabierając szybkości za pomocą kilku potężnych, choć powolnych uderzeń skrzydłami, których rozpiętość z pewnością przekraczała trzy metry. Wkrótce znieruchomiał w powietrzu, szybując jak samolot.

— I ty chciałeś wyrwać pióro takiemu drapieżnikowi? — Estevan pokiwał głową z powątpiewaniem. — Mógłby cię zabić jednym uderzeniem dzioba albo oślepić przynajmniej. A i znaleźć go trudno, bo gnieździ się wysoko w górach, w niedostępnych szczelinach skalnych. Żyje długo, nawet

pięćdziesiąt lat! To bardzo mądre ptaki, uczują zgodnie, nie biją się o padlinę... — umilkł na chwilę. — Kondor jest symbolem swobody Inków. Bo oni są jak ten kondor. I to ich najbardziej boli, nie mogą o tym zapomnieć i nie chcą! Oj, chyba już późno?! — Estevan spojrział na zegarek.

Chłopcy pędem zawrócili w kierunku miasta. Kiedy wpadli na lotnisko, okazało się, że lot przesunięto o godzinę.

— No to zaczyna się maniana — mruknął Jacek, a Estevan tylko machnął ręką.

Nowoczesny port lotniczy w Cusco prezentował się okazale. Z przestronnymi oszklonymi halami z żelaza i betonu kontrastowała ciżba handlarzy pamiątek, którzy natrętnie oblegali podróżnych, rozkładając na wiekach tekturowych walizek swoje cudenka. Czego tam nie było!...

— Oryginalne maczety z epoki Inków, oryginalne maczety tanio sprzedam, seniores! — złapał za rękę Jacka gruby spocony Metys z sombrero dyndającym na plecach.

Estevan wyszczerzył chytrze zęby i wziął do ręki maczetę. Popluł na pokryte patyną czasu ostrze i przetarł ręką. Ukazał się jakiś napis:

— „Made in Japan”... — odsylabizował Jacek i obaj parsknęli śmiechem, a rozzłoszczony Metys poczłapał ze swoim kramem na drugi kraniec hali.

Samolot linii Faucett kołował już na pasie startowym. Jacek popatrzył raz jeszcze na królewskie Cusco. Stadko lam niczym karawana małych wielbłądów cwałowało po bruku drobnymi kroczkami. Zatrzymały się nagle w bezruchu, obserwując ze zdziwieniem wielkiego srebrzystego ptaka, który dudniąc i hucząc, zawracał na twardej ścieżce z



betonu. Gromada Indian w kolorowych kuźmach w geometryczne wzory tkwiła nieruchomo jak posągi przodków. Spod czapeczek chullos\* świeciły się smutne oczy władców tej ziemi.

— Wiatru nie ma, chyba odlecimy — zauważył Estevan tak obojętnym tonem, jakby to, że mogliby na przykład nie odlecieć, było najzupełniej naturalne i również możliwe...

Kiedy samolot uniósł się w powietrze, Jacek zacisnął zęby i dyskretnie rozejrzał się wokół. Nie zauważył jednak nic podejrzanego i ochoczo zabrał się do jedzenia. Stewardesy co chwila przynosiły kanapki, słodczyce i napoje. Jadł z taką determinacją, jakby chrzęstem pracowicie poruszających się szczęk chciał zagłuszyć wszelkie wątpliwości i rozterki wywożone z Cusco, no i tę odrobinę lęku, która kryła się w nim głęboko, ale dawała znać o sobie...

Ledwie zdążył zjeść, stewardesa przypomniała o tym, że do każdego siedzenia w samolocie podłączona jest rurka tlenowa z wysterylizowanym wymiennym ustnikiem, który należy włożyć do ust, gdyby ktoś z szanownych pasażerów poczuł się gorzej. Jakoż i wkrótce Jacka zaczęło mdlić, głowa pękała w szwach, a wargi wyschły gwałtownie i... zaczęły pękać! Czym prędzej włożył do ust gumowy smoczek. Estevan również nie czuł się normalnie, bo chwycił ustnik i trzymał go pod nosem.

— Soroche\*\*, tylko soroche — mruknął Estevan.

---

\* chullos — wełniane czapeczki z nausznikami, używane przez andyjskich Indian.

\*\* soroche — choroba górska, występująca w Andach po przekroczeniu wysokości kilku tysięcy metrów, o natężeniu zależnym od indywidualnej odporności organizmu.

Jacek spojrzał przez okienko. Ośnieżone szczyty Andów mrugały granatowymi oczkami polodowcowych jezior. W uszach szumiało.

Musi być już dobrze ponad te sześć tysięcy metrów... — pomyślał.

Trzymał się kurczowo fotela. Estevan zauważył to i postanowił odwrócić jego uwagę od samolotu.

— Byłeś w stolicy Inków, ale czy wiesz, jaki był początek ich królestwa? — spytał cicho. Jacek popatrzył nieobecny wzrokiem. — Opowiem ci legendę o początkach imperium Inków. Na początku żyli w barbarzyństwie: prowadzili wojny, zabijali przeciwników i pożerali ich ciała. Aż wreszcie Słońce, jako wielki rodzic ludzkości, nie mogło już więcej patrzeć na takie upodlenie i wezwało do siebie swoje dzieci: Manco Capac i Mama Ocllo. Byli oni dla siebie bratem i siostrą, a zarazem mężem i żoną. „Zejdziecie na ziemię, drogie dzieci. Daję wam złoty pręt i rozkazuję osiedlić się tam, gdzie ten pręt zagłębi się bez wysiłku, wejdzie w ziemię jak w masło. Macie tam osiąść i uczyć ludzi człowieczeństwa, by żyli jak ludzie...” Zeszli więc na ziemię, by wypełnić polecenie ojca, wielkiego bóstwa Inti. Wędrowali długo, aż wreszcie w dolinie Cusco pręt zagłębił się błyskawicznie i zniknął w głębi ziemi na zawsze. Tam osiedlili się. Manco Capac uczył mężczyzn uprawy roli, a Mama Ocllo kobiety tkactwa i przędzenia. Założyli fundamenty pod stolicę — święte miasto Cusco. Miasto i pałace Inki połączono przejściami i trzema wieżami obronnymi, osobno stojącymi na wzgórzach. Przejścia drążono przez wiele lat tak dokładnie, że pod ziemią powstało niemal drugie miasto: galerie, ganki, magazyny. Dziwiłeś się, jakim

cudem ogromne gązdy transportowano i taszczono na górze bez narzędzi i maszyn. To zagadka do dzisiaj nie rozwikłana. Faktem jest, że wleczono je z kamieniołomów, odległych nawet o kilkanaście lig\*, przez góry i doły, przez rzeki i rwące potoki, a dwadzieścia tysięcy niewolników budowało Cusco przez pięćdziesiąt lat! Jak się czujesz, Jacek?

— Już mi lepiej — wystękał Balonowa.

— No widzisz! Jak ci opowiem jeszcze jedną legendę, to będziesz się czuł już znakomicie. Słuchaj. Żył sobie kiedyś El Dorado — człowiek pozłacany. Był wspaniałym wodzem indiańskim, bogatszym od wszystkich Inków z Peru. Co rok, obsypany złotym proszkiem, rzucił się w święte wody jeziora. W ten sposób składał ofiarę bogu Słońca. Cały naród pomagał swojemu władcy, sypały się w głębinę jeziora złote precjoza: kielichy, wazy, tace, posążki z drogiego kruszcu, wysadzone setkami szmaragdów, rubinów i diamentów, wielkich jak kurze jaja. Przez setki lat poszukiwacze złota próbowali odnaleźć skarb legendarnego El Dorado. Zamiast uczciwie pracować, porzucali swoje rodziny i tracili zdrowie, a nawet życie, żeby szukać cudzego majątku. A przy tym zabijali Indian, usiłując wydobyć z nich, gdzie jest ukryty skarb. A ten skarb może istnieje, może nie... Jacek, słyszysz mnie? Mam pomysł, przyjedziemy do Cusco pociągiem, zgoda? Tak, słynną koleją Ernesta Malinowskiego\*\*! Ja bardzo lubię wracać do uroczego,

\* liga — miara długości w państwie Inków, około 6 km.

\*\* Ernest Malinowski (1815-1899) — inżynier, zaprojektował i kierował budową najwyższej położonej linii kolejowej w Andach; uznany bohaterem narodowym Peru.

sennego Cusco. Patrząc na te mury i wspominam czasy inkaskiej świetności. A gdy spojrzę na resztki świątyń Słońca, Księżycy, Gwiazd, Błyskawicy, no i Tęczy — zaraz widzę na ich ścianach te blachy złote, którymi były wszystkie świątynie wyłożone wewnątrz i na zewnątrz, a potem widzę hiszpańskich konkwistadorów, jak z krzyżem w jednym ręku, a mieczem w drugim zrywają te blachy z błyskiem pożądania w oczach, rabują, a inkaskim tubylcom tłumaczą, że to dla ich dobra i chwały chrześcijaństwa. Miecze spływały krwią opornych tubylców, krew tryskała na krzyż, Chrystus milczał... Widzę ich — miedzianoskórych gospodarzy tej ziemi. Jeden z nich jest poetą, widzę, jak przymyka oczy i recytuje:

*Jak lilia w ogrodzie  
urodzili się  
i rośli jak ona.  
Nadszedł ich czas  
i wyrośli.  
Aż ucichli,  
gdy mieli umrzeć.  
I umarli...*

— Jacek, słyszysz mnie? Jaki to prosty i piękny wiersz! Jest w nim jakieś dziwne tchnienie, dumna pokora wobec przyrody, no i tęsknota, szacunek dla korzeni, dla przeszłości.

Samolot zatoczył krąg nad Limą i wolno tracił pułap. Spośród rzadkiej mgielki wiszącej nad miastem wylaniały się grzbiety wieżowców.



— Ten najwyższy, który widać, to gmach ministerstwa oświaty, ma dwadzieścia dwa piętra! — objaśnił Estevan. — Zanim wylądujesz, musisz się dowiedzieć, że w Limie jest najstarszy uniwersytet Ameryki Południowej, założony w tysiąc pięćset pięćdziesiątym pierwszym roku, no i najstarsza arena walki byków na tym kontynencie. Sławny malarz Paul Gauguin spędził tu chłopiące lata, stąd w jego twórczości taki tropikalny egzotyczny niepokój. Jest tu dużo pomników, najbardziej podoba mi się pomnik trzech lam...

— Ziemia! — krzyknął Jacek, gdy samolot znieruchomiał i do otwartych drzwi podjechały schody. A kiedy Jackowa noga dotknęła szczęśliwie płyty lotniska, Lolek Balonowa odetchnął z ulgą. — Przysięgam na pistolet prapradziadka Waleriana, że już nigdy nie wsiądę do samolotu... — mruzczał do siebie, rozglądając się ciekawie dookoła.

Wsiedli do colectivo, czyli dalekobieżnej taksówki w kształcie mikrobusu. Oprócz nich i kierowcy w środku siedziało jeszcze trzech Metysów, pachnących francuskimi perfumami oraz dwóch smutnych Indian, tak szarych, jakby przysypanych popiołem. Kierowca ruszył gwałtownie z miejsca i z fantazją przyhamował, aż zapiszczały opony, a blacha jadącego przed nim starego forda zabrzczała jak gong na bokierskim ringu. Obaj kierowcy wymownym gestem narysowali kilka kóelek na czole, po czym wysadzili głowy na zewnątrz i szczeknęli na siebie tak soczyście, tak impulsywnie, jak potrafią tylko dwaj południowoamerykańscy džentelmeni, przystępujący do walki. Kiedy ożywiony dialog sięgnął pochodzenia rodzicielek, błysnęło zielone

światło i szerokim pasmem ulicy znowu ruszył potok pojazdów najrozmaitszych marek i w przeróżnym stanie, nawet agonalnym. Jacek miał wrażenie, że wjechali w ruchome składowisko złomu. Tylu rozklekotanych i pordzewiałych gruchotów nie widział nawet przed strażacką remizą w Mazanówce podczas sobotniej zabawy. Brak maski, błotnika czy drzwiczek nie wzbudzał tu najmniejszego zainteresowania, a im bardziej porozbijany wehikuł, tym większą rozwijał szybkość, jakby chcąc udowodnić właścicielom nowoczesnych limuzyn, że jeszcze może! O dziwo, wraki te wyprzedzały nowiutkie wozy bez problemów, zajeżdżając im drogę z jazgotem poodrywanych blach, które furkotały na wietrze jak skrzydła pancерnej husarii.

— Czy tu do licha nie ma policji drogowej? — zdumiał się Jacek. — Przecież ci samobójcy pozabijają się w tych wariackich gruchotach... — jęknął.

— Człowieku, nie irytuj się, jak mawiają Chińczycy! — uspokajał go Estevan. — To nie Europa, senior, tu się żyje w rytmie samby i cza-cza! A poza tym, czuwają nad nimi wszyscy święci, popatrz! — wskazał ręką na upstrzone malunkami auta.

— „San Antonio”, „San Jacinto”, „San Tadeo”, „Ayuda me, Jesusito”\*... — czytał Jacek głośno napisy na wyprzedzających ich pojazdach-widmach. W duchu pomyślał tylko, że oto widzi kolejny cud w tej części świata: coś, co powinno się rozlecieć na pierwszym zakręcie, trzyma się kupy i wyczynia wyścigowe akrobacje! Coś podobnego...

---

\* „San Antonio...” (hiszp.) — „Święty Antoni”, „Święty Jacek”, „Święty Tadeusz”, „Dopomóż mi, Jezusku”.

— Maestro, cobre se!\* — zawołał Estevan i pogrzebał w kieszeniach.

Collectivo stanęło. Wysiedli na Plaza de Armas, czyli Placu Broni. Z nieba zaplutego wilgotną mżawką sączył się gorący rozprószony blask, stłumiona jaskrawość. Obszerny plac zdawał się Jackowi sceną do kostiumowej sztuki z epoki kolonialnej. Przed pałacem prezydenckim tkwili na warcie potomkowie Atahualpy. Spod kirasjerskich hełmów błyszcząły brązowomiedziane twarze o kwadratowych mongolskich policzkach. Estevan pociągnął Jacka za rękę.

— Jeszcze się napatrzysz, przyjdziemy tu w samo południe obejrzyć zmianę warty, a teraz w drogę! — niecierpliwie krzyknął Estevan i za chwilę szli już bocznymi uliczkami, wąskimi i zatłoczonymi gardłami Limy.

Kiedy stanęli przed zarośniętym dziką winoroślą poczer-niałym murem, Estevan chwycił ciężką rzeźbioną kołatkę z wizerunkiem słońca i energicznie uderzył w okute drzwi. Szczęknęło okienko i furta została otwarta.

— Będiesz spał u mnie! — oświadczył Estevan, kiedy ceremonii powitalnej stało się zadość, kolację zjedzono i gospodarze, para sędziwych staruszków, zapadli w drzemkę przed telewizorem. — A ich wcale nie musisz się krępować. To bardzo mili ludzie, traktują mnie jak wnuka — dodał.

Pokój Estevana urządzony był skromnie. Stół, dwie pluszowe kanapy, regał pełen książek w różnych językach oraz zapelniona starą porcelaną oszklona szafka ze zwierciadłem, no i szafa. Na ścianie szerniały od starości krucyfiks, olejna kopia Madonny z Dzieciątkiem, jakaś

---

\* Maestro, cobre se! (hiszp.) — Mistrzu, płacę za przejazd!

reprodukcja z motywem wysokogórskim. Zapychając się prażoną kukurydzą, chłopcy opowiadali sobie swoje przygody i rozważali plany na przyszłość.

— Czekają na mnie w Polsce, ale ja się stąd nie ruszę, dopóki nie zdobędę eksponatów do Sali Tradycji... — stwierdził stanowczo Jacek. — Przecież nie mogę przyjechać z pustymi rękoma. Mam trochę, ale to drobiazgi, a w historię z purpurowym kondorem nikt mi tam nie uwierzy, choćbym opowiadał nawet dwa tygodnie bez przerwy. To trzeba przeżyć samemu... — westchnął Jacek.

— Dobra, coś tam zdobędziemy na pewno. Ale najpierw Lima — zabytki, tajemnice. Potem pielgrzymka do Cajamarki, no i kolejną do Cusco. Musisz też zwiedzić port w Callao, obowiązkowo. A teraz mam dla ciebie coś superextra: wizyta w pokoju nieboszczyka. Czy masz wolną i nieprzymuszoną wolę udać się tam ze mną?

— Tak jest! — szepnął Jacek donośnie.

— Okay! Idziemy!

Uzbrojeni w latarkę, stanęli przed tajemniczymi drzwiami, zamkniętymi na klucz. Estevan wyjął spinkę do włosów i pomajstrował przy zamku. Nacisnął klamkę, drzwi puściły! Buchnął w nos tuman kurzu, Jacka zatkąło, odkaszlnął.

— Ciiii... — syknął Estevan — ...bo się wyda, gospodarze mają lekki sen!

Poświecił latarką. W smudze słabego światła Jacek ujrzał istny skład rupieci. Ale jakich! Aż gwizdnął z wrażenia.

— O te drobiazgi byłyby się muzea całego świata... — szepnął zafascynowany.

Wzrok jego padł na cudo chińskiego rękodziela, posążek



Świętej Rodziny z kości sloniowej. Za szkłem zakurzonej gabloty lśniły srebrne łyżki o cienkich jak szpila i misternie rzeźbionych trzonkach. Obok nich noże i gwoździe z brązu, jakieś figurki z ciemnego srebra.

— Toż to robota Inków... — szepnął, patrząc na utrwaloną w miedzi przed przeszło połową tysiąclecia figurkę pasterza i lamy.

— Popatrz na ten aryballus — szturchnął go Estevan.

Pod ścianą stał wysoki na trzy stopy inkaski dzban do noszenia wody.

Obok nich stały barwne keros — drewniane puchary do cziczy. Na szerniałych i popękanych ściankach przycichły sceny z życia Inków: oto zgarbiony nosiwoda, dalej wojownicy z łukami i strzałami, wreszcie cesarz w lektyce, a za nim stadko lam, pszczoły i ptaki. Na półce zastygły w bezruchu figurki trzech królów, wyrzeźbionych żmudnie i precyzyjnie w polichromowanym drewnie. Wreszcie drewniana figurka Madonny Zwyczajnej, podpatrzona podczas robienia na drutach, ze śpiącym psem i gołębiami przy nogach. Strumień światła wędrował wolno po ścianie. Nagle Jacek drgnął.

— Nieboszczyk! — jęknął i jak zahipnotyzowany znieruchomiał ze wzrokiem ugrzęzłym w ludzkiej głowie, wiszącej na środku ściany...

— Tak, a nawet dwóch nieboszczyków — potwierdził spokojnie Estevan.

— Coś ty? Nic nie rozumiem! — jęknął znowu Balónowa.

Estevan uśmiechnął się tajemniczo.

— Ta główka na ścianie, to przecież tsantsa\*, a ten pokój... Jak by ci tu powiedzieć... To jest takie małe sanktuarium, święte miejsce dla staruszków. W tym pokoju mieszkał kiedyś ich syn jedynak, znany etnograf. Uwikłał się w sprawy polityczne, jak mówią staruszkowie, no i zniknął w tajemniczych okolicznościach gdzieś w Chile. Staruszkowie wciąż czekają na jego powrót, już drugi rok, no i dlatego nikogo nie wpuszczają do gabinetu syna. Tu wszystko ma swoje miejsce i czeka... Teraz już rozumiesz? — szepnął Estevan, zamykając po cichutku drzwi.

Tej nocy Jacek długo nie mógł zasnąć. Przez okno wlewały się potoki neonowego światła jak zimny uśmiech sztucznego księżycy na wyimaginowanej wyspie groźnych tajemnic.

---

\* tsantsa (ind.) — czaszka pomniejszona do wielkości dłoni, a właściwie skóra, ściągnięta z czaszki zabitego wroga (razem z włosami); spreparowana przy użyciu gorącego piasku na kształt czaszki, noszona przez niektóre plemiona jako talizman.

*Zmiana warty,  
czyli błyszczący blichtr historii*

Po wielu emocjach mogących sennego Europejczyka przyprawić (dosłownie i w przenośni) o zawrót głowy (duszne korytarze cuchnących uliczek!) dotarli wreszcie do celu swojej wyprawy — Plaza de Armas. Setki turystów czekało już na południową zmianę warty przed pałacem prezydenckim. Jacek z Estevanem jakoś dopchali się do żelaznych sztchet, za którymi wszystko widać było jak na dłoni. Zabrzmiał dźwięk trąbki. Ciemnoskórzy gwardziści, jednakowego wzrostu, w paradnych napoleońskich mundurach, wynurzyli się już z bram przeciwległych skrzydeł pałacu. Rytmicznie dudniły czarne buty z cholewami do kolan i śmiesznie podrygiwały do taktu purpurowe końskie ogony na lśniących złocistych hełmach, nasuniętych na ciemnomiedziane czoła. Czerwone rajtuzy odcinały się od bieli ciasno opiętych bluz. Wyglądało to tak, jakby biało-czerwona stonoga pelzła w rytmicznych skurczach, poruszając czarnymi odnóżami w zwolnionym tempie piłkarskiego replaya. Kilkadziesiąt wyprostowanych sprężystych nóg unosiło się do poziomu bioder, przez sekundę zastęgało w bezruchu i opadało. Marsz paradnych manekinów przy warkocie werbli, śpiewie trąbki, pośród szczekania koment. Kiedy owe dwa szeregi znalazły się już naprzeciw siebie, dowódcy jednoczesnym ruchem sięgnęli do szabel. Świsnęły ostrza, błysnęły w słońcu ceremonialną figurą.

Wartownicy zmienili się na posterunkach, przedstawienie skończone.

— E, tam... — mruknął rozczarowany Jacek. — Więcej tu operetki niż wojska. Mnie się bardziej podoba uroczysta zmiana warty przy Grobie Nieznanego Żołnierza w Warszawie...

— Co kraj, to obyczaj — uśmiechnął się Estevan. — Zauważyłeś chyba, że na tym kontynencie robi się z wszystkiego teatr i cyrk. Lubują się w gestach, szarmanckim patosie, pompatycznych pozach, krzykliwych kolorach. Można by powiedzieć — wieczny karnawał, gdyby nie... — spojrzał na gromadkę małych brudasów, grzebiących w koszu na śmieci w poszukiwaniu resztek jedzenia z pobliskiej szaszłykarni.

— Należy nam się solidny obiad, co? — mrugnął Estevan po chwili. — Zapraszam cię do mojej koleżanki. Tylko nie paplaj za dużo i nie dziw się niczemu: oczy w słup, buzia w ciup, nos w talerzu, comprende? — położył palec na ustach.

Jacek nie zadawał niepotrzebnych pytań. Zdążył już przywyknąć do tropikalnych obyczajów, a zresztą — tak naprawdę — tylko obiad mógł go w tej chwili zainteresować lub inne równie atrakcyjne zajęcie, na przykład kolacja...

Dominika była szczupłą smagłą nastolatką o przesadnie egzaltowanych manierach panienci z dobrego domu. Mimo nieco zbyt wypukłych oczu twarz miała ładną i ładną figurę, ale Jacek ocenił ją surowo.

Hmm... Ni to młodzieżowy szpan, ni to parodia hrabiowskiej etykiety, takie ni to, ni sio! A kręci tyłkiem jakby połknęła wahadło ze starego zegara... — podsumował swój



wywód myślowy, obserwując dokładnie Dominikę, która z wdziękiem prowadziła ich do swojego pokoju.

Siedli na krzesłach z wysokimi rzeźbionymi oparciami. Dominika kiwała się na jednej nodze, oparta niedbale o komódkę z cedrowego drzewa. Jakby od niechcenia zamieniła z Estevanem kilka słów, a na Jacka nawet nie spojrzała, traktując go jak powietrze, czego Lolek Balonówa (wbity przecież w dumę niedawnymi zalotami Iki) ścierpieć nie mógł! Demonstracyjnie więc odpłacał jej pięknym za nadobne, pochłonięty oglądaniem wnętrza pokoju. A było na co popatrzeć! Półki pełne książek sąsiadowały z mnogością obrazów. Obok ceramicznych naczyń, zdobnych bykami i fasadami kościołów, stała malowana figurka Chrystusa na krzyżu, pamiętająca czasy konkwisty. Na ścianie wisiały szpady o rękojeściach ociekających złotym szamerunkiem, zapewne z początków kolonializmu hiszpańskiego. Im dokładniej się przyglądał, tym bardziej jego oczy olbrzymiały z wrażenia...

Wreszcie służąca poprosiła na obiad i zbladły wszelkie potyczki. Nawet wiszące na ścianie holu oryginalne dyplomy z czasów kolonialnych (sławiące dzielność przodków Dominiki w mordowaniu Inków) nie wprawiły Jacka w należne sprawie osłupienie. Apetyczne zapachy zawładnęły nim ostatecznie.

— Comida muy rica!\* — oświadczył wytwornie, co zostało łaskawie skwitowane przez dostojnych rodziców Dominiki lekkim skinieniem głowy.

Rosół „sopa á la criolla” z kluskami i kawałkami kury nie

---

\* Comida muy rica! (hiszp.) — Bardzo smaczne jedzenie!

gościł zbyt długo na talerzu Lolka Balonowy, a pikantne mięczaki ze świeżym groszkiem i sałatą — jeszcze krócej. Deser w postaci sera, wina i aromatycznej kawy utwierdził Jacka w przekonaniu, że jednak jest traktowany w tym domu jak osoba dorosła, z należyty szacunkiem.

— Powiedz, młodzieńcze, jak wytrzymałeś tyle czasu z tym brudnym bydłem na dwóch nogach? — zagadnął pan domu, pykając fajeczkę. Jacek spojrzał pytająco. — No, chodzi mi o tych brudnych tubylców. Że też jeszcze tyłu z nich żyje! — sapnął.

Ser stanął Jackowi raptem w gardle, targnęły nim mdłości. Wybiegł do łazienki. Po drodze potknął się o drogocenny puchar, stojący w kącie jako stojak na parasole.

Obluda, pozory czy ignorancja? — zastanawiał się. — A może żądza poniżenia twórców tej kultury? Chyba wszystko po trochu... Tak, zmiana warty. Hrabiowie odchodzą, nowe maski na starych gębach... Zdegenerowana arystokracja... Operetka...

*Podróże do źródeł czasu,  
czyli zagadki historii*

Kierowca colectivo ruszył z piskiem opon. Za oknem migwały strzępy lichych zabudowań, coraz rzadziej zasadzone na chudej ziemi jak wątłe flance. Wreszcie wydostali się z miejskiego mrowiska na otwartą przestrzeń autostrady.

Jacek i Estevan wysiedli w Callao. Port przywitał ich buczeniem syren i dławiącym smrodem gnijących ryb. To, co nad Limą było wilgotną mgielką, tutaj stężało w gęstą szklaną watę, wcisniętą wszędzie, gdzie oko mogło sięgnąć. W żółtej i mętnej wodzie nadbrzeża dryfowały wielkie meduzy jak oślizgłe, pokraczne gąbki o brudnym, brunatnym odcieniu. Na horyzoncie morza mieniły się niebiesko-fioletowymi refleksami jakieś góry, rozciągnięte wzdłuż wybrzeża, przykryte białymi czapami.

— O! Jakie ładne wulkany! — krzyknął Jacek, patrząc z zachwytem na skrzące się srebrzyście szczyty.

Estevan zachichotał. Ściskając nos dwoma palcami, drugą ręką wskazał na niebo zasłonięte ptactwem.

— Jak tylko wiatr zmieni kierunek, to poczujesz, jakie to wulkany, mój drogi...

Jacek spojrział raz jeszcze na nos Estevana, potem na roje ptaków, krążących wokół tych dziwnych „wulkanów” i... olśniło go. Od strony morza buchnęła fala odoru.

— Przecież to ptasie gówno, chciałem powiedzieć guano! — wykrzyknął.

Nagle pociemniało. Zadarł głowę do góry. To gęsta chmura czarno upierzonych ptaków zasłoniła słońce, błyskając białymi piersiami. Wkrótce ta podniebna armia popękała w kilka grup, które opadły na fale i... morze zagotowało się. Ryby skakały konwulsyjnie do góry, miały się, pierzchały w panicznej ucieczce, ale kormorany tak wściekle waliły dziobami, że w okamgnieniu ogromna ławica sardeli została doszczętnie rozbita i połknięta. Ptaki z pełnymi wolami wracały na wyspy, aby tam zostawić swój cenny nawóz — bogactwo eksportowe Peru. Pośród śmigłych kormoranów ciężko poruszały się pelikany, wspomagając kuzynów w codziennej mitrzędze.

— Czy moglibyśmy dopłynąć na którąś z tych wysp? — zapytał Jacek, wiedziony ciekawością, która nakazywała mu wściubiać nos w najbardziej karkołomne zakątki.

— Chciałbyś tam coś zostawić na pamiątkę? — zażartował Estevan. — Musiałbyś mieć maskę przeciwgazową, mój drogi. A po drugie, nie wolno tam się kręcić bez potrzeby, to płoszy ptaki. W okresie godów to nawet okrętom ani samolotom nie wolno zbliżać się do wysp ptasich, a statki mają zakaz używania syren...

— No to co te ptaki w końcu wydalają: złoto czy guano? — niecierpliwił się Jacek, który słyszał, owszem, że nawóz jest pożyteczny, ale żeby aż tak skakać koło tego, aż tak? — Tfu! — splunął.

— To cenny nawóz, bo zawiera w sobie mnóstwo fosforu z przetrawionych ryb. Peru rocznie eksportuje trzysta pięćdziesiąt tysięcy ton tego delikatesu i zarabia na tym dwieście milionów dolarów! Mówi ci to coś? Człowieku, przecież to złoty interes, a niewiele kosztuje. Ryby nagania



prąd Humboldta, a ptaki pracują od świtu do nocy za darmo! Ja byłem na jednej takiej wyspie, Chinchas — dodał z dumą. — To taka mała wyspka. Tam nic, tylko to guano, a pokłady takie zbite i grube, nawet do pięćdziesięciu metrów grubości, aż trzeba je mechanicznymi koparkami wybierać. I tylko wtedy, gdy ptaków nie ma w gniazdach... A gniazda to lepią z własnych odchodów i piór, bo tam innego budulca nie uświadczysz, tylko guano. No i co tak głową kręcisz? Guano to złoto dla Peru, jak węgiel dla Polski. A że śmierdzi?

— Pecunia non olet\*, jak mawia babcia Paulina — zauważył przytomnie Jacek. — A swoją drogą, co za rozumne ptaszyska... Mogłyby mieszkać te złociutkie fruwaki gdzieś na brzegu albo na drzewach, w bardziej przyjemnym miejscu, ale widocznie nie chcą dobijać ludzi, którzy i własnego smrodu mają już dosyć...

— Albo tym ludziom nie ufają — wtrącił Estevan. — Jacek, co ci?

Lolek Balonówa podskoczył jak oparzony — stało się nagle nieszczęście. Jedna z mew strzyknęła żółtym strumieniem prosto w niego! Obtarł szybko ten „order” kępką trawy, ale...

— No to będziesz miał trwałą pamiątkę, Lolek. Jest to plama nie do wywabienia z jasnej koszuli!

— A niech to! — zgrzytnął zębami Jacek i czym prędzej obaj uciekli z rejonu nadbrzeża, przeskakując przez czarne plastikowe worki z mączką rybną.

Wąskie uliczki portu tętniły kolorowym, hałaśliwym

---

\* Pecunia non olet (łac.) — Pieniądze nie śmierdzą.

życiem. Na rogu przecznicy Avenida Saenz Penia Estevan złapał się za zegarek.

— Oj, kolego, miły Kosynierze, nogi w garść, bo autobus do Cajamarca odjeżdża za niecałą godzinkę! — ponaglił.

Brunatny pył bryznął spod pary bystrych pięt i wkrótce siedzieli już wygodnie w lotniczych fotelach prywatnej firmy przewozowej, która specjalizowała się w rozpaczliwie długich liniach, na przykład: Cusco — Talara, bagatelka — tylko dwa tysiące szesnaście kilometrów!

— A daleko ta Cajamarca? — zagadnął Jacek, ziewając już na samą myśl o odległości, jaką mieli przejechać.

— Ho, ho! — odparł Estevan i Jacek już więcej nie pytał.

Pogrążony w drzemce dumiał o swoim losie, przeznaczeniu i szczęśliwej gwiazdzie. Oto wydostał się z mrowiska Limy, smrodu Callao i przemierza swobodną przestrzeń. Dopiero tu, za kotarą mgły otaczającej Limę, słychać dziki wiatr buszujący w nie ogrodzonej przestrzeni, a powietrze jest przejrzyste jak kryształ. Jakieś sady za oknem, wodospad. Hen w oddali rozmazane pod samym niebem górskie szczyty. Świeżo, uroczco, sennie... Tu nareszcie czuje się wolny...

Obudził go gwałtowny wstrząs. Trzask pękających szyb mieszał się z soczystymi przekleństwami kierowcy.

— Huayco!\* — krzyknął Estevan.

Jacek wyrztał przez okno: przód autobusu zarył w kupę głazów skalnych i żwiru. A ze zbocza wciąż splywała na drogę lawina błota i kamieni, piętząc się groźnie. Na

---

\* Huayco (hiszp.) — rodzaj lawiny błota i głazów, które pod działaniem deszczów zeslizgują się po andyjskich zboczach.

szczęście wkrótce ów potok znieruchomiał, a przeszkoda nie była zbyt wielka jak na kondycję zniecierpliwionych pasażerów. Kierowca otworzył bagażnik. Poszły w ruch łopaty i droga do Cajamarca stanęła znowu otworem.

Horyzont przydrożny rozwijał się monotonicznie, oparty o nasyconą fioletem dali panoramę Andów. Po obu stronach drogi uciekały do tyłu palmy i bananowce, znikwały sterczące pionowo kaktusy, wbite przez naturę w kamieniste zbocze. Szosa płynie kręto w dół, na pozór leniwie, z nagłą wstrząsając gwałtownymi zakrętami, za którymi już tylko śmierć w przepaści. Kierowca mruży specjalną modlitwę, której tekst przykleił sobie na bocznej szybie. Urwiste stoki zielenieją w kłębach brunatnego kurzu. A dalej bryły skał i spieczona równina, domki jak tekturowe pudełka po butach. Na spopielalej ziemi ani śladu zieleni. Jedynym kolorowym akcentem są reklamowe plansze, uparcie tkwiące przy drodze jak sztuczne kwiaty. Sucho, spiekota, ani śladu życia, tylko wiatr hula po piaskowych łąkach.

Co za ironia natury! — dumiał Jacek. — Tuż obok Pacyfik, a tu pustynia...

Ledwie to pomyślał, gdy krajobraz znowu zmienił oblicze, wróciła zieleni. I tak przez całą drogę, jakby kosmiczny władca tych ziem zarządził przegląd wszystkich krain i klimatów.

Dojeżdżali już do Cajamarca. Chłodne krystaliczne powietrze przenika do szpiku kości. Jacek naciągnął sweter.

— A widzisz, przydał się jednak. Mówiłem, że to prawie trzy tysiące metrów... — wyszczerzył zęby Estevan.

Autobus zatrzymuje się na placu lysym jak klepisko. Chmary dzieciaków oblagają wysiadających turystów.

Estevan ciągnie Jacka za rękaw i szybko uwalniają się z ciekawskiego towarzystwa. Przed białymi ścianami domów, zdobnych koroną drewnianych hiszpańskich balkonów, koczują na chodniku Indianki z kądziolką w ręku i dziećmi na plecach. Katedra przy Plaza de Armas nie różni się od setek innych hiszpańskich kościołów, których ciężkie barokowe bryły pozostawili najeźdźcy na całym terytorium Tawantinsuyu.

— Po co właściwie tłukliśmy się tyle godzin autobusem? Żeby zobaczyć to samo co w innych miasteczkach? — parsknął Jacek, gdy od łożenia po wąskich uliczkach nogi wlażyły mu w środek ciężkości sponiewięranej powłoki cielesnej.

— Cierpliwości, zaraz wszystkiego się dowiesz. Pewnie zgłodniałeś troszkę i żółć cię zalewa, hę?

Jacek przymrużył powieki i oczyma wyobraźni ujrzał wypchanego wonnymi trawami prosiaka, jak skwierczy na różnie, oszalamiając smakowitym zapachem, mniem, co za rozkosz!

— Wiedz o tym, europejski barbarzyńco, że przyjechaliśmy tu po to, by pokłonić się pamięci ostatniego z Inków — Atahualpy — wyjaśnił Estevan. — Tu, w tym miasteczku, rozpoczęła się tragedia państwa Inków, zagłada imperium Tawantinsuyu...

— Łaziliśmy tyle i nie zauważyłem żadnego śladu Atahualpy; żeby chociaż obelisk czy kamień z napisem — mruknął Jacek.

— Może jesteś krótkowidzem. A zresztą, racz wziąć pod uwagę, że nie kamień się liczy, a pamięć...

— Bardzo beztroska jest ta pamięć, bardzo. Ca-ja-mar-



-ca sto-li-ca pe-ru-wiań-skie-go kar-na-wa-lu! — wyrecytował z ironią, skwapliwie wykorzystując swój bank informacji.

— Co kraj, to obyczaj, bracie. Tu nawet podczas los velorios\* jest zwyczaj weselenia się. Nieboszczyk leży błądy i ponury, a sąsiedzi i znajomi popijają, tańczą, zabawiają się przy muzyce, żeby rodzinę zmarłego pocieszyć i oderwać jej strapione myśli od grozy nieszczęścia. A po drugie, oni się cieszą, że nieboszczyk powędrował już do lepszego świata, do krainy bogów. Czy ty wiesz, jaka to radość taki karnawał w Cajamarca? Ostatnio sto tysięcy ludzi defilowało ulicami w bajecznie kolorowych strojach, przy dźwiękach clarines cajamarquinos\*\*...

— Tak, zwłaszcza dla rodzin tych osób, które zatratowano na śmierć! — przerwał Jacek, kiwając głową zrezygnowany, bo głód doskwierał mu coraz wyraźniej, a zanosilo się na całkiem czczą dyskusję...

— Coś taki ponurak, patrzcie go! Według ciebie, Peruwiańczycy powinni nosić żałobę po Atahualpie przez czterysta pięćdziesiąt lat, tak?

— U nas, w Polsce...

— Tu jest Ameryka, Ameryka, Ameryka! Comprendé? Tu życie nie znosi próżni, kwitnie i rozmnaża się w oszałamiającym tempie, tu jest żywiol! — zniecierpliwził się Estevan.

— Ten żywiol skręca mi akurat wewnątrzności... — jęknął Jacek, chwytając się oburącz za brzuch.

---

\* los velorios (hiszp.) — stypa pogrzebowa.

\*\* clarines cajamarquinos (hiszp.) — ludowe instrumenty muzyczne, cienkie i długie jak tyczki.

— No nie! Ludzie, on tylko o jedzeniu! Wszystko gotów jesteś popsuć. Jesteśmy tu z pielgrzymką, a pielgrzym powinien być na czczo, przynajmniej do północy... — stwierdził z powagą.

— Kpisz, waćpan, czy o drogę pytasz? — wyrzęził Lolek Balonowa z obłędem w oczach.

Estevan spowaźniał jeszcze bardziej. Pokręcił głową i umilkł. Pamięć Atahualpy uczczona została już nie minutą, ale przynajmniej kwadransem ciszy... Siedzieli w miejscu, w którym cztery i pół wieku wstecz TO się rozegrało...

— Jakim cudem stu sześćdziesięciu ośmiu żołnierzy pokonało wielotysięczną armię Inków? — zastanawiał się Jacek.

— Różne opinie na ten temat krążą — odpowiedział cicho Estevan. — Fakt, że jednak szesnastego listopada tysiąc pięćset trzydziestego drugiego roku cesarz Atahualpa został uwięziony. Faktem również jest, że obiecał Hiszpanom okup w złocie, jeśli go uwolnią: tyle złota, że wystarczy do całkowitego zakrycia podłogi w celi, długiej na sześć, a szerokiej na pięć metrów. Parsknęli śmiechem, nie wierząc, że aż tyle zgromadzi, a on zrozumiał, że propozycja jest śmiesznie uboga. Zerwał się i wyprostowaną ręką dotknął ściany nad głową: „Zasypię tę izbę złotem do tego miejsca, gdzie dosięga moja ręka!” Osłupieli, myśląc, że zwariował. Jeden z nich okazał się jednak przytomny, czerwoną kreską to miejsce zaznaczył na ścianie, umowę spisano. I stało się wedle obietnicy cesarza. Karawany ciągnęły dzień w dzień, aż nabierało się do kreski sześć ton złota i dodatkowo, w sąsiedniej izbie, dwanaście ton srebra legło. A co było dalej? Szkoda gadać! — westchnął Estevan.

Byłem chyba za ostry... — pomyślał Jacek, obserwując kolegę kątem oka. — Muszę trzymać jęzor na wodzy i w ogóle wziąć się w garść, bo jego opieka rozleniwia mnie do reszty... O rany, jak on to przeżywa... Czyżby w jego żyłach płynęła krew Inków? — dumał.

Kiedy rytuał pielgrzymstwa został dopełniony, dwaj przyjaciele podreptali na lotnisko, po drodze zawadzivszy o... szaszłykarnię. Chmury zniknęły. Samolot wystartował...

— Dziwiłeś się, że w Cajamarca nie stoi pomnik kłęski Atahualpy... A czym tu się chwalić? — zebralo się Estevanowi na szczerość, kiedy układali swoje sponiewierane powłoki cielesne do snu w rezydencji staruszków. — Byłby to pomnik hańby nie tylko Hiszpanów, ale także i Atahualpy!

— Co ty pleciesz?! — oburzył się Jacek.

— A tak, posłuchaj uważnie. Hiszpanie zwabili Atahualpę podstępem do swojej bazy pod pretekstem przyjacielskiej rewizyty, to prawda. Rzezi dokonano na dziedzińcu, trwała tylko pół godziny. Hiszpanie okazali się podstępnymi mordercami. Nie dotrzykali warunków umowy i mimo zebrania okupu zamordowali Atahualpę po parodii procesu. Byli bezwzględni i wiarołomni, a przy tym okazali się podwójnymi mordercami, bo zabijali również kulturę. Bezcenne dzieła inkaskiej sztuki złotniczej, misternie rzeźbione misy i puchary ci wandale porozbijali i przetopili na sztabki. Zgoda, byli konkwistadorzy bandytami i barbarzyńcami, ale jaki był tak naprawdę Atahualpa? No? — zawiesił głos Estevan.

— Niezłomny i prawy! — ziewnął Jacek, któremu historia tego wieczoru wylazła już nosem.

— Otóż niezupełnie, bo jak pogrzebać w dokumentach, to wychodzi na to, że nie był w porządku wobec swoich żołnierzy i narodu, bo kierował się prywatą. U podstaw kłeski leżała jego zachłanność. W tym czasie Atahualpa rządził tylko połową cesarstwa ze stolicą w Quito, zaś drugą częścią, ze stolicą w Cusco, jego przyrodni brat — Huascar, prawowity syn poprzedniego Inki. Nie czekając na rozstrzygnięcia dynastyczne, Atahualpa chciał siłą pokonać brata. Nadzieje wiązał ponoć właśnie z Hiszpanami! Czy przyjął zaproszenie Hiszpanów, bo chciał się z nimi dogadać? A może liczył na to, że rozbije łatwo Hiszpanów, zawładnie ich bronią i końmi, po czym użyje przeciwko Huascarowi? A przecież miał rzeszę szpiegów, którzy donosili mu o każdym kroku Hiszpanów: że mordują, rabują, oszukują, są podstępni. Dlaczego zlekceważył ostrzeżenia, naraził na śmierć tylu niemal bezbronnych wojowników? Zachłanność na tron Huascarowy zwyciężyła chyba rozsądek władcy... Jeszcze w niewoli knuł przeciwko bratu, słał złowrogie rozkazy. Zapłacił za pychę własną głową. Stało się... — szepnął Estevan przez ściśnięte gardło.

— W końcu był to tylko jeden człowiek, a został naród, bogate państwo, armia... — mruknął Jacek.

— Nic nie rozumiesz, Europejczyku. Zamordowanie Inki było dla poddanych katastrofą. Ujrzeni, że Inka nie jest wszechmocny! To tak jakby słońce runęło i świat pogrążył się w ciemnościach złych demonów. Nie mogli sobie uzmysłwić, że ów potężny, niezwyciężony, boski Inka, mógł komukolwiek ulec, a tym bardziej jakimś bladym przybłędem...



*Kryształowa trumna i polskie szaleństwo,  
czyli różne oblicza dziedzictwa*

— Ale zabawna szkarada, popatrz! — parsknął śmiechem Jacek.

Na jednym z barwnych straganów kipiącego gwarem targowiska siedziało coś pośredniego między jeżem a szorstkowłosym psem terierem, porośnięte czarno-białymi kolcami, długimi i ostrymi. Spomiędzy kolców wystawał wielki spuchnięty nochal, balansujący jak wahadło zegara, co w zestawieniu z parą maleńkich zażawionych oczek tworzyło tragikomiczną całość. Siadł akurat na pulchnym zadku i rozparty wygodnie na ladzie, drapał się tłustymi łapkami. Obok młody Metys sprzedawał kruczoczarne (jak i on) węże z żółtymi ogonami.

— To nieszkodliwe żółtogony... — wyjaśnił Estevan, widząc, że Jacek bokiem omija stragan. — Spokojne jak... — nie dokończył, bo jeden z płazów wyprężył się nagle i...

— Ratunku! — wrzasnął Jacek i próbował uciekać, ale dwumetrowej długości śliskie cielsko węża oplotło jego nogi. Runął jak długi.

— No es venenoso, seniores, es bicho muy lindo\* — wyszczerzył się radośnie sprzedawca.

---

\* No es venenoso... (hiszp.) — Nie jest jadowite, panowie, to bardzo piękne zwierzątko.

— No tiene veneno?\* — jęknął Jacek cieniutkim głosem.

— No, nada veneno, es caninana!\*\* — wyszczerzył się znowu Metys.

Jacek leżał w bezruchu, a wąż przeciągał się na jego plecach. Tłumek gapiów rechotał radośnie.

— Francisco dobry wąż, wesoly wąż, no, dosyć żartów! — pogłaskał go delikatnie Metys.

Wąż syknął z uciechy, skoczył do koszyka i zwinął się w kłębek na jego dnie. Estevan pochylił się nad Jackiem i raptem odwrócił nos z niesmakiem. Opanował jednak chwilowy grymas i rzekł:

— Silny wiatr mamy dzisiaj od morza, olor a dolares z wysp ptasich aż tu czuć! — złapał się za nos.

— Śniadanie musiało mi zaszkodzić... — wystękał Jacek, purpurowy na twarzy jak botwinka.

— No, nic się nie stało. I tak miałem zamiar kupić ci nowe spodnie, bo te „dżunglowe” masz już zniszczone! — zakończył Estevan portkową aferę.

— Przepraszam, seniores, za tego lobuza, ale on pomaga mi handlować, klientów zatrzymuje, taki zmyślny! Czym mogę służyć paniczom, może coś z tego? — zagadywał, ale chłopcy już zniknęli za rzędem straganów.

— Co nas podkusiło, żeby odwiedzić to piekielko... — mruczał Jacek, dopinając nowe spodnie, które niezbyt pasowały do jego nietypowej sylwetki.

---

\* No tiene veneno? (hiszp.) — Nie ma jadu?

\*\* No, nada veneno, es caninana (hiszp.) — Nie, żadnego jadu, to caninana.

— Nie przejmuj się, człowieku, zaraz sobie życie osłodzimy! — krzyknął Estevan i klasnął w ręce.

Pogrzebał w portmonetce i za chwilę trzymał w ręku dwie fioletowe śliwki wielkości kurzego jaja. Odciął scyzorykiem kawałek i wycisnął do ust. Zapachniało czymś nieopisanie aromatycznym.

— To passiflora, czyli męczennica, spróbuj, jakie pyszne! — mlasnął.

— Sądząc po twojej gębie pełnej rozkoszy, z męczeństwem nie ma to nic wspólnego — mruknął Jacek i czym prędzej napelnił się również galaretowatym mięszem o niespotykane subtelnym smaku, coś wspaniałego!

Dotarli do centrum stolicy. Mroczna nawa katedry przytłacza ogromem i pustką. Zaraz na lewo od wejścia, w niewielkiej kaplicy, stoi za żelazną kratą kryształowa trumna na marmurowym sarkofagu. Podtrzymywana jest przez cztery płaczące lwy ze srebra. A w trumnie...

— Ojej, to człowiek? — szepnął Jacek, patrząc na skurczony brunatnożółty zezwłoczek, niczym zasuszona jaszczurka.

— To Francisco Pizarro. Czy człowiek? Urodził się jako człowiek, ale zmarł jako potwór, chciwy potwór... — szepnął Estevan, a gdy wyszli z katedry, dodał:

— Na czele takich samych jak on awanturników wdarł się do imperium Inków. Mówią niektórzy: geniusz odwagi. A przecież był to opętany żądzą sławy analfabeta, świniopas z Estramadury. Władca Inków kazał sobie napisać na paznokciu krótkie słowo „Dios” i każdego z Hiszpańców, którzy przychodzili do jego celi, prosił o odczytanie. Z grona oprawców Atahualpy tylko Pizarro nie potrafił

przeczytać. No, wstydu to się z pewnością najadł. Taki wódz, pan świata niemalże, a ciemny jak Murzyn o północy w starym kominie. A zginął od własnej broni — zamordowany przez młodego Almargo, który pomścił w ten sposób pamięć ojca, zgłodzonego uprzednio przez krwawego Francisco, współnika i przyjaciela. Ufff! W głowie się kręci, brachu, od tego diabelskiego młyna.

Kiedy przejeżdżali obok pomnika konkwistadora na koniu, Jacek ciekawie wychylił głowę, by raz jeszcze popatrzeć na zakutego w zbroję jeźdźca.

— To miał być pomnik wdzięczności dla założyciela Limy, Francisco Pizarro, miał być... — mruknął Estevan.

— A co, nie jest? — zdziwił się Jacek, spoglądając na pomnik, któremu nic nie brakowało i prezentował się wspaniale!

— To jest ironia historii, a nie pomnik. Wyobraź sobie, że ten facet na koniu, to wcale nie jest Pizarro! A było to tak: Meksyk zamówił dla siebie pomnik konkwistadora Corteza, który odegrał tam podobną rolę jak Pizarro w Peru. Rzeźbiarz pomnik wykonał, ale w tym czasie w Meksyku doszli do wniosku, że bandziora to oni nie będą na pomnik wnosić i... artysta został „na lodzie” z gotowym dziełem. A że miał głowę na karku, więc pomnik „opchnął” czym prędzej Peruwiańczykom, zachwalając go jako spiżową podobiznę Pizarra. Zanim się ta mistyfikacja wydała, pomnik już stał w Limie i nie warto było robić zamieszania.

— A to draka! — gwizdnął przez zęby Jacek.

— No i dobrze, bo ten potwór nie zasłużył na nic więcej. Niewart nawet tego, żeby choć przez sekundę z jego



powodu się denerwować, a tym bardziej, by się zastanawiać, czy podobny, czy nie.

Przeziadka z colectivo do pociągu Ferrocarril Central del Peru przebiegała szybko, sprawnie, bez ofiar. Na razie nic nie zapowiadało emocji, jakie miały im towarzyszyć w tej podróży. Rozklekotane wagony przesuwały się jednostajnym rytmem wzdłuż rzeki Rimac. Turkot kół usypiał.

— I to ma być ten cud sztuki inżynierskiej? — pokiwał głową z powątpiewaniem Jacek. — Takie ciuchcie kursują u nas z Garwolina do Koluszek albo z Białej Podlaskiej do Cieleśnicy... — prychnął lekceważąco.

— Taak? No to trzymaj się dobrze, Europejczyku, bo tu rzeczywiście będzie cud. Cud, jeśli dojedziemy do Huancayo z suchymi spodniami. O ile w ogóle dojedziemy, szanowny kolego, bo twój wielki rodak, inżynier Ernest Malinowski, z pewnością już się w grobie przewraca ze złości i trzęsienie ziemi pewne... — dodał złowieszczo.

— To się jeszcze pokaże — roześmiał się Jacek, traktując groźne słowa Estevana jako dobry żart.

Estevan zaś tylko pokręcił głową. Tymczasem dolina rzeki Rimac została daleko z tyłu. Skończyły się żarty, a zaczęły góry. Pociąg sapał ciężko i parował dymem, ale pisał się do góry po wykutej w skale drodze. W pewnej chwili Jacek zauważył, że ta stalowa stonoga porusza się jakoś dziwnie.

— Ojej, dlaczego on się cofa, co? — krzyknął.

— Bo ta ciuchcia ma takie kaprysy, że porusza się zygzakami... — uśmiechnął się tajemniczo Estevan. — Nie krzycz, Jacek, za głośno, bo się przestraszy i cofnie za daleko, a wtedy... — spojrzał wymownie w czerniejącą pośród skalnych ścian przepaść.

Coś zatrzeszczało, zadzwoniło i Jackowi włosy stanęły dęba. Zdawało mu się, że to szyby pękają i za chwilę... Brr! Za oknem niknęły pola bawełny i trzciny cukrowej, ginęły w skalistym, nagim horyzoncie ostatnie kępy sadów. Jacek wysadził głowę przez okno jeszcze głębiej w pejzaż. Tak, pociąg rzeczywiście zdobywał wysokość zakosami: kawałek w przód, stop, wyskakuje pomocnik maszynisty, przestawia zwrotnicę i ciuchcia toczy się kawałek w tył, aż ostatni wagon niemal zwisa rufą nad przepaścią; wtedy znowu zmiana zwrotnicy i znowu kawałek w przód. Wyglądało to intrygująco...

— Po co te zygzaki? Nie lepiej jechać prosto? — dziwił się Jacek.

— To jedyny sposób, żeby pokonać tak wysokie góry. Inaczej raz-dwa byśmy runęli tyłem w przepaść. Dwa kilometry w przód i jeden w tył, dwa w przód, jeden w tył. W ten sposób, szanowny kolego, wznosimy się o dwadzieścia pięć metrów na każdym kilometrze, co daje nam trzy tysiące metrów po stu dwudziestu kilometrach i pozwala w końcu wznieść się na wysokość waszego Mont Blanc, *comprende?* — wyliczył Estevan.

— No, to rzeczywiście cud sztuki inżynierskiej — bąknął Lolek Balonówa, drapiąc się z zakłopotaniem po blond głowie.

— Nie, to nie cud. Cudów nie ma... — odparł Estevan. — To... to polskie szaleństwo! Tylko Polak mógłby zdobyć się na podobne wariactwo, żeby marzyć o połączeniu koleją wybrzeża Pacyfiku z obszarem dorzecza Amazonki! Czy to nie szaleństwo wierzyć, że uda się przedrzeć linią kolejową przez szczyty gór wyższych niż wasze Alpy?

To przecież szaleńcza metafora: spiąć kłamrą kolejowych szyn Callao z Ukajali! Wy, Polacy, jesteście uparci.

Pociąg zatrzymał się na niewiałkiej stacyjce. Indiańskie przekupki w białych kapeluszach wtargnęły do wagonów. Łażą po przedziałach i podtykają pod nos podróżnym topione serki, miseczki z pierogami albo garnuszki z ciasno ułożonymi tomales, parującymi smakowicie. Jacek łyknął ślinkę i spojrział błagalnie na Estevana. Po chwili obaj rozwijali z kukurydzianych liści te peruwiańskie gołąbki, przegryzając płatami smażonej ryby. Na deser zostawili sobie lepkie plastry dużego owocu, który kupili od smutnego obszarpanego Indianiátka. W przedział uderzyła kolejna fala kolorowych przekupniów, zachęconych powodzeniem poprzedników...

Parowóz sapnął, parsknął i szarpał wagonami. Rozczarowani przekupnie wyskakiwali na peron. Jutro znowu od samego rana przykucną cierpliwie, by w milczeniu oczekiwać całymi godzinami na przyjazd pociągu. Może szlachetni gringos kupią dużo placków i owoców, dadzą zarobić trochę soli?

— Coś mi tu nie gra. Skoro projekt Malinowskiego był takim szaleństwem, to dlaczego władze peruwiańskie zgodziły się na to ryzyko? — mruknął Jacek.

— Ho, ho, człowieku, dużo wody upłynęło w rzece Rimac, nim decyzja zapadła. Trzeba było dopiero wojny z Hiszpanią, zmiany rządu, no i pieniędzy pewnego obrotnego Anglika, żeby budowa ruszyła. Co z tą wojną? Ano zyskał w niej sławę właśnie inżynier Malinowski. Tak ufortyfikował port Callao, że odparł atak floty hiszpańskiej. Jak to zrobił? Chytrze! Miał zaledwie kilka dział, ale



zainstalował je na szynach tak, że jeździły z miejsca na miejsce i raziły wroga z różnych stron. Hiszpanie zlekli się, że tych dział jest wiele i... odpłynęli jak niepyszni. Po tym sukcesie okrzyczano Malinowskiego bohaterem narodowym i specjalistą od szyn, no i projekt zatwierdzono. Budowa trwała siedem lat, a kosztowała trzydzieści milionów dolarów i śmierć dziesięciu tysięcy najemnych robotników. Pewnego razu wśród robotników wybuchła panika. W jednej z dolin, w której koczowali, wznosząc stalowy most, działy się dziwne rzeczy. Człowiek chodził normalnie, chodził i raptem walił się z nóg na ziemię jak święty śmiertelną kosą, bezsilny. Po kilku dniach umierał. Inżynier Malinowski sprowadził najwybitniejszych lekarzy i naukowców, bo ludzie padali setkami, a robota przecież musiała iść naprzód...

— No i co, zemsta Inków, zatrute powietrze? — przerwał podekscytowany Jacek.

— Inków? Co ty pleciesz? Oni nigdy nie zabijali pierwsii! — oburzył się Estevan. — Lekarze stwierdzili, że choroba nie atakuje ludzi, którzy przebywają tam tylko w dzień. A każdy, kto spędził w dolinie choćby jedną noc, tracił nagle czerwone ciała krwi i popadał w śmiertelną anemię. Nawet jeśli przeżył anemię, ciało jego pokrywały krwawe guzowate wrzody, które po kilku dniach przerzucały się do wewnątrz i koniec.

— Ale dlaczego tylko noc była groźna? — szepnął Jacek, który poczuł się nieswojo na myśl o nocnych spacerach z Iką...

— Okazało się raz jeszcze, że dżunglą rządzą owady. Chorobę roznosiły górskie komary, zwane verruga. W dzień



siedziały w ukryciu, bo bały się słonecznego blasku, a dopiero nocą atakowały. Jeszcze później stwierdzono, że verruga jest ospała i powolna, nie goni maszerujących, a kąsa tylko tych, którzy śpią lub przysiedli choćby na chwilę. Ot i cała tajemnica złych duchów. I jeszcze jedno ci powiem, Jacek, jako Polakowi. Nad tą koleją krąży widmo anglosaskiej pychy. Wyobraź sobie, że w angielskich encyklopediach nie ma ani słowa o Erneście Malinowskim! Jako budowniczy linii transandyjskiej figuruje sir Henry Meiggs! A przecież Meiggs był tylko bankierem, agentem handlowym, ale nie budowniczym! — urwał Estevan i zacisnął pięści.

— Polskich lotników, którzy polegli w obronie wysp brytyjskich w czasie II wojny światowej, również wyrzucą się z historii Anglii... — dodał Jacek ze smutkiem.

Zazgrzytały koła o zardzewiałe szyny, stanęły na kolejnej stacji. Pasażerowie już dawno zajęli miejsca, ale pociąg nie odjeżdżał, jakby w zмовie z przekupniami, którzy łazili natrętnie po przedziałach. Obdarci Indianie gapili się na pasażerów z wyrzutem w miedzianych twarzach. Grupki starych niechlujnych żebraków siadały wprost na podłodze, tarasując przejście brudnymi workami przyrośniętymi do pleców. Małe figurki srebrnych lam i gliniane piszczałki drżały w spoconych rękach handlarzy, łaskotały pod nosem wełniane rękawice, którymi wymachiwali z nieustającą nadzieją. Wreszcie wagon drgnął i ruszył w kłębach rdzawego kurzu. Jacek poczuł, że wrzynają się w te górskie szczyty tak, jakby wchodzili podkutymi buciorami w senną historię tych ziem.

— Pytanie za dwa punkty... — przerwał ciszę Estevan. —

Kto i gdzie po raz pierwszy spalił swoją stolicę, by nie oddać jej wkraczającemu wrogowi?

— Marszałek Kutuzow spalił Moskwę na oczach Francuzów! — pochwalił się Jacek.

— A właśnie że nie! Posłuchaj... Dawno, dawno temu rozpoczęła się wielka wędrówka ludów z Azji na zchodnią półkulę. Na tratwach z trzciny totora przeprowiano się przez cieśninę Beringa z kontynentu azjatyckiego na kontynent amerykański wraz z całym dobytkiem. Wielbłąd drogą ewolucji gatunków z czasem przybrał postać lamy, zaś koń zupełnie zniknął i dlatego w czasie konkwisty tak był obcy tubylcom. Wzdłuż wybrzeża peruwiańskiego osiedliło się plemię Chimu i rozrosło w potężne państwo. Inkowie wówczas byli nie znanym jeszcze nikomu prymitywnym plemieniem, ukrytym wysoko w górach Cusco. Około osiemsetnego roku do peruwiańskich wybrzeży przyплыł obcy książę Tacanaymo i wysiadł z trzciniowej łodzi-tratwy razem z wojownikami. To byli Inkowie. W wieku XIII, gdy Inkowie już obrośli w siłę, ich wódz Tupac Yupangui zaatakował stolicę Chimu — Chan Chan. Władca Chimu, Minchanzaman, zarządził ewakuację mieszkańców, a miasto kazał podpalić, by nie dostało się w ręce inkaskich zdobywców. I tak oto na sześć wieków przed spaleniem Moskwy płonęła stolica uważana za największe gliniane miasto ówczesnego świata. Płomienie pożerały z trzaskiem bambusowe dachy, a Inkowie z wściekłością zgrzytali zębami. Podbili nowoczesne państwo Chimu, ujarzmili lud, ale stolicy nie zdobyli nigdy! Nie niszcząc kultury i dorobku podbijanych narodów, w ciągu stu lat zagarnęli tereny wzdłuż zachodniej granicy obecnego Ekwa-

doru, Peru, Boliwii i Chile, a na wschodzie daleko za górskie szczyty aż po państwa barbarzyńskie, o których dzisiaj słuch zaginął...

Obrazy zmieniały się jak w kalejdoskopie, skalne czerepy przeplatały się z obłymi czapami szczytów, rzadki mech na skałach z bujną roślinnością. Pasterski pies z wściekłością obszczekuje pociąg, jakby chciał odgonić sapiącego intruza od swojej łąki, od swojego królestwa.

— „Chicla”... — odczytał Jacek nazwę stacji.

Do pociągu wsiadł mężczyzna w białym fartuchu, dźwigając ogromny kulisty pojemnik z kranikiem przedłużonym rurką.

— To kelner? — ożywił się Jacek.

— No jasne! — pochwycił Estevan. — Oczywiście z „Warsu”. Za chwilę wejdzie i zawoła: „Zapraszam dostojnych gości na schabowego”. Ej, Lolek, tobie to wszystko kojarzy się z żarciem, niestety. A w górach lepiej nie obżerać się nadmiernie, bo...

— Bo co? — jęknął Jacek.

— Bo nic. Poczujesz sam. A ten facet w fartuchu, to właśnie kolejowy felczer. Będzie nas ratował! — umilkł Estevan z tajemniczą miną.

Jacek chciał pytać dalej, ale już nie musiał. Zrozumiał wszystko, gdy ogarnęło go raptowne znużenie, senność, a potem silny ból głowy i duszności. Ciemne płatki zawirowały przed oczyma.

— Soróche? To my już tak wysoko? — wystękał i złapał się za serce, ściśnięte raptem przez jakąś tajemniczą siłę. Ogarnął go lęk.

— Dokładnie na wysokości trzech tysięcy siedmiuset



trzydziestu trzech metrów. Łyknij trochę tlenu z tej bomby, dobrze ci radzę — odparł Estevan.

Felczer podsunął im pod nos rurkę z orzeźwiającym podmuchem. Między pasmami górskimi wychynął płaskowyż szarej wietrznej równiny. Stado lam o długich szyjach i rezolutnych mordkach zastygło na moment w niemym zapatrzeniu, a potem rozpierzchło się po sfalowanej nieco, nagiej równinie, bezdrzewnej i zakurzonej w strugach zimnego wiatru. Karawana na mułach drobiła wąską serpentyną, pnąc się uparcie. Poprzez zamglone wąwozy wjechali na pustkowie. Jeszcze kilka kaktusowych kandelabrow tkwiących sztywno w zeschniętej trawie i już tylko nagie skalne łupki, brudnobiałe urwiska między słońcem a cieniem. Wartkie strumyki mieniły się złościście, tnąc strugami słonecznego blasku zamglony brunatny krajobraz. A potem znowu skalne czerepy i pustka.

— „La Oroya”... — przeczytał Jacek, kiedy pociąg znowu się zatrzymał.

W cieniu czarnego pieca górniczego tkwiły stacyjne baraki, między którymi kisa senna atmosfera miasteczka. Kilku żyłastych, spalonych na ciemny brąz górników grało w karty na ławce, spluwając tytoniem pod nogi snujących się wszędzie podróżnych.

Za miastem krajobraz zmienił się gwałtownie. Nie wiadomo skąd błysnęła bujną zielenią ukryta wśród ośnieżonych szczytów żyzna równina i zniknęła równie nieoczekiwanie. Przed samotnym barakiem na pustkowie kilkuletni chłopiec drży z zimna. Przeszępuje z jednej bosej nogi na drugą, śpiewając jakąś ludową piosenkę. Wyciąga rękę po datki. Słońce oślepia, kluje w oczy ostrymi igłami wysoko-



górskich promieni, pali i tak już spalone kępki brązowej trawy.

Felczer kręci się bez przerwy między ławkami. Tępy ból w tyle głowy narasta. Oczy pęcznieją i pieką nieprzyjemnie, tętnią rytmem silnych uderzeń serca. Spod kół ucieka zieleń. Jaskrawa biel ośnieżonych szczytów rozlewa się wokół, zmieszana ze strzępami chmur. Pociąg pracowicie wspina się niebieską serpentyną, przeczolgując ciemne tunele nad urwiskami. Słoneczna lawina ostrym światłem uderza gwałtownie w źrenice tysiącem odbłasków. Jacek otwiera szeroko usta i jak ryba łapie powietrze. Patrzy wstydliwie wokół: wszyscy robią to samo; jak śnięte karpie przed świętami Bożego Narodzenia trwają w półprzytomnej malignii. Stukot kół coraz głośniej rozsadza czaszkę. Mdl. Błady turysta w zielonym kapeluszu złapał się za usta i zawisnął za szybą, wstrząsany konwulsjami. Pojawił się już drugi felczer. Ten wyciera podłogę, wietrzy przedział, tamuje krwotoki z nosa, uspokaja, a potem dmucha strugą tlenu z gumowej poduszki na tych najbardziej zszarzałych nieszczęśników. Jacek wychyla się za okno. Ostre szkliste powietrze kłuje w nos.

— Uważaj na głowę! — krzyknął Estevan i za chwilę pociąg z głuchym dudnieniem wtoczył się do ciemnego tunelu.

Jacek bezwładnie opadł na ławkę.

— Żyjesz? — jęknął Estevan.

Cisza. Tylko kobiety w sąsiednim przedziale popiskują z emocji.

— Czekał no, brachu, już ja cię ożywię... — mruknął Estevan i zniemacka połaskotał kolegę.

Jacek zerwał się jak oparzony i rąbnął głową w półkę. Jęknął ze złości.

— No, nareszcie Kosynier Balonówa zameldował, że żyje... — mruknął Estevan.

Jackowi zdało się, że pociąg jak dżdżownica wwierca się we wnętrze ziemi. Za chwilę ujrzą ukryte tajemnice Andów, może jakieś zagadki historii schowane tu przez ostatnich inkaskich wojowników na chwilę przed katastrofą imperium.

— Nie śpij, bo spadniesz ze szczytu — zażartował Estevan. — A jesteśmy w tej chwili właśnie na wysokości Mont Blanc! Jeszcze trochę strachu i dojedziemy do stacji Galera, a dalej już z górki! Dalej brzegiem rzeki Yanti, potem Rio Mantaro, która daleko, daleko łączy się gdzieś tam z Amazonką! — wyrecytował dziarsko.

— Amazonka dalej łączy się z Atlantykiem, Atlantyk z Bałtykiem, Bałtyk z Wisłą i Bugiem, a stamtąd to już niedaleczko do Mazanówki! Jesteśmy w domu! — parsknął ze śmiechem Jacek.

W oddali jaśniał już wylot tunelu. Za chwilę jasność dnia eksplodowała wokół nich oślepiającym blaskiem.

— Uff! — odetchnęli obaj jednocześnie, jak na komendę. Wysoko w górze przebłyskiwały ośnieżone szczyty Kordylierów.

— Do Cusco jakoś dojedziemy. A stamtąd kursuje kolejka wąskotorowa do podnóża Macchu Picchu, ot, zaledwie, jeden obskurny wagonik, ni to osobowy, ni to towarowy, ale za to jakie widoki! Górskie przełęcze wzdłuż doliny rzeki Urumbaba, girlandy bajecznie kolorowych orchidei zaczepiają o dach pociągu, zaglądają do przedziału

przez otwarte okno. A skalne ściany pokryte są gęstwiną barwnych pnączy, krzewów i traw, tworzących pióropusze przypominające nadmorskie trzciny. U podnóża wysiadka, no i trzeba wspiąć się stromą dróżką sześćset metrów, a dalej już zagadkowe Macchu Picchu — serce historii Peru. Tam spierano się i klaskano, walciono i śpiewano, uśmiercano i odbierano porody. Pogrzebiesz trochę w piachu i eksponaty same wejdą ci do ręki... — wyrecytował Estevan i umilkł zdyszany.

— A cóż nas obchodzi niegdysiejsze spory. Liczy się tylko to, co przetrwało... — zamyślił się Jacek.

— Taki pewny jesteś, że masz rację? Że tylko to? — spoważniał Estevan.

— Jedno jest pewne: że po Malinowskim pozostała ta linia kolejowa. A po hiszpańskich rabusiach?... — uśmiechnął się z przekąsem Jacek.

*Wszystko się kręci,  
czyli komu w drogę, temu czas*

W kraju wszyscy oczekiwali na powrót Balonówy. Spodziewano się go lada dzień, toteż przygotowania powitalne wkraczały w fazę końcową. Sprawa Jacka Dowgiełły stała się sensacją numer jeden w środkach masowego przekazu, zagłuszając takie szlagiery wakacyjne, jak poszukiwanie Paskudy czy mistrzów pędzla, którzy rozpoczęli malowanie szkolnych korytarzy i zniknęli razem z zapasem olejnej farby, pozostawiając w zastaw puste butelki po kartkowiance. Nawet hurraoptymistyczne wypowiedzi trenerów piłkarskich o złotych nogach swoich zawodników nie wzbudzały takich emocji w narodzie jak los czternastolatka odnalezionego w dżungli.

— Spójrz, kochanie, na te tytuły! — wpadł do kuchni pan Dowgiełło z plikiem gazet w rękę.

— Przecież widzisz, co robię. Nie mam czasu — ofuknęła go żona, zaglądając do piecyka, w którym piekł się delikatny kruchy placek na ulubiony przez Jacka torcik, przekładany dżemem brzoskwiniowym, zaprawionym ubitą na sztywno pianą z białka.

— No to ja ci przeczytam, posłuchaj: „Polski cud w sercu peruwiańskiej dżungli!”, „Sensacyjne ocalenie polskiego czternastolatka!”, „Dzielny harcerz wśród peruwiańskich tubylców”, „Czternastoletni potomek Koziętulskiego w heroicznej szarży przez dżunglę!”, „Mały bohater w tropi-



ku”, „Samolot eksplodował w powietrzu — mały Polak ocalał. Jaka jest przyczyna katastrofy?”, „Jakim cudem ocalał Jacek Dowgielło?”, „Bohaterski nastolatek z Polski przeżył katastrofę samolotu i dwa tygodnie w krwiożerczej dżungli”... I co ty na to? — triumfująco wachlował żonę gazetami Dowgielło.

— Już nie nie mów, bo placek się przypali.

— Din-don! — zaszczębiotały drzwi.

Listonosz wyjął z pękatej torby plik listów.

— Nie zmieściłyby się w skrzynce, to musiałem przynieść osobiście; ale tu wysoko, aż na trzecie piętro bez windy; gdybym, nie daj Boże, miał więcej takich klientów, to zdarłbym buty raz-dwa; co za czasy, żeby tyle listów otrzymywać, co za... Dziękuję pani uprzejmie, rączki całuję, życzę wszelkiej pomyślności! Do zobaczenia! — wyuprzejmiał nagle, chowając dwudziestkę do kieszeni. Kiedy zbiegł już (dziarsko!) po schodach, Dowgielłowa spojrzała na stertę kopert: „Polskie Linie Lotnicze LOT, do własnych rąk Jacka Dowgielły”, „Polskie Radio w Warszawie, ul. Myśliwiecka, dla Jacka Dowgielły”, „Kol. Jacek Dowgielło, Telewizja Polska, Warszawa, ul. Woronicza” i tak dalej, i tak dalej. Adresy różne, adresat ten sam. Co zawierają w sobie te koperty? Wzięła do ręki jedną z nich.

Och, jaka gruba! Jakieś zdjęcia? — ostrożnie otworzyła paznokciem.

Z koperty wysypały się fotografie roześmianej dziewczyny: ona przed namiotem, ona na zwalonej sośnie, jej pigowata twarz w harcerskiej czapce.

„Drogi Jacku! Bardzo polubiłam Cię. Mnie się bardzo spodobałeś za twoją odwagę. Ja też jestem odważna.

szczególnie po ostatnich podchodach. Czy ja Tobie się podobam, bo bardzo bym chciała — Monika.”

Inne listy zawierały bardziej konkretne propozycje:

„Jacek! Jestem w Tobie po prostu zakochana — Beata!”

„Kochany Jacku! Jak chcesz odpocząć po trudach, to u nas jest duży dom (z daleka od lasu oczywiście!), nad samym morzem, moi rodzice już się zgodzili, tylko żebyś wziął ze sobą ciapy, bo u nas jest bardzo czysto — Patrycja”.

„Drogi Kolego! Meldujemy Ci, żeśmy już założyli w naszej osadzie klub Twego imienia i że okrzyknęliśmy Ciebie jednogłośnie patronem naszej harcówki, do której możesz przywieźć jakieś eksponaty egzotyczne, to chętnie skorzystamy — Zastęp Anakondy z Izbicy”.

I tak dalej, i tak dalej.

Pani Dowgielowa schwyciła się za głowę. Pojęła w tej sekundzie, że z chwilą powrotu Jacek wpadnie z deszczu pod rynnę. Niebezpieczeństwa dopiero się zaczną, stokroć trudniejsze do pokonania przez młodego chłopca, niż tamte, peruwiańskie...

— Nie, gwiazdorem to on nie zostanie! — krzyknęła głośno i pokręciła głowę, zaciskając zęby.

— Co się stało, kochanie, czyżby placek się spalił?

— Popatrz no, mój drogi, na te listy, przeczytaj...

— Aż tyle? No, ale te listy są pisane do Jacka — zachnął się Dowgiello.

— No i co z tego! Przecież on ma dopiero czternaście lat, wiesz o tym? A może wiesz, kto odpowiada za jego wychowanie, co? Przecież to nasze dziecko może zgłupieć bez nas — wyrzuciła z siebie z pasją i padła na fotel ciężko

dyszac. Nagle złapała się za głowę i pobiegła do kuchni, skąd czuć już było swąd przypalanego ciasta.

— Boże kochany, wszystko się spaliło! — jęknęła.

— Nie przejmuj się, kochanie, upieczesz następane...

Tymczasem przygotowania do uroczystości powitalnej osiągnęły swój punkt kulminacyjny nie tylko w domu rodzinnym Jacka Dowgielty. Rzecz jasna, że ożywiony ruch panował przede wszystkim w zastępie Kosynierów. Wieczorem zebrali się w ulubionym zakątku poligonu. Zapłonęło małe ognisko, osłonięte trzema stromymi zboczami parowu przed ciekawością świata, a raczej jego marginesu.

— Ja mogę napisać krótki referat w formie przemówienia powitalnego! — wyrwał się Paweł Okularnik.

— Zglupiałeś, uczoney? Może napiszesz na kartce: „Dzień dobry, Cześć, Jacek, Kosa! Kosa! Kosa!”, co? Napisz, napisz, bo możesz zapomnieć — ironizował Chudy Piotr, przewracając patykiem ziemniaki, by się dobrze upiekły ze wszystkich stron.

Wprawdzie Kosynierzy wiedzieli, że najlepiej piec kartofle w żarze, ale kto by tam wytrzymał, aż ognisko zacznie dogasać. Tym bardziej, że chleba nie było, a Andrzej Cwaniaczek kroił właśnie kielbasę, zaś Maciej Koszykarz ostrzył kije. Po kilku minutach zapach spalonej skórki ziemniaczanej łaskotał w podniebienia, a w wyobraźni Kosynierów już i kielbaski skwierzały, ociekając tłuszczem. Nagle coś szczerknęło w pobliżu i zaskomlało żałośnie. U wylotu parowu przysiadła na ogonie mała czarniawa psina, ot, wszędobylski plebejusz kundlowatego rodu.

— Niemój, chodź, dam ci nic, na, na, na, na! — poklepał ręką w kolano Andrzej Cwaniaczek i zagwizdał zachęcająco.



Psina podbiegła i błyskawicznie zwięszywszy okazję, chwyciła w zęby kawałek kielbasy, po czym stanęła obok, warcząc ostrzegawczo.

— O żesz ty, żarłoku przebrzydły! — huknął Maciej i zamasyżcie podrapał złodzieja trampkiem pod ogon, czyli kopnął kundla w nagłym porywie żołądkowej rozpacz.

Cios był tak gwałtowny, że kielbasa wyskoczyła spomiędzy psich zębów i zatoczywszy łuk w powietrzu, wpadła w sam środek ogniska. Nim Kosynierzy zdążyli cokolwiek przedsięwziąć, skowyczący czworonóg porwał następny kawałek kielbasy i zniknął w ciemnościach. Kosynierzy zarechotali. Maciej chwycił finkę, by gotowe już porcje podzielić na pół, bo bądź co bądź o dwie kielbaski zrobiło się mniej, ale Piotr powstrzymał go ruchem ręki.

— Dwóch panów pości, prawda? Trzeba ponieść konsekwencje swojej swawoli. Każdy człowiek musi dźwigać odpowiedzialność za swoje postępowanie, nieprawdaż? — uśmiechnął się zastępowy.

— Dlaczego aż dwóch? Przecież to Andrzej zawołał tego kundla! — skręcał się Maciek w żołądkowych konwulsjach.

— Ja zawołałem, ja, ty okrutniku! — potwierdził Andrzej z hamletowską emfazą w sztucznie modulowanym głosie, albowiem słynął z tego, że z życia robił teatr, parodiując, co tylko się dało. — Ja! Aleś to ty, okrutniku, kopnął tę zgłodniałą psinę. Gdybyś nie kopnął, odeszłaby z zadowoleniem z moim kawałkiem kielbasy w pysku, tylko moim! A może się zamienimy? Moja porcja leży jeszcze w ognisku, proszę uprzejmie! — skłonił się nisko.

Maciej popatrzył na niego tak ostro, że Andrzej na wszelki wypadek przesiadł się trochę dalej, albowiem



zauważył w jego spojrzeniu zastrzyki przeciwko wściekłości.

— Spokój, panowie... — mruknął Piotr i ugryzł ogorzały już kawałek kielbasy.

Romek mlasnął z apetytem. Paweł obgryzał po cichu. Andrzej spoglądał filozoficznie ponad trójkę konsumentów, jakby nie dostrzegając kielbasianej pokusy. Tylko z Maciem było źle. Skurczył się i posmutniał.

— Nie martw się, człowieku-góro. Za chwilę będziesz miał szansę rozpocząć kartoflaną ucztę! — palnął go w bok Andrzej.

Maciej podskoczył, zawył po indiańsku „uhuuu!” i stanął na rękach. Ziemniaki okazały się spalone z wierzchu, a prawie surowe w środku, ale smakowały znakomicie. Manipulując parzącymi, szerniałymi bulwami, roztrząsano sprawę najwyższej wagi.

— Panowie... — rozpoczął spokojnie Piotr. — Mam wrażenie, że nie okazemy się stadem rozhisteryzowanych pensjonarek i przywitamy naszego kolegę normalnie. Na wstępie odśpiewamy hymn zastępu, wymienimy okolicznościowe pocałunki, a potem odbędziemy uroczystą zbiórkę, na której Lolek zamelduje o wykonaniu zadania specjalnego. Od tego, jak je wykonał, będzie zależał jego udział w naszym rajdzie rowerowym dookoła Polski. Bohaterstwo bohaterstwem, a wyznaczone zadania trzeba wykonywać. Zresztą, dzisiaj bohaterstwo to wypełnianie codziennych obowiązków, nawet w niecodziennych okolicznościach. Zobaczymy, czy Lolkowi w głowie się nie przewróciło. A teraz sprawdzimy stan gotowości do rajdu...

Nazajutrz rano Chudy Piotr wpadł jak bomba do Andrzeja Cwaniaczka i krzyknął od progu:

— Alarm! Czekam na dole dziesięć minut! — i już go nie było.

Na piętnaście sekund przed terminem Andrzej, Romek, Maciek i Paweł stali już przed zastępowym.

— Szybko do Dowgiellów! Tam dowiedzie się reszty! — padła komenda.

Przebiegli przez kilka ulic, dopadli drzwi na trzecim piętrze.

— Din-don! Din-don! Din-don! — zabrzmiał dzwonek, dławiąc się pośpiechem.

— Co się stało? Dlaczego jesteście tacy zasapani? — ziewnęła pani Dowgiellova, bo całą noc piekła placki i zdrzemnęła się dopiero nad ranem.

— Proszę pani, uzyskaliśmy bombową informację. Za piętnaście minut zaczną się „Teleferie”... — szybko wyrzucił z siebie Piotr i przerwał na chwilę, by zaczerpnąć tchu.

— I to ma być ta rewelacja?

— Niech pani posłucha. Gdzie jest pan Dowgiello? — atakował dalej Piotr.

— W sklepie, ale... ale...

— Andrzej! Migiem powiadom pana Dowgiellę, żeby natychmiast wracał do domu, bo... — przerwał Chudy Piotr. Ostatnie słowa zastępowego zagłuszył tupot nóg na schodach. — ... bo w „Teleferiach” ma być wywiad z Jackiem! — powtórzył głośnie.

— To on już w Warszawie jest? — osłupiała.

— Nie, w Limie, ale telewizja peruwiańska przekazała naszej ten wywiad! — wyjaśnił Piotr.

— Jezuniu kochany! — jęknęła. — A skąd ty o tym wiesz? — chwyciła go za kołnierzyk.

— Mamy swoje kontakty... — uśmiechnął się Chudy Piotr.

Kiedy wpadł zdyszany pan Dowgiello, a za nim Andrzej Cwaniaczek, całe towarzystwo siedziało jak zahipnotyzowane przed telewizorem, chrupiąc nerwowo paluszki.

Na ekranie akurat redaktor Szaranowicz wyjaśniał zasady gry w piłkę nożną. Dowgiello jął bić się z myślami.

— Zwariowała ta moja kobita czy co? To po to gonilem jak szalony? Mam grać w piłkę? A może to ona będzie kopała? O rany! — westchnął bezradnie i nasrożył się.

Usiadł jednak spokojnie, bez słowa, nauczony długoletnią praktyką małżeńską, że żonie nie należy zadawać zbyt wielu pytań.

— „Drodzy telewidzowie! A teraz zapowiadana niespodzianka: fragment programu telewizji peruwiańskiej...” — rozpoczęła z uśmiechem uroczą pani Wander.

A za chwilę...

— O, Jacek, Jacek! — krzyknęła pani Dowgiellova. — Ależ on zmarniał, nasz synekczek kochany, taki brudny jakiś i zabiedzony... — chlipnęła, podnosząc chusteczkę do oczu.

— Coś ty, kochanie! On po prostu zmęźniał i opalił się... — wtrącił Dowgiello i natychmiast umilkł, bo na ekranie zaczęło się coś dziać.

— „Przedstawiamy państwu czternastoletniego rozbitka, który cudem ocalał z katastrofy samolotowej, a potem przedzierał się kilka dni i nocy samotnie przez dżunglę, by wreszcie przeżyć dwa tygodnie z rodziną tubylców w dorzeczu Madre de Dios. Czy możesz, chłopcze, zdradzić naszym telewidzom, jak doszło do katastrofy, no i opowiedzieć, co było dalej? — zwrócił się do Jacka wysoki



szpakowaty mężczyzna, prezentując w szerokim uśmiechu garnitur olśniewająco białych zębów.

— Dziękuję za zaproszenie do studia. Niestety, nie mogę podać szczegółów moich przygód, ponieważ wyłączne prawo do ich rozpowszechniania uzyskał ode mnie jeszcze przed odlotem do Ameryki Południowej »Świat Młodych«. Oczywiście nikt nie mógł przewidzieć katastrofy i mojego ocalenia, ale stało się i muszę dotrzymać umowy!

— »Szwijat Młodih«... — wymówił nieporadnie prezydent. — Czy to jakiś koncern prasowy? Chętnie odkupimy od niego te prawa...

— Nie słyszał pan o »Świecie Młodych«? — zdumiał się Jacek. — To przecież bardzo popularna na całym świecie harcerska gazeta polskich nastolatków. Mój tatuś zaczyna lekturę porannej prasy zawsze od »Świata Młodych«! — tu Jacek mrugnął porozumiewawczo do kamery, a pan Dowgiełło aż podskoczył na fotelu. — No i serdecznie pozdrawiam moich rodziców...

— Ach tak, słyszałem, słyszałem. Chętnie podejmiemy się wydania południowoamerykańskiej mutacji tego pisma dla naszych harcerzy, w języku hiszpańskim oczywiście. A czy możesz nam przynajmniej powiedzieć, jakim cudem przetrwałeś to wszystko? — błysnął zębami prezydent.

— Owszem, bardzo chętnie. Przetrwałem dzięki temu, że jestem harcerzem, bo w harcerstwie zdobyłem hart ducha i ciała, konieczny do pokonywania największych trudności. Chciałbym w tym momencie pozdrowić mój zastęp Kosynierów i wszystkich polskich harcerzy. Gdybym był piecuchem i maminsynkiem, na pewno bym nie przetrwał tego wszystkiego, co przeżyłem...



— Kiedy wracasz do kraju? — kończył rozmowę telewizyjny elegant.

— Maniana, proszę pana, maniana!”

W tym czasie na ekranie pojawiła się plansza z napisem „przepraszamy za usterki — zakłócenia na łączach poza obszarem naszego kraju”.

— Hurrra! — wrzasnęli Kosynierzy, a państwo Dowgielłowie padli sobie w objęcia.

— Coś mi tu nie gra... — mruknął Piotr. — Lolek coś kombinuje... Czy wy wiecie, co oznacza w Ameryce Południowej słówko „maniana”?

— Jutro, jutro! — krzyknęli Dowgielłowie, nim którykolwiek Kosynier zdążył się odezwać.

— Teoretycznie tak, ale w praktyce... — uśmiechnął się kwaśno Piotr.

— Din-don, din-don! — włączyły się do dyskusji drzwi.

Listonosz wsunął rękę z tępym „nem.

„Przyjadę jak wykonam zadanie stop prawdopodobnie za miesiąc stop Jacek”.

— Jakie zadanie? Co to znaczy? Może ten telegram to czyjś głupi żart? — zaniepokoiła się Dowgielłowa.

— Zadanie harcerskie — wyjaśnił Piotr. — Już on wie jakie...

Rodzice Jacka posmutnieli. Dopiero za miesiąc?

— Proszę się nie martwić... — uśmiechnął się zastępowy. — To tylko trzydzieści jeden dni, szybko zlecą. A najważniejsze, że jest zdrowy, cały, no i poczucia humoru nie stracił! — dodał.

Dowgielłowie spojrzeli na siebie i również uśmiechnęli się.

— Może przez ten czas zdążysz kupić coś Jackowi... — szepnęła.

— A tobie, kochanie, może wreszcie uda się upiec placek na brzoskwinowy torcik!

— A co, to moja wina, że w tym piecyku pali jak w piekle, jak... jak...

— ...w tro-pi-ku! — dokończyli wspólnie i znowu padli sobie w ramiona.

— Ej, chłopcy, wypijecie kawkę? — zaproponowała, ale... Kosynierzy zniknęli nie wiadomo kiedy. Szukaj wiatru w polu!

— No to my się napijemy, szczęśliwy tatuśku, co? — i wyjęła z kredensu okrągłe pudełko.

— Inka! — odczytał głośno Dowgiello i zamyślił się.

— Tak, Inka... — powtórzyła. — Ale on ma to już wszystko poza sobą, prawda, tatuśku? — szepnęła ciepło.

— Za sobą? — ocknął się. — No wiesz! Przecież przed nim dopiero wiek męski, wiek poszukiwań i podróży. Moja krew... moja krew... — wypiął dumnie pierś.

Pani Dowgiellova pokiwała tylko głową i... poszła do kuchni.

## *Posłowie*

Telegram od Jacka przyspieszył decyzję Chudego Piotra. Kosynierzy postanowili nie tracić więcej czasu i wyruszyć natychmiast na rowerową wólczęgę dookoła Polski. Rowery mieli przecież znakomicie przygotowane, a zgromadzone na egzotyczną (a niedoszlą do skutku) wyprawę zapasy żywności z trudem mieścily się w pękatyh plecakach.



## Spis treści

Dawnych wspomnień czar, czyli znowu alert obozowy . . . . .	5
Jechać albo nie jechać! — oto jest pytanie, czyli list z Ameryki Południowej . . . . .	14
Szczęście w nieszczęściu, czyli co się zdarzyło nad terytorium Peru . . . . .	26
Rozpacze i nadzieje, czyli gdzie jest Jacek? . . . . .	39
Cztery doby w zielonym piekle, czyli harcerz ma naturę twardą . . . . .	42
Przebudzenie, czyli Jacek u tubylców . . . . .	53
Dwa spotkania z wężem szuszupi, czyli wszystko dobre, co się dobrze kończy . . . . .	65
Fiesta, czyli radość południa . . . . .	71
Tacla w kolorze złocistym, czyli praca też ma swoje uroki . . . . .	98
Połowanie na olbrzyma, czyli na wszystko są sposoby . . . . .	110
Czar kobiety, czyli robótki ręczne . . . . .	123
Nie wszystko złoto, co się świeci, czyli wyprawa do jaskini wampirów . . . . .	130
Pocałunek mrówki, czyli jak stać się mężczyzną . . . . .	143
Jeden sympatyczny mrówkojad i miliardy komarów, czyli kto rządzi dżunglą . . . . .	154
Cud białych twarzy, czyli przybysze z Europy . . . . .	161
Hasło „ratunek”, czyli Kosyńierzy w akcji . . . . .	168
Tajemnica purpurowego kondora, czyli w pogoni za szczęściem . . . . .	176
„Amigo! Que gusto!”, czyli powitanie Estevana . . . . .	195
Zmiana warty, czyli błyszczący blichtr historii . . . . .	215
Podróże do źródeł czasu, czyli zagadki historii . . . . .	219
Kryształowa trumna i polskie szeleństwo, czyli różne oblicza dziedzictwa . . . . .	229
Wszystko się kręci, czyli komu w drogę, temu czas . . . . .	244
Posłowie . . . . .	255





Henryk Makarski (ur. w 1946 r.) opublikował dotychczas pięć tomów poezji i powieść dla młodzieży *Na tropie prapradziadka Waleriana*.

*W pogoni za purpurowym ptakiem* jest kontynuacją przygód Lolka Balonowy, znanego już Czytelnikom z książki *Na tropie prapradziadka Waleriana*. Autor barwnie i zajmująco przedstawia perypetie dzielnego harcerza, usiłującego wydostać się z dżungli peruwiańskiej, a przy tym wykonać zadanie specjalne dla zastępu Kosynierów — zdobyć pióro purpurowego kondora, który pojawia się podobno czasami w ostępach Kordylierów. Wartka akcja powieści nasycona jest obrazami egzotycznej przyrody i ciekawostkami historycznymi.